

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 4/583**

**1996**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. UNGER:

**WIDZIANE Z BRUKSELI I Z... MOSKWY**

K. WOLICKI: **DWIE POLSKI?**

M. WILK: **SAMOPAS NA KANIN NOS**

**I Z POWROTEM**

A. POSPIESZALSKI: **KILKA MYŚLI**

**O PRZYSZŁOŚCI CHRZEŚCIJAŃSTWA**


## SPIS RZECZY

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z... Moskwy</i>	3
Krzysztof Wolicki:	<i>Dwie Polski?</i>	21
Pola Żydkowicz:	<i>O szkole – z troską i nadzieją (dok)</i>	29
Mariusz Wilk :	<i>Samopas na Kanin Nos i z powrotem (II)</i>	41
Andrzej Krzeczunowicz:	<i>Podróż do Lwowa i Bolszowiec</i>	53
<b>WIERSZE</b>		
Adam Czerniawski:	<i>Historia ludzkości</i>	78
Michał Wyszomirski:	<i>Dla Jean Cavailles'a</i>	81
<b>KRAJ</b>		
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	83
Piotr Skórzyński:	<i>Varsovie, ma vie</i>	91
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Piotr Daszkiewicz:	<i>Międzynarodowe konsekwencje niszczenia Puszczy Białowieskiej</i>	95
<b>O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA</b>		
Antoni Pospieszalski:	<i>Kilka myśli o przyszłości chrześcijaństwa</i>	98
<b>SĄSIEDZI</b>		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	110
<b>NOTATKI REDAKTORA</b>		
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Paweł Rodak:	<i>Notatki po jubileuszu (50 lat „Twórczości”)</i>	119
–	<i>Wyróżnienia POLCUL Foundation</i>	127
–	<i>Komunikat Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej</i>	128
<b>KSIĄŻKI</b>		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>„Mamo biją” czyli dalszy ciąg Wielkiej Wojny</i>	130
Leszek Szaruga:	<i>„Mogło was nie być”</i>	136
M. Broński:	<i>„Wallenrodów sto tysięcy...”</i>	140
Krystyna Kleszczyńska		
Esteves:	<i>„Odkrywanie Ameryki”</i>	143
Nina Taylor:	<i>Wiersze znad Dżwiny</i>	146
P. Szawir:	<i>Między Polakami</i>	150
Jan Pakulski:	<i>Studia litewskie na Tasmanii</i>	153
–	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	154
–	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	155
Nina Taylor, dr Jan Tomasz-		
kiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień/Avril 1996

INSTYTUT  LITERACKI

Varsovie W006

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Maria i Andrzej Albrecht, Monachium (Niemcy) – zamiast kwiatów na grób naszego przyjaciela Darka Fikusa . . .	F. 100,00
Nicolas Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA) – po raz 27-my – Dol. 25,00 . . . . .	F. 125,00
Bogna Becker, Francja – zamiast kwiatów na grób Janiny Zamoreur-Heide, zmarłej w Paryżu 8 grudnia 1995 – opiekunki wielu potrzebujących pomocy, niezawodnej i czulej przyjaciółki . . . . .	F. 400,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires po raz 17-ty – Dol. 100,00 .	F. 500,00
Zofia i Kazimierz Romanowiczowie, Paryż – zamiast kwiatów na grób naszego przyjaciela dr Zdzisława Sutorowskiego, zmarłego w Londynie 5 marca 1996 . . . . .	F. 200,00
Nika Krzeczunowiczowa, Bruksela – zamiast kwiatów na groby śp. Bisi Łubieńskiej-Caroll i Lula Łubieńskiego . .	F. 1000,00
Kali H. Weynerowska, San Francisco (USA) – w 8-mą rocznicę śmierci Henryka Weynerowskiego i pamięci prof. Kazimierza Zaremby-Czereyskiego, zmarłego 22 stycznia 1996 – zamiast kwiatów – Dol. 50,00 . . . . .	F. 250,00
Kazimierz Zamorski, Monachium – w dziesiątą rocznicę śmierci żony Urszuli . . . . .	F. 500,00

### DZIĘKUJEMY !

Marie Perle	„Słowa bija” czyli dalszy ciąg	130
Leszek Szustak	„Motto nie ma być”	136
M. Bronka	„Wielki dzień na górze”	140
Krzysztof Kłopotowski	„Odbiór”	143
Nina Tyler	„Wszystko jest możliwe”	146
P. Szawir	„Mój przyjaciel”	150
Jan Pakulski	„Słowa i muzyka na żywo”	153
	„Nadzieje i nadzieje”	154
	„Wydawnictwo literackie”	155

## Widziane z Brukseli i z... Moskwy

### Czy jest życie po Jelcynie?

To zależy. Dla jednych – tak, dla innych – nie. Dla jeszcze innych – być może. W tej kwestii, punkt widzenia, jak nie bez racji zwykł był mawiać były polski prezydent: zależy od punktu siedzenia.

Tak więc spora część Rosjan, którzy siedzą na miejscu, to znaczy w Rosji, odpowiada gromkim – „tak” i daje do zrozumienia, że bez wahania skłonna jest pójść na ryzyko życia bez Jelcyna. Ci obywatele Federacji Rosyjskiej nie kryją swoich uczuć. W toku wruszającego „powrotu do korzeni”, to znaczy pielgrzymki do rodzinnego Swierdłowska, na nowo znanego jako Jekaterynburg, inaugurującej w lutym prezydencką kampanię wyborczą, Jelcyn mógł przeczytać takie zachęcające wyborcze hasła jak: „Precz, jesteś unurzony w krwi po szyję”, lub też, aluzyjne ale trzeźwe, jak: „Pijak przy kierownicy to groźba dla pasażerów”.

Badania opinii publicznej są w Rosji równie częste, choć nieco bardziej zawodne, jak gdzie indziej. Ale, jeżeli chodzi o szanse Jelcyna, to tak mało się różniły, niezależnie do powągi instytutu, czasu, miejsca i rodzaju badanego środowiska, że można je traktować poważnie. Na przełomie lutego i marca, we wszystkich sondażach Jelcyn znajdował się po Gienadim Ziuganowie (komunista) i Jawlinskim (reformator w opozycji do Jelcyna), a czasem i... po Fiodorowie (z zawodu okulista) i innych, w zależności od specyfiki lokalnej, outsiderach. W

pewnym sodażu z początku marca, na liście 10 polityków, kandydat Jelcyn znalazł się wśród końcowej czwórki osób w ogóle... nie kandydujących, w towarzystwie m.in. Jegora Gajdara, nader niepopularnego byłego premiera, identyfikowanego z „terapią szokową” i... Michaiła Gorbaczowa, byłego prezydenta, wtedy jeszcze niezdecydowanego, choć wyraźnie podnieconego wysokością poparcia sięgającego... 1 procenta.

### *Rozwód z nadzieją*

Do niedawna, Jelcyn był, w pewnym sensie, jakby naturalnym kandydatem demokratów i reformatorów. Jelcyn odegrał zasadniczą rolę w obaleniu dyktatury i komunizmu i rozwaleniu imperium sowieckiego. Był pierwszym szefem państwa rosyjskiego, wyłonionym, jeszcze za ZSSR, ale już w uczniowych wyborach powszechnych. Mimo mniej lub bardziej zabawnych epizodów wskazujących na pewien brak umiaru w sprawowaniu władzy, czy spożywaniu alkoholu, istniały podstawy do uznania go za najbardziej skutecznego, w specyficznych warunkach Rosji, gwaranta wdrażania reform, mających doprowadzić ten kraj do prognozy nowoczesności i praworządności.

W chwili pisania tych słów, na cztery miesiące przed wyborami, ten pogląd należy do przeszłości. Mniejsza o dokładną periodyzację, to sprawa historyków, choć chyba można uznać, że egzekucja parlamentu w październiku 1993 i, rok później, interwencja w Czechenii; w jakiś sposób wyznaczyły początek procesu degeneracji systemu i rozvodu Jelcyna z nadzieją na lepsze czasy, ze złudzeniami demokratów i z cierpliwością Rosjan.

Demokraci rosyjscy, od Gajdara po Jawlńskiego, poprzez takich ludzi jak obrońca praw człowieka Sergiusz Kowaliew czy były wicepremier, szef prywatyzacji, Anatolij Czubajns są zdania, że Jelcyn się zmienił, że to już nie jest demokrat, to już nie „człowiek z czołgu” gromiący puczystów w sierpniu 1991 czy likwidujący, bez czołgu, ZSSR w grudniu tego roku. Że dziś nie chodzi mu o nic innego niż o władzę, której żądza jest jego jedynym ludzkim uczuciem i która – jak to

określił w wywiadzie telewizyjnym jego były rzecznik Kostikow – „jest Jelcyna matką, żoną i kochanką”. Kostikow się nie mylił i zapłacił za tę szczerość ciepłą posadą ambasadora w Watykanie. Demokraci doszli więc bez trudu do wniosku, że to nie Jelcyn, a ktoś inny powinien nieść w wyborach sztandar reform, prawa i postępu w Rosji.

Ale kto? Nie wiadomo. Wiadomo tylko dwie rzeczy. Pierwsza to ta, że odmiennie niż kiedykolwiek w historii, nowy szef państwa rosyjskiego nie jest znany PRZED wyborami. Że, inaczej mówiąc, pierwszy raz w historii wyborów w Rosji, trzeba czekać do otwarcia urn aby poznać jego nazwisko. Druga to ta, że choć nazwisko zwycięzcy nie jest (powtarzam – na prawie cztery miesiące przed wyborami) znane, to znane są dwa nazwiska, z których jedno nosi przyszły prezydent Rosji. Są to, można to powiedzieć bez większego ryzyka, Jelcyn i Ziuganow.

Kto to jest Jelcyn, już, *hélas*, wiemy. A kto to jest Ziuganow?

### *Szary wychodzi z cienia*

Do niedawna, Giennadij Ziuganow nie należał ani do najbardziej znanych, ani do najbardziej popularnych postaci politycznej sceny rosyjskiej. Wprost przeciwnie, trudno było o coś bardziej szarego na tle kremlowskich kurantów. Kiedy jednak wkroczył na tę scenę, to od razu z towarzyszeniem bardzo wielkiej orkiestry. Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej (KPFR – nie mylić z KPZR) odniosła ogromny sukces w wyborach do Dumy w grudniu ubiegłego roku. Zdobyła ponad 22% głosów w głosowaniu większościowym plus sporą liczbę mandatów z wyborów proporcjonalnych. Krótko mówiąc, KPFR stanowi dziś największą frakcję parlamentarną w Dumie, której zresztą przewodniczy. Jeszcze krócej mówiąc, z 68 milionów oddanych głosów, 24 miliony padły (to właściwe słowa) na komunistów i związane z nimi mniejsze ugrupowania.

Proste? Taka jest demokracja? Chwileczkę. Zanim puścimy wodze naszej radości, przyjrzyjmy się niedawnej historii. Żeby ten sukces komunistów prawidłowo ocenić, trzeba

przypomnieć, że w 1995 roku komuniści podwoili liczbę głosów w porównaniu z wyborami z roku 1993. Że rok przedtem, w 1992, komuniści prawie nie istnieli i musieli bronić przed Trybunałem Konstytucyjnym po prostu ich prawa do politycznego bytu, jako że jeszcze rok przedtem, co nas cofa aż do 1991 roku, w ogóle ich nie było: po puczu w sierpniu 1991, Jelcyn zwyczajnie kompartię rosyjską zawiesił i – jak się wówczas wydawało – na zawsze zdelegalizował.

Jak widać, Jelcyn się mylił i bardzo tego dziś żałuje. Skąd taka zmiana? Obywatele Rosji mają chyba po prostu dosyć jalcynowskiego reżymu, stanowiącego dziwną ale nieznośną mieszaninę pół-anarchii władzy, arogancji nowo-bogaty, protegowanych Jelcyna, byłych nomenklaturszczyków albo mafii, którzy przeprowadzili najbardziej dziką prywatyzację na świecie, mają dosyć przekupstwa, niekompetencji, rozrób, braku odpowiedzialności, pauperyzacji społeczeństwa poprzez wrzucanie w nędzę nie płaconych przez miesiące urzędników, lekarzy, górników, hutników i Bóg wie kogo jeszcze. Na to nałożyło się poczucie degrengolady państwa i jego miejsca na świecie. Mają dosyć samego Jelcyna, który – jak powiadają aluzyjnie w Moskwie – „ciągle jest na pokładzie samolotu w Shannon” (gdzie – jak pamiętamy – był tak zalany, że nie mógł wyjść na spotkanie z prezydentem Irlandii). „Górna Wolta plus rakiety atomowe”, ta charakterystyka jest dziś bardziej aktualna niż wtedy, kiedy rodziła się w epoce późnego Reagana. Fatalne pudło w Czeczenii dopełniło czary.

Zdaniem specjalistów, w grudniu 1995 „to nie były wybory do Dumy, to było votum nieufności wobec Jelcyna”... I rzeczywiście. Jeżeli wszystko skrupulatnie podliczyć to się okaże, że ok. 85% wyborców rosyjskich było przeciwko jalcynowskim reformom i sposobowi sprawowania przez niego władzy.

### Jest taka partia

Czy było to tylko głosowanie przeciwko Jelcynowi, czy także za Ziuganowem, to się okaże (jeżeli się okaże) dopiero 16 czerwca wieczorem. Zanim jednak obywatele Rosji pójdą do urn, powinni kilka spraw spróbować sobie wyjaśnić.

Po pierwsze, powinni mieć świadomość, że spotkanie Rosji z komunizmem, podobnie jak symbioza Niemiec z nacjonalizmem, dwóch krajów bez właściwie (z wyjątkiem republiki Kierenskiego i republiki Weimaru) żadnej tradycji demokratycznej, stały się przyczyną największych dramatów ich własnych krajów i największych kataklizmów na świecie. Podniesiony do rangi ideologii i doktryny państwowej, obowiązującej teorii wszechświata i prawdy objawionej, komunizm, podobnie jak nazizm, doprowadził do najbardziej bezlitosnej i niszczącej dyktatury w historii Rosji i Niemiec, a ponieważ miał też mesjanistyczne ambicje i charakter imperialny, to ulokował się także na najbardziej czarnych kartach historii Europy i świata.

Po drugie, powinni mieć świadomość, że utożsamienie komunizmu rosyjskiego z postkomunizmem polskim czy węgierskim prowadzi do nieporozumienia i *à terme*, nieszczęścia. Nawet semantyka jest przecież inna. Mało ważne, ale znamienne, że wszystkie partie nowej lewicy środkowo-europejskiej zmieniły nazwę, wyrzucając słowo „komunizm”, tylko rosyjska ją utrzymała. Na czele polskiej czy węgierskiej (innych zresztą także) partii postkomunistycznej stają dziś (w zasadzie) byli reformatorzy z byłych partii komunistycznych, ludzie, którzy weszli do partii wyłącznie z przyczyn oportunistycznych. Nikt normalny nie będzie przecież mówić o żywym leninizmie w gnijącym PZPR z okresu po „Solidarności” w roku 1980-81, nie mówiąc już o degeneracji partii po stanie wojennym.

Pan Ziuganów, o czym nie wszyscy wiedzą, to zupełnie coś innego. „Jest taka partia” może wykrzyknąć jak (rzekomo) jeden z jego poprzedników. Jaka partia? Ano ta, która wezwała do puczu przeciwko Gorbaczowowi w sierpniu 1991. Pan Ziuganow sam w puczu udziału nie brał, sam został na uboczu i innym tak radził, ale jest, czym się zresztą chwali, jednym z autorów „Manifestu do narodu” z lipca owego 1991, który zapowiadał i uzasadniał pucz. No i co też warto wiedzieć, wszyscy żyjący uczestnicy junty puczowej są w łonie, a niektórzy w kierownictwie, partii pana Ziuganowa.

I tak na przykład, przy całej, niezbędnej dozie nieufności (patrz „afery Oleksy” czy też początek prawdziwej „republiki koleśników Sekuły”) można powiedzieć, że, jak dotąd,

postkomuniści polscy czy węgierscy nie wykroczyli w ich walce o władzę poza reguły gry demokratycznej. I, jak twierdzą, nie mają żadnych złych zamiarów na przyszłość. Pan Ziuganow natomiast, nie mówiąc już o rozmaitych bolszewikach, „którzy się do niego przyłączyli”, nie kryje zamiaru budowy państwa „odpowiadającego tradycyjnym formom rosyjskiego życia społecznego”. Kto zna te tradycje podejrzewa, że chodzić tu może tylko o ustrój biurokratyczny, scentralizowany, bez żadnej kontroli społecznej nad monopolistyczną (niedługo?) partią.

Środkowo-europejscy postkomuniści już dawno przeszli na gospodarkę rynkową, z całym dobrodziejstwem (dosłownie i w przenośni) inwentarza. Z tego punktu widzenia, Kwaśniewski czy Horn wyprzedzili w niektórych parametrach nawet samego Klause, nie podejrzanego o komunistyczny rodowód, czeskiego premiera i proroka liberalizmu. Nie trzeba za daleko sięgać, aby udowodnić, że nie takie są zamiary Ziuganowa. On sam i jego ludzie mówią nie o prywatyzacji a o nacjonalizacji, a nawet renacjonalizacji. Prawo własności przedsiębiorstw a zwłaszcza ziemi, tego klucza do jakiegokolwiek formy gospodarki rynkowej w Rosji, jest otwarcie kwestionowane.

Wreszcie powinni sobie uświadomić, że z Ziuganowem i jego ekipą na Kremlu, Rosja ryzykuje na nowo awantury międzynarodowe. Nowa lewica środkowoeuropejska nie widzi przyszłości poza Europą. Mniejsza o jej ukryte intencje, jeżeli takie istnieją, na razie jej jedyna właściwie strategia dyplomatyczna polega na jak najszybszym doszlusowaniu do zachodnich struktur gospodarczych, politycznych i obronnych: Unii Europejskiej, NATO itd.

Partia pana Ziuganowa ma zupełnie inny pogląd na tę samą sprawę. W jej retoryce, nacjonalistycznej, słowianofilskiej, a nawet (Lenin i jego „opium” przewracają się w mauzoleum) prawosławnej, Zachód ciągle spiskuje przeciw Rosji, wszystkie inicjatywy zbliżenia sąsiadów Rosji z Zachodem, zwłaszcza przesunięcie NATO na wschód od Niemiec, traktowane są jako część planu osłabienia Rosji, jako groźba dla jej bezpieczeństwa. Veto wobec NATO w Polsce stanowi dziś prawdziwą obsesję Rosji. W istocie, dla ekipy Jelcyna antynatowskie „niet” ma charakter, zapewne,

głównie taktyczny i przedwyborczy. Dla Ziuganowa jest to jednak nowe wydanie czegoś w rodzaju „doktryny Breżniewa”. Ziuganow nie ukrywa, że na dłuższą metę i naturalnie wyłącznie na zasadzie dobrowolności, zmierzać będzie do odbudowy „jakiegoś” Związku Sowieckiego. Jakiego, to się okaże w praniu. Na razie Zachód jest postrzegany jako przeciwnik i rywal, z którym stosunki rozwijać się mogą wyłącznie w strefie „normalnej” konfrontacji a w najlepszym razie na zasadzie wspólnej kontroli „szarej” środkowej Europy.

Naturalnie, coś, gdzieś polscy (czy inni) postkomuniści mają wspólnego z komunistami rosyjskimi. Ani jedni ani drudzy nie lansują hasła rewolucji. I jedni, i drudzy muszą się liczyć ze zmianami już dokonanymi, niektóre z nich są już nieodwracalne. W obu tych formacjach już działa hasło „bogaćmy się” i siłę coraz bardziej liczącą się (w Rosji na razie mniejszą, w Polsce większą) stanowią „czerwoni” przedsiębiorcy i bankierzy, rekrutujący się z byłej nomenklatury. Eklektyzm, żeby nie powiedzieć cynizm ideowy, są podobnego gatunku. Ani to ideał, ani program, a po prostu metoda, środek zdobycia, a potem utrzymania władzy, stanowisk i związków z tym korzyści dla siebie, swojej partii i jej otoczenia. Ale różnice są ważniejsze. Jak mawiano ongiś, warto by je zagrać na fortepianie...

### *Rendez-vous w więzieniu*

Taki jest duet na 16 czerwca. Taki jest wybór przed jakim niedługo staną Rosjanie.

Po mojej lewej ręce jest Borys Jelcyn, prawdziwy (do niedawna) lis polityczny, zdolny do manipulowania i mobilizowania tłumów. Dziś, w wieku lat 65, jest to człowiek ciężko chory na serce (operacja na otwartym sercu jest, zdaniem fachowców, niezbędna, inaczej Jelcyn ma przed sobą dwa lata życia), zżarty alkoholem, wyczerpany fizycznie i intelektualnie, świadom swojej niepopularności. Pytałem świadków jego niedawnego wystąpienia przed Dumą i zgodnie orzekli, że taki Jelcyn wyborów nie powinien wygrać.

Nie powinien, ale może. Po pierwsze, ma swój, coraz

szerszy elektorat: aparat państwowy i regionalny, ministerstwa „siłowe” (wojska, policja, KGB), które nie znajdą lepszego obrońcy ich interesów. Po drugie, cała nowa drapieżna, często po bandycku uwłaszczona nowa burżuazja i była nomenklatura. Po trzecie, po wyeliminowaniu Jawlinskiego, nowe pokolenie technokratów i przedsiębiorców.

W pewnym sensie Jelcyn powtórzy więc drogę Wałęsy z prezydenckich wyborów w Polsce, z innym chyba skutkiem końcowym. Tak jak Wałęsa, Jelcyn zaczął „wspinaczkę” wyborczą od bardzo niskiej lokaty. Tak jak Wałęsa Jelcyn znajdzie się zapewne w drugiej turze twarzą w twarz z (post?) komunistą. I tak jak do Wałęsy, w drugiej turze, i w ostatniej chwili, do Jelcyna także przyłączą się zdradzeni przez niego demokraci.

Z braku wyjścia, z bólem serca i niesmakiem w ustach, demokraci i reformatorzy poprą Jelcyna. Nikt inny z obozu reformatorskiego nie ma bowiem najmniejszej szansy zagrodzenia drogi Ziuganowowi. Na starcie kampanii wyborczej, rosyjscy demokraci byli (może są jeszcze) u progu samobójstwa. Ich różnice „ideologiczne” były tylko pozorne a kryły w istocie zwaśnione ambicje osobiste. Demokraci rosyjscy sprawiali wrażenie, że nie nauczyli się niczego, że nawet sukces komunistów i, częściowo, Żyrynowskiego, w wyborach do Dumy w grudniu 1995, nie potafił ich pogodzić. Gajdar nie chciał poprzeć Jelcyna, bo Czeczenia itp., a Jawlinski, jedyny kandydat demokratyczny mający bazę wyborczą i parlamentarną, nie chciał popierać Gajdara, bo były premier jest negatywnym symbolem ludzkiego niezadowolenia i społecznych kosztów reformy rynkowej. Bardak zupełny, no ale antykomunistycznym i katolickim Polakom, pozbawionym silnego centrum i w ogóle wiarygodnej opozycji centrolewicowej lub prawicowo-chadeckiej, takiej sytuacji tłumaczyć nie trzeba. Jedyne rzeczowy wniosek potrafił sformułować Anatolij Czubajs. „Jeżeli wygra Ziuganow, powiedział Czubajs, to ja się spotkam z Jawlinskim i Gajdarem, ale w więzieniu”. I choć, jego wyrzutek i ofiara, Czubajs zaproponował aby poprzeć Jelcyna.

Być może, że właśnie to realistyczne stwierdzenie ocuciło demokratów. Perspektywa „spotkania w więzieniu” nie może naturalnie zastąpić wspólnego programu wyborczego, ani

przekonać o celowości wspólnego kandydata. Może tylko, w pewnym stopniu, wytłumaczyć dlaczego w odruchu instynktu samozachowawczego, rosyjscy demokraci od Gajdara po Jawlinskiego i Kowaliowa, podjęli jednak właśnie w marcu, próbę dogadania się i głosowania, tak chyba można przypuszczać, w pierwszej turze na Jawlinskiego a w drugiej na Jelcyna.

Po mojej prawej ręce jest Giennadij Ziuganow. Do niedawna był to dla nas prototyp albo archetyp sowieckiego, nudnego, bez wyrazu, aparatczyka z okresu agonizującego Breżniewa. Ci co go znają ostrzegają jednak przed lekceważeniem Ziuganowa. 51 lat, zdrowy i (na ogół) trzeźwy, Ziuganow to polityk sprytny, a nawet przebiegły, intelektualnie sprawny, dobrze poinformowany, o ostrym ale nie prowokatorskim języku, szybkiej i, o zgrozo, często dowcipnej ripocie.

Ziuganow prowadzi (jesteśmy na początku marca) we wszystkich sondażach. Posługuje się najbardziej skuteczną, często demagogiczną, ale to normalne, propagandą, dysponuje najlepszym, jeżeli nie jedynym, aparatem partyjnym, obecnym właściwie wszędzie z wyjątkiem centralnych dzielnic największych miast. Kto będzie głosować na Ziuganowa, szefa partii, jak to ktoś nazwał, „ludzi starych”? Komuniści, i ich zadeklarowani sojusznicy, naturalnie. Wszyscy właściwie emeryci i inne ofiary reformy. To bardzo dużo ludzi. A do tego trzeba dodać także część elektoratu Żyrynowskiego i Lebedia (druga część, zdecydowanie antykomunistyczna, odda głosy jednak na Jelcyna), a także wściekłe, spauperyzowane, w mundurach lub w cywilu, sieroty po imperium.

### *Zachód już wybrał*

Rosjanie mają wybór może nie najbardziej atrakcyjny (republikańskie amerykańskie mają lepszy?), ale ich akt wyborczy będzie wyjątkowo ważny. Stawka jest ogromna.

Z jednej strony, po raz pierwszy w historii Rosji, szef państwa zostanie wybrany w wyborach naprawdę powszechnych i demokratycznych. Nie, to nie pomyłka. Borys Jelcyn wybrany bowiem został, o czym niewiele osób pamięta,

jeszcze w... ZSSR i to w ramach starej sowieckiej konstytucji. Po rozpadzie ZSSR a przede wszystkim po uchwaleniu nowej konstytucji z 1993 roku, Jelcyn pozostał prezydentem na zasadzie „prowizorium”. Inaczej mówiąc, następny prezydent Rosji będzie miał legitymizację bez precedensu, o jakiej Jelcynowi się nie śniło.

Z drugiej strony, nowy prezydent będzie dysponował, na zasadzie owej konstytucji z 1993 roku, ogromnymi prerogatywami, znacznie bardziej rozległymi niż prezydent Francji czy USA. Mówiąc brutalnie, uprawnienia prezydenta Rosji są tak szerokie, że właściwie pozwalają mu na legalne, zgodne z konstytucją, ustanowienie... dyktatury.

Co wybrać? Jak głosować? Rosjanie odpowiedzą 16 czerwca. Zachód swojego kandydata na prezydenta Rosji już ma. I, choć do dnia wyborów daleko, to już na niego, na różne sposoby, głosuje.

Zachód wychodzi z potrójnego co najmniej założenia. Że, z jednej strony, z punktu widzenia interesów Zachodu czy świata demokratycznego w ogóle, nie ma lepszego kandydata na prezydenta Rosji niż Borys Jelcyn, albowiem Jawlinski jest bez szans, a każdy inny, Ziuganow czy tym bardziej Żyrynowski, może być tylko gorszy od obecnego lokatora Kremla. Zdając sobie sprawę z ograniczonych możliwości wpływania na procesy wewnętrzne w Rosji, Zachód uznał jednak, że Jelcynowi trzeba w maksymalnym stopniu pomóc.

Że, z drugiej strony, można mieć nadzieję, (niektórzy mają nawet pewność), że po wyborze Jelcyna wszystko wróci do normy, do *status quo ante*, kiedy to świat zachodni, bez potrzeby zachowywania albo przy zachowywaniu tylko niewielu prestiżowych pozorów, bez uznawania a tym mniej liczenia się z faktycznie nie istniejącą super-potęgą rosyjską, będzie mógł nie czyniąc większych koncesji politycznych (tak jak to było np. w trakcie rozwiązywania kwestii niemieckiej czy – w innej skali – w narzuceniu *pax americana* w ex-Jugosławii), skłaniać Rosję do współpracy w pacyfikowaniu świata, a co najmniej do nie przeszkadzania w tym pacyfikowaniu.

Inaczej mówiąc, można odnieść wrażenie, że Zachód uznał, iż nie ma innego wyjścia niż – jak to się mówi – wło-

żyć wszystkie jajka do jednego koszyka, Jelcyna mianowicie. Porównania są w polityce zawodne, ale w pewnym sensie sytuacja obecna przypomina stosunek Zachodu do Gorbaczowa. Zachwyt wobec autora *pieriestrojki* był autentyczny (trwa zresztą do dziś) i zasłużony (bardziej w każdym razie niż w odniesieniu do Jelcyna). Zaskoczenie po tej stronie było więc ogromne, kiedy okazało się, że Gorbaczow jest tak bardzo słaby i niepopularny w Rosji. Mimo tego, gdyby Zachód mógł sam wybrać nowego prezydenta Rosji, to na Kreml by powrócił od pierwszego podejścia, bez żadnej drugiej tury, Michaił Gorbaczow. Ale Zachód nie może, Gorbaczow nie wróci (choć bardzo chce i dał żałosny pokaz polityka niezdolnego – skąd my to znamy? – do uznania, że jego rola się skończyła) i musi popierać Jelcyna.

### Trzy akty wiary

Nie ma takiej ceny, jakiej świat nie byłby gotów zapłacić za sukces Jelcyna. Spośród długiej listy przykładów, trzy wydają mi się wyjątkowo znamienne.

#### Akt I. Cyniczny.

W środę 28 lutego 1996, Rada Europy z siedzibą w Strasburgu, od jednego uderzenia zwiększyła swój stan posiadania o jednego członka (teraz jest ich 39), podwoiła swoje terytorium (Władywostok znalazł się w Europie razem z Pragą, Paryżem i Lizboną) i straciła (resztę) dziewictwa. Minister spraw zagranicznych Rosji Jewgienij Primakow podpisał wtedy Europejską Konwencję Praw Człowieka i inne dokumenty tej samej kategorii, których przykazań Moskwa nie ma zamiaru (Primakow tego zresztą nie ukrywał), a mówiąc poważnie – nie może, nie umie, nie chce przestrzegać.

Debata nad przyjęciem Rosji do Rady Europy trwała od 1992 roku. Ostatni raz została odroczone w 1995 roku z powodu interwencji rosyjskiej w Czeczenii. Dobrego momentu dla decyzji o przyjęciu Rosji do Rady Europy nie było



w ogóle, ale ta decyzja zapadła, w najgorszym momencie możliwym, 8 lutego 1996, w chwili najbardziej krwawego i cynicznego epizodu tej interwencji, masakry w Pierwomajskoj. Dlaczego? Odpowiadam: z podwojonego strachu. Przed Rosją: lepiej, powiedziano w Strasburgu, mieć Moskwę w środku niż na zewnątrz. Przed Ziuganowem: Jelcyn nas potrzebuje, to Jelcyn powinien wprowadzić Rosję do Rady. Inaczej przegra wybory, a nam do tego dopuścić nie wolno...

Rada nigdy nie miała politycznego znaczenia. Miała tylko znaczenie moralne. Przynależność do niej stanowiła coś w rodzaju zaświadczenia dziewictwa. Teraz może je stracić, hipokryzja jej stanowiska wobec Rosji grozi implozją, rozsądzeniem Rady od środka, od wewnątrz. Gra o dziewictwo Rady już się zresztą zaczęła. Atrament jeszcze nie wysychł na podpisie Primakowa pod dokumentem w Strasburgu, a Jelcyn już nakazał dwunastu przedstawicielom Dumy (z Żyrynowskim i Ziuganowem na czele) do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy aby „zablokowali wszelką próbę nacisku na Rosję, wszelką próbę mieszania się w wewnętrzne sprawy” Rosji. Inaczej mówiąc, o żadnym dziewictwie mowy być nie może...

Co za dużo to niezdrowo. Przewodnicząca Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy (tego właśnie, które uchwaliło wejście Rosji), pani Leni Fisher wystąpiła natychmiast w obronie dziewictwa Rady. „Ani prawa człowieka w ogóle, ani Czeczenia w szczególności – powiedziała – nie stanowią sprawy wewnętrznej Rosji”. Zaczęło się więc ładnie. Jak wiadomo z biologii, nie można być dziewicą na 50%, czy i jak jest w polityce, o tym się w Strasburgu bardzo szybko przekonamy.

### *Akt II. Niebezpieczny.*

Helmut Kohl nie pojechał do Strasburga, a pojechał do Moskwy. Po co? Kohl tego nie powiedział. Zastrzegł się tylko, że nie po to, aby ingerować w wewnętrzne, wyborcze sprawy Rosji. Kłamał. W istocie właśnie po to pojechał. Kohl powiedział m.in. że Borys Jelcyn jest partnerem absolutnie wiarygodnym i najlepszym gwarantem kontynuowania reform w Rosji.

Nie należy się dziwić. Niemcy mają za co dziękować Jelcynowi. To on zapewnił, i to, jak niektórzy pamiętają, z pieśnią na ustach (dosłownie i w przenośni), harmonijną, bezszmerową ewakuację wojsk rosyjskich, zjednoczenie Niemiec w ogóle. Pomoc Niemiec dla Rosji już przekroczyła 75 miliardów dolarów. A to nie koniec...

Ale pieniądze to, jak wiadomo, w miłości nie wszystko. Tradycja też się liczy. Niemiecka ost-polityka ciągle opiera się na przekonaniu, że bezpieczeństwo nawet najbardziej europejskich Niemiec zależy przede wszystkim od dobrych stosunków z Moskwą. To także tłumaczy fakt, że Kohl, który jest ciągle godnym zaufania (co będzie po nim, to inna sprawa) orędownikiem rozszerzenia Unii Europejskiej i przyjęcia do niej Polski i innych krajów ze Wschodu, bardzo wygasił swój entuzjazm wobec rozszerzenia NATO. Że, jeszcze w Monachium, na konferencji o bezpieczeństwie w Europie, na kilka dni przed podróżą do Moskwy, powiedział, iż „należy brać pod uwagę uzasadnione interesy bezpieczeństwa Rosji i poważnie traktować aspekty psychologiczne rosyjskiej opozycji wobec rozszerzania NATO”... I że w Moskwie dodał, iż sprawa ekspansji NATO zostanie poruszona „jak przyjdzie jej czas”...

Zapytałem owego polskiego ministra spraw zagranicznych, Dariusza Rosatego, czy w czasie spotkania Kohla z Jelcynem nie przeszły mu ciarki po plecach. Powiedział, że nie przeszły. Zapytałem, inaczej formułując kwestię, czy niemiecka euforia wobec Rosji nie wzbudziła w nim serii niedobrych skojarzeń, nie cofnęła go do Rapallo, nie ożywiła idei „kondominium” rosyjsko-niemieckiego w środkowej Europie? Powiedział, że nie wzbudziła i nie ożywiła.

Pan Rosati robi wrażenie człowieka spokojnego i, jak przystało na szefa MSZ, poinformowanego. Po pierwsze, zdaniem ministra, wizyta Kohla jest tylko pozornie dziwna. Przestaje być dziwna kiedy umieści się ją w kontekście wyborów rosyjskich. Poparcie dla Jelcyna poszło tak daleko, że Kohl odmówił spotkania z jakimkolwiek przedstawicielem innej niż jelicynowska orientacji politycznej. Tak więc Kohl także, i słusznie, głosuje na Jelcyna. Nie należy mu w tym przeszkadzać.

Po drugie, wszelkie aluzje do Rapallo czy kondominium,

są bezpodstawne. Kanclerz Kohl jest nadal głęboko przekonany, że jest najlepszym adwokatem polskiego zakotwiczenia w strukturach zachodnich. Jego wypowiedzi, sformułowanych w bardzo specjalnym kontekście, nie należy w żadnym wypadku traktować jako odchylenia od tej linii. „Myśmy to sprawdzili” – powiedział pan Rosati, powołując się na swoje rozmowy z przedstawicielami Bonn już po wypowiedziach Kohla w Monachium i w Moskwie.

Po trzecie, w pewnym stopniu, ale nie tylko w kontekście wyborów, Zachód ocenia Polskę TAKŻE w świetle stosunków Warszawy z Moskwą. Minister uważa przy tym, że inicjatywa należy raczej do strony polskiej, czego wyrazem są (były w chwili naszej rozmowy): zapowiedziany przyjazd ministra Primakowa do Warszawy w marcu i wizyta prezydenta Kwaśniewskiego w Moskwie, w kwietniu.

Pan Rosati widzi tę aktywność polską w stosunku do Rosji w potrójnym świetle. Z jednej strony, polska polityka zagraniczna nie uległa zmianie: jej opcja pro-zachodnia jest nadal priorytetem MSZ i całego rządu. Rosyjskie veto wobec rozszerzenia NATO jest raczej koniunkturalne. Okres, licytacje i napięcia przedwyborcze, nie sprzyjają racjonalnej argumentacji. Po wyborach Rosję będzie można przekonać o awantazach i nieuniknionym charakterze rozszerzenia NATO.

Z drugiej strony, Polska postara się udowodnić, że pogląd iż wejście do NATO i dobre stosunki z Rosją są nie do pogodzenia, nie odpowiada prawdzie. Rosja to największy i bardzo ważny sąsiad Polski. Pogłoski powstałe na tle sprawy Oleksego o istnieniu w Polsce jakiejś „orientacji pro-rosyjskiej” nie mają żadnego uzasadnienia rzeczowego, ale poprawa stosunków z Rosją jest, zdaniem Pana Rosatiego, kluczowym zadaniem dyplomacji polskiej.

I wreszcie, świat się z Rosją bardzo liczy, zastanawia się jak przyznać (i jaki) status odpowiadający jej potencjałowi. Poprzez poprawę m.in. jej stosunków z Moskwą, Polska będzie mogła udowodnić światu, że po wejściu do NATO nie wciągnie zachodniego sojuszu w żadne nieodpowiedzialne ryzyka i awantury.

### *Akt III. Kosztowny.*

Pan Michel Camdessus, naczelny dyrektor Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW), też nie pojechał do Strasburga. I też pojechał do Moskwy. W teczce miał nadzieje zachodnich polityków, a także nasze pieniądze, ponad 10 miliardów dolarów, i ogromny zasób hipokryzji.

10 miliardów to sporo grosza, to największa pożyczka udzielona przez MFW jednemu krajowi. Ustępuje ona jedynie zastrzykowi (ok. 22 miliardów dolarów) dla Meksyku z początkiem ubiegłego roku. Tylko, że kryzys meksykański groził zawaleniem się całego międzynarodowego systemu finansowego, podczas kiedy w Rosji chodzi o kryzys w jednym, jak mawiał Stalin, oddzielnie wziętym kraju. Prasa światowa nie miała żadnych wątpliwości, że walizka z pieniędzmi MFW ma podwójne dno. I że pod pretekstem pożyczki, MFW udzielił pomocy nie tyle, albo nie tylko, gospodarce rosyjskiej ale także, jeżeli nie przede wszystkim Borysowi Jelcynowi.

Tu nie chodzi o pieniądze. Tak jak w Strasburgu i w Bonn chodzi o politykę. Jak to określono w Białym Domu, pozbawienie Jelcyna tej pożyczki i to w tak delikatnym momencie kampanii wyborczej, byłoby decyzją nieodpowiedzialną. Rzecznicy MFW bardzo ostro zareagowali na wszelkie podejrzenia dotyczące politycznego charakteru pożyczki dla Rosji. Drukowali nawet sprostowania w gazetach, które takie wątpliwości wyraziły. Dyrektor generalny MFW poszedł najdalej. Na pytanie dlaczego MFW udzielił Rosji pożyczki akurat w momencie wyjątkowo brutalnego gwałcenia przez Moskwę praw człowieka (np. w Czeczenii) pan Camdessus odrzucił w ogóle jakikolwiek związek między tymi tak odległymi sprawami. „Są, powiedział dyrektor, inne instytucje powołane do kontroli poszanowania praw człowieka, np. Rada Europy...” W ten sposób koło się zamknęło: nie ma żadnego związku między garścią dolarów, a garścią ludzi. Prawa człowieka są w Strasburgu. W pancernej kasie MFW jest tyle dolarów, że na prawa człowieka nie ma już miejsca.

*Polityka? To nie my.*

Kropkę nad i postawił w rozmowie ze mną pan Jacques de Larosiere, francuski (tak jak Camdessus) prezes Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOR) w Londynie. „Nasz Bank – stwierdził pan Larosiere w odpowiedzi na pytanie dotyczące jego działalności w Rosji – nie kieruje się motywami politycznymi. Pracujemy dyskretnie, racjonalnie, bez związku z jakimkolwiek kalendarzem wyborczym. Nasze projekty muszą spełniać kilka warunków, a przede wszystkim być wpisane w proces wdrażania gospodarki rynkowej. Nasz statut – podkreślił pan de Larosiere – zakłada, że powinniśmy popierać proces demokratyzacji, zwłaszcza pluralizmu partyjnego.”

A oto fragment wywiadu:

– Ja: „Czy wyeliminowanie wszystkich liberałów z rządu rosyjskiego i polityka Jelcyna w Czeczenii nie potwierdzają tendencji raczej odwrotnych?”

– Pan de Larosiere: „Mamy sztab doradców i ekspertów, którzy analizują i oceniają sytuację w krajach, gdzie operujemy. Wyniki ich pracy oceniane są, zawsze w trakcie dyskusji nad strategią Banku, na zebraniach Rady Nadzorczej. Wyciąganie wniosków należy do Rady Nadzorczej”.

– Ja: „Czy Rada nie zmieniała strategii wobec Rosji na tle dramatu czeczeńskiego?”

– Pan de Larosiere: „Śledzimy sytuację z dużą uwagą i czujnością. Ale nasza Rada Nadzorcza nie zaleciła nam ograniczania naszej działalności”.

Do tego wyznania wiary polskiego ministra i dwóch zachodnich bankierów, dodałbym jeszcze jedno. W czterech krótkich punktach.

Po pierwsze, niewielka porcja ciarków (czy ciarek czyli dreszczy) po plecach przy okazji historycznych skojarzeń bardzo pomaga uniknąć błędu w prawidłowym przewidywaniu przyszłości.

Po drugie, nie wszystkie „zagrania” Jelcyna mają charakter koniunkturalny. Jelcyn może wygrać wybory, ale to nie znaczy, że odwoła wszystko co złego na temat małżeństwa Polski z NATO powiedział w czasie kampanii wyborczej.

Jelcyn pozostanie w pewnym stopniu więźniem i zakładnikiem swej własnej retoryki.

Po trzecie, wszystko co wyżej to tylko cząstkowe elementy rozumowania, które prowadzi do wniosku, że nie ma żadnego powodu aby pan Camdessus, w którego kasie nie ma miejsca na prawa człowieka w Czeczenii, znalazł w niej miejsce na prawa człowieka w Polsce... Ani żeby Rada EBOR-u zaleciła zmianę strategii wobec Rosji na tle (ewentualnego) dramatu Polski...

Po czwarte i najważniejsze, nie chodzi więc tylko o to aby Polska udowodniła światu, że nie wciągnie go w żadne nieodpowiedzialne awantury, ale o to aby nie została przez ten świat w taką awanturę sama wciągnięta. Jak tego uniknąć? To, jak mówią Francuzi, jest „vaste programme”, temat na inny artykuł. W skrócie mówiąc, trzeba przede wszystkim wziąć się do roboty, odrobić zadania domowe. Mniej liczyć na szczodrość i sympatie świata (weszy w spiralę malejącą), a więcej na siebie samego.

### *Apokalipsa jutro?*

I tu musimy się nieco cofnąć. Uważni czytelnicy zauważyli zapewne, że zapowiedzieliśmy trzy, a wymieniliśmy tylko dwa założenia, tkwiące u źródła obecnej polityki zachodniej. Pierwsze wyrażało przekonanie, że Zachód nie ma lepszego kandydata niż Jelcyn. Drugie, że jak Jelcyn wygra, to wszystko wróci do normy. No a trzecie?

Trzecie założenie powiada, że nie będzie nieszczęścia jeżeli wygra Ziuganow. Naturalnie, należy robić wszystko, aby nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Zachód głosuje na Jelcyna. Trzeba jednak, tak nakazuje rozum i instynkt, wziąć także pod uwagę możliwość sukcesu Ziuganowa. Wejście Ziuganowa na salony Kremla przyjemności nikomu tutaj nie sprawi, ale w oczach Zachodu, choć nikt o tym głośno nie mówi, nie spowoduje ono trzęsienia ziemi. I to nie dlatego, że Ziuganow zachwyił zachodnich burżujów na targowisku próżności, czyli forum w Davos, a dlatego, że określone procesy przekształceniowe poszły tak daleko, iż są już zdaniem naszych strategów, nie do odwrócenia.

Obaj moi wymienieni wyżej rozmówcy nie wykazują w tym rejestrze większych emocji. Pan Rosati uważa np. że „Ziuganow odszedł tak daleko od KPZR, jak Kwaśniewski od PZPR”. A oto fragment wywiadu:

– Ja: „Czy Ziuganowa można określić jako postkomunistę, czy można go porównać z postkomunistami w Polsce?”

– Pan Rosati: „Postkomunizm rosyjski na pewno nie jest tego samego typu, co postkomunizm polski. Ale to nie jest także ani komunizm typu sowieckiego, ani ekstremizm Żyrynowskiego, ani pluralizm generała Lebedia...”

– Ja: „A przecież Ziuganow zapowiada próbę odbudowy jakiegoś Związku Sowieckiego...”

– Pan Rosati: „On ciągle nie rozumie, że imperium to dziś już nie jest opłacalny interes. Poważnie zaś mówiąc, Rosja nie dysponuje dziś środkami umożliwiającymi realizację takiej polityki. Będziemy musieli współpracować z każdym demokratycznie wybranym rządem rosyjskim.”

Z panem de Larosiere dialog wyglądał podobnie.

– Ja: „Czy EBOR wysnuł jakieś wnioski z faktu, że byli członkowie partii komunistycznej są dziś u władzy we wszystkich prawie (z wyjątkiem Czech) krajach Europy posowieckiej? Sukcesy wyborcze postkomunistów wszędzie tłumaczone są w podobny sposób: rozczarowanie obywateli wysokimi kosztami reformy rynkowej. Czy w tym sensie nie jest to także porażka EBOR-u?”

– Pan de Larosiere: „Kategorycznie odrzucam tezę o porażce reform i EBOR-u. Te kraje Europy środkowej i wschodniej, które najwcześniej zastosowały reformy, mają dziś najlepsze wyniki. EBOR jest ciałem apolitycznym. Nie do nas należy ocena ekip u władzy w poszczególnych krajach. Kiedy dochodzi do demokratycznej wymiany ekipy u władzy, notujemy ten fakt, koniec, kropka...”

Do tych dwóch znaków można dodać jeszcze kilka. Ja bym dodał tylko jeden bardzo duży znak zapytania i wykrzyknik...

Pisane 9 marca 1996

*Leopold UNGER*

## Dwie Polski?

### 1.

Skończyły się wybory prezydenckie, spełzła na niczym magisterska „trzecia tura”, zadymiło sprawą Oleksego... Postronnemu obywatelowi mogło się być zdawać, że w kraju szykuje się jakaś eksplozja, zwrot generalny. Opozycyjne sztaby obradowały w permanencji, ogłoszono kryzys państwa i rozpisano poszukiwania Męża Opatrznościowego do roli „premiera przywracania wiarygodności państwa” (sic!). Nagle nie było już III Rzeczypospolitej, zostało nie wiadomo co. W Telewizji Polskiej pampersy, jak nazywają w Warszawie młodych redaktorów z I programu, bliskich Ruchowi Odbudowy Polski Olszewskiego i Kurskiego, łopotały jak husarskie skrzydła. Zdawać by się mogło, że Polska będzie raz jeszcze obalać komunizm. A potem nagle wszystko się rozeszło. Polska jest, jaka była, z tymi samymi problemami. Nic się nie stało, nie jest nagle ani lepiej ani gorzej. Nie ma kryzysu, jest żmudna codzienność. Dramat rozwiął się jak mgła. Bardzo nalegam, żeby czytelnik zastanowił się nad tym efektem, który sprawia, że polskie życie polityczne przypomina senne zwidy.

W ostatnich miesiącach wiele było rozważań o podziale Polski na dwoje, o zimnej wojnie domowej – i snuli te rozważania zarówno ci, którzy jak Michnik i Cimoszewicz przed takim rozwojem ostrzegali, jak i ci, z reguły z prawej strony, których zdaniem dobrze byłoby raz wreszcie sprawę zakończyć, przekreślić Grubą Kreską i pokazać komuchom bądź postkomunistom, gdzie ich miejsce. Było tego tak wiele, że nikt jakoś nie odważył się zapytać: a może to

wszystko nieprawda, może w ogóle nie ma żadnego takiego podziału, żadnego rozdwojenia, żadnej „Polski solidarnościowej” i „Polski postkomunistycznej”? III Rzeczpospolita powstała po PRL, ale kolejność w czasie nie przekłada się przecież na wrogą współobecność przestrzeni. Solidarność zrodzona w sierpniu 1980 r. w Stoczni Gdańskiej tak samo należała do PRL jak PZPR, a Solidarność roku 1995 tak samo należy do III Rzeczypospolitej jak SLD. Już słyszę oburzonych manichejczyków, dla których polityka jest egzemplifikacją metafizycznej walki Dobra i Zła: jak można tak mieszać!

Otóż można i nawet trzeba.

Polska historia końca stulecia jest wyjątkowo dobrze zsynchronizowana z historią powszechną: koniec PRL i urodziny III Rzeczypospolitej otwierają epilog Epoki Totalitaryzmu. Ta epoka jest odtąd skończona i zamknięta. To zaś nie znaczy ani powszechnego wybaczenia, ani powszechnej amnezji, znaczy natomiast: wyczerpanie problematyki. Przez kilkadziesiąt lat, od pierwszej wojny światowej, fenomen totalitaryzmów stanowił centralne doświadczenie kultury i polityki. Teraz to doświadczenie jest wyczerpane, wszystko jest domyślane do końca i przewód jest zamknięty. Formuła „postkomunizmu” jest bardziej jeszcze pusta niż osławiony „postmodernizm”, ponieważ „postmodernizm” można przynajmniej traktować jako świat cytowany i bawić się taką podróżą w czasie, ale gdy politolog chce z pomocą pojęcia „postkomunizmu” zrozumieć, co się dzieje, nie pojmuje do słownie niczego. Powtarza banały o sowieckim człowieku, który nie umie zapomnieć i odzwyczaić się i stara się wyjaśnić postkomunizm komunizmem („przeżytki”), gdy tymczasem jest to zupełnie nowa rzeczywistość i nowa problematyka.

Zwolennicy tezy, że istnieją dwie Polski, jedna zwana Polską Posierpniową (A. Hall) i druga, owa postkomunistyczna o niejasnym statusie istnienia (zapewne w kalendarzu juliańskim?) mają szczególnie żal do Okrągłego Stołu, ponieważ zdaje im się, że gdyby sprawa załatwiona była rewolucyjnie przez obalenie PRL gwałtem, to rzeczywiście powstałyby dwie Polski. Jedna górą a druga dołem – i to właśnie byłby jedyny uchwyt sensu tzw. rozliczenia za PRL.

Nawet gdyby pominąć realia 1989 trzeba pamiętać, że była to tylko *fin de partie*, końcówka. Totalitaryzm erodował przedtem przez ponad trzydzieści lat i jego reprezentanci w 1989 roku byli o wiele bliżsi swoich interlokutorów z Okrągłego Stołu niż swoich przodków. Nie w tym rzecz, czy Michnik powinien czy nie powinien się fraternizować, ale w tym, że Jaruzelski był rzeczywiście nieporównanie bliższy swym rozmówcom niż ludziom Wissarionowicza. Toteż nawet bez Okrągłego Stołu PRL zapewne by się rozwiązała sama i znów nie byłoby Polski podwójnej do rozliczenia... W każdym razie dalszy ciąg świadczy dobitnie, że ówczesna elita rządząca z PZPR przeprawiła się na nowy brzeg historyczny, równie skwapliwie jak zwycięzcy z 4 czerwca 1989 (i dotarła znacznie dalej). Zresztą nawet teraz, w najostrożniejszych atakach na postkomunistyczną „drugą Polskę” powtarza się sakramentalny wtęret, że „oczywiście, nie ma mowy o nawrocie do komunizmu”... Ale jaki w takim razie sens ma termin „postkomunizm”? Dopóki była to wyraźnie wyodrębniona mniejszościowa grupa, jak np. w 1990 r. Klub Lewicy Parlamentarnej w jesszcze kontraktowym Sejmie, można było zbyć takie pytanie łatwym: spadkobiercy. Choć tak na marginesie właśnie wtedy nie mówiono raczej o postkomunistach... Teraz, kiedy postkomuniści wygrywają kolejne wybory, a lata dopisują rozmaite dalsze ciągi do jednolitych podobno biografii, wymiar pochodzeniowy postkomunizmu pozostaje ważny wyłącznie dla nieuleczalnych frustratów, którzy nadaremnie czekają na swój czas zemsty za „stracone życie w PRL” i im dłużej czekają, tym bardziej fabularyzują sobie i przeszłość, i terażniejszość. Istotnie ważne stają się jego wymiary programowy i pragmatyczny: nie to, co stanowi tradycję, pojmowaną, zależnie od patrzącego, jako wina lub jako usprawiedliwienie, lecz to, czego postkomunizm chce i to, co robi i co ewentualnie decyduje o specyfice proponowanych przez niego lub chociażby realizowanych milcząco odpowiedzi na nowe pytania. Jeśli rzeczywiście taka specyfika istnieje i postkomuniści nie są częścią tylko wariantem tego samego wśród wielu innych polskiego *patchwork*'u. Otóż zapewne nie istnieje żaden dobry wyróżnik programowy. SLD ma takie same trudności z określeniem się wobec świata

i rzeczywistości, w które wchodzi Polska, jak wszyscy inni i też może sobie powtarzać za Kołakowskim, jak być konserwatywno-liberalnym socjaldemokratą. Pozostaje zatem codzienna praktyka. I tu powracamy do początku. Ponieważ wbrew naiwnej publicystyce, która wszędzie widzi oczywistość, zrozumienie codziennej praktyki jest zawsze ogromnie dowolne. Codziennej praktyki nie doznajemy w dużych, koherentnych całościach. Percypujemy ją kawałeczkami. Co dnia dokładamy coś do ogromnego korpusu tego, co już wiemy lub sądzimy, że wiemy. Tutaj na codzienną praktykę czeka ideaowa i polityczna presumpcja.

Aleksander Hall postarał się niedawno o uporządkowanie swojej lektury postkomunistycznej praktyki (*Tygodnik Powszechny* nr 9) i wyliczył takie oto cztery zagrożenia:

1. Niepewność co do utrzymania polskiej polityki zagranicznej w okresie dekonjunkury...
2. Psucie gospodarki przez zinstytucjonalizowaną korpucję i faworyzizm polityczny.
3. Niebezpieczeństwo meksykanizacji systemu politycznego.
4. Negatywna rola wzorców życia publicznego w kształtowaniu morale społeczeństwa.

Łatwo zauważyć jak bardzo obciążone presumpcją ideaową jest widzenie Aleksandra Halla.

Nie trzeba nawet wdawać się w kolejną dyskusję o tradycjach orientacji rosyjskiej w Polsce, żeby zauważyć, iż nie ma żadnego prostego wynikania pomiędzy zależnością PZPR od Moskwy a stosunkiem działaczy SLD do dzisiejszej Rosji. Można by nawet przypuszczać, że tamte doświadczenia tym bardziej każą im cenić niezależność. Ale nie tylko o to chodzi: w okresie „dekonjunkury”, kiedy droga do integracji z Zachodem wydłuża się i komplikuje, SLD nie jest jedyną formacją, w której może się pojawić pokusa innych akomodacji. Ostatecznie, depeczę gratulacyjną do Janajewa miał gotową w 1991 Wałęsa, a najwięcej złorzeczeń pod adresem Zachodu słychać po prawej a nie po lewej stronie polskiej sceny. Co wszakże najistotniejsze: siłą i gwarancją stabilności jakiegokolwiek polityki zagranicznej jest zapewnienie jej maksymalnego konsensusu społecznego i politycznego. Czy jest po temu dobrą drogą wytyczanie procesu intencji repre-

zentantom połowy głosującego elektoratu i przedstawianie polityki zagranicznej jako młota na czarownice w wewnętrznej walce politycznej?

Punkt drugi u Aleksandra Halla odpowiada znanej liberalnej krytyce o psuciu rynku. Bez dyskusji, zwróć tylko uwagę, że trzy czwarte „Polski Posierpniowej” chce psuć rynek jeszcze znacznie głębiej. W punkcie trzecim Hall pisze o „ryzyku ukształtowania się w Polsce systemu, w którym istnieje wolność opinii publicznej i swobody demokratyczne, ale w praktyce nie istnieje alternatywa zdolna do odsunięcia od władzy rządzących”. Stąd przywołanie Meksyku po 1917, zarazem zdumiewająca demagogia i zadziwiający defetyzm w ocenie własnego obozu.

Hall nie jest jedynym rzecznikiem opozycji, który domaga się, żeby koalicja u władzy nie brała całej „puli”, nawet jeśli formalnie ma po temu prawo. Szczególnie często powtarzają się wywody o potrzebie równowagi, wzajemnej kontroli instytucji, odpolitycznienia służby cywilnej itd. Andrzej Olechowski pisze przy każdej okazji, ostatnio w *Tygodniku Powszechnym* nr 11, a z Lechem Falandyszem i trzema innymi panami ogłosił też cały „raport” w tymże duchu. Jest w tych postulatach wiele merytorycznych racji, ale powtarza się to samo, co przy polityce zagranicznej: nie po to się te postulaty głosi, żeby skłonić do nich drugą stronę, ale po to, żeby jej „przyłożyć”. Jeśli są dwie Polski, to jakąż może być między nimi równowaga?

Aleksandra Halla punkt czwarty jest na serio:

„Nasze błędy szkodziły w pierwszym rządzie nam samym, działania podejmowane przez obóz SLD przyczyniały się do demoralizacji społeczeństwa. SLD to nie tylko formacja złączona wspólną przeszłością, to także pewna propozycja kulturowa. W ocenie przeszłości oferująca relatywizm i zamazanie obrazu historycznej prawdy. W sferze wartości – wolność rozumianą jako uwolnienie od przestrzegania wielu tradycyjnych i fundamentalnych norm oraz pochwałę pragmatyzmu, pojmanego w myśl zasady „cel uświęca środki”. Ta propozycja ułatwionego życia została zaakceptowana przez wielu Polaków, o czym świadczy wybór Aleksandra Kwaśniewskiego na urząd prezydenta RP – człowieka bardzo reprezentatywnego nie tylko dla SLD jako

siły politycznej, ale także jako propozycji kulturowej”.  
 Bardzo dobrze, że to słowo padło. Od oceny codziennej praktyki postkomunistów jesteśmy wprawdzie bardzo daleko, ale wiemy za to, że dwie Polski to mają być dwie kultury.

## 2.

Ale nie są. Postulowana dwukulturowość jest bowiem całkowicie zwrócona w przeszłość na tzw. rozliczenie we wszelkich ujęciach. W terażniejszości wszystkie wyróżniki się rozmazują a wobec przyszłości obie domniemane „kultury” są po prostu bezsilne i niezborne. Właśnie dlatego cały dyskurs na temat tej wielkiej ponoć opozycji kultur w ogóle się rozmija: jedni mówią wyłącznie o wartościach, a drudzy wyłącznie o technikach i procedurach. Nie dlatego, jak sugeruje np. Aleksander Hall, że ci pierwsi przestrzegają imperatywów a drudzy wszystko relatywizują. Znacznie prościej: pierwsi boją się, żeby im realizacje nie strzaskały wartości, np. integracja z Zachodem polskiego integralnego patriotyzmu, drudzy zaś, którzy już dość dawno wyrzekli się wszelkiej koherencji ideowej, widzą wszystko oddzielnie. Ostatecznie jedni i drudzy reformują i modernizują wedle tych samych wzorów, choć z różnymi oporami, a różnią się (wcale niepiękną) w przeszłości. W istocie tylko w tej przeszłości, odpowiednio uformowanej, mogą przechowywać dwoistość. W terażniejszości konsumują te same produkty kultury, podlegają tym samym modom i z trudem znajdują sobie jakieś odmiennie upodobania: tak np., by sięgnąć do starego polskiego obyczaju odróżniania się poetami, jedni nade wszystko cenią Herberta a drudzy Różewicza i Symborską, ale to oczywiście z czysto politycznych racji (Miłosz, który do Polski powojennej nie pasuje, nie ma w tym porządku wzięcia).

Najmłodsze roczniki, które z natury rzeczy nie mogą się w takiej mierze wyżywać przeszłością, odrzucają coraz częściej kulturowy kamuflaż i otwarcie przyznają, że prawdziwą treścią podziału na dwie Polski jest po prostu rywalizacja o miejsce u władzy. Dla tych młodych jest ona tożsama z karierą indywidualną, wobec tego ich niecierpliwość zagraża już rozmaitym kacykom partyjnym (Leszek Moczulski z KPN, Janusz Korwin-Mikke z UPR),

którzy zbyt długo zwlekają ze zjednoczeniem „Polski Posierpniowej”. Młodzi i niecierpliwi chcieliby wreszcie zrealizować, w formie przejęcia władzy, formułę Polski podwójnej.

Mimo jednak, że są ponoć aż dwie kultury polskie i że wobec tego co bardziej zapalcywi wspominają o rewolucji kulturowej, nie wydaje się, by Polskę Posierpniową dało się aż tak dobrze skleić i zdynamizować. W tej chwili zapowiada się raczej koagulacja, w najlepszym razie, w trzy bloki:

– Ruch Odbudowy Polski Jana Olszewskiego, który liczy na zdominowanie innych, jeśli uda się na trwałe przyciągnąć NSZZ „S”. Ale są pierwsze oznaki, że dynamika ROP słabnie;

– magmowate w tej chwili ewentualne zaplecze Wałęsy;

– koalicja wokół Unii Wolności, mocno osadzonej na prawicy, jeśli istotnie partia ta poświęci swoje lewe skrzydło.

Krystalizacja tych obozów postępuje jednak wolniej niż działania polityczne koalicji, zwłaszcza prezydenta i premiera. Wiele wskazuje na to, że Kwaśniewski dopracuje się jakiegoś układu z hierarchią kościelną co do formuły konstytucyjnej, dotyczącej stosunku kościoła i państwa, oraz z Watykanem co do konkordatu. To by oczywiście załamało całą strategię Polski podwójnej. Ale nawet jeśli będą to tylko rozmowy bez pełnego sukcesu, które potrwają aż do Kongresu Eucharystycznego za rok we Wrocławiu, to przecież wybory parlamentarne mają się odbyć w czerwcu 1997...

Stosunki z Kościołem i losy konstytucji to tylko jeden z elementów strategii SLD, obliczonej na wykazanie, że Polska jest jedna. Wszystkie wpływające teraz sukcesywnie do parlamentu inicjatywy reform (administracji, opieki zdrowotnej, systemu podatkowego, następnie rent i emerytur) będą ubocznie pełniły taką rolę, ponieważ nie sposób dyskutować o tym w konwencji Polski podwójnej, czyli walki z PRL. Nie trzeba wszakże mniemać, że SLD i jego koalicja niczym za „przywrócenie jedności” Polski nie zapłaci. Każdy z wymienionych zabiegów prezydenckich i każda z rządowych inicjatyw reformatorskich wystawia koalicję i sam SLD na potężne stresy. Może się więc okazać, że za jedną Polskę trzeba będzie zapłacić utratą jedności koalicji. Sytuacja stanie się bardziej symetryczna, ponieważ

już nie tylko prawica będzie wieloraka. I choć w ogólności rozdrabnianie sceny politycznej nie jest cnotą, w Polsce byłaby to ewolucja ze wszech miar przydatna. Jeśli rzeczywiście Polska posierpniowa i Polska postkomunistyczna mają być nieistotnym podziałem, to muszą się wyłonić podziały istotne.

Rewolucja jest skończona i konserwatywno-liberalni socjaldemokraci muszą się chyba rozstać, żeby polityka stała się choć na tyle przejrzysta, ile potrzeba demokracji.

16 marca 1996

Krzysztof WOLICKI

## O szkole – z troską i nadzieją (dok.)

Powaznym zagadnieniem w szkołach społecznych bywa też, niestety, współpraca z rodzicami. Są tacy, którzy stoją na stanowisku, że jak płacą to mogą żądać, „...co oznacza w praktyce całą paletę różnych roszczeń (...), aż do kupowania promocji ('Za co ja tyle płacę, skoro on ma takie marne stopnie'). Stąd przypadki zaniżania kryteriów, unikania 'sprawdzianów' podciągania ocen (...). Inna grupa prowokująca kryzysy to rodzice traktujący szkołę jako pole własnych nie spełnionych ambicji i dążeń przywódczych. Ci wiedzą najlepiej, 'co jest dobre dla naszych dzieci' i wtrącają się literalnie we wszystko (...). O tym i innych problemach pisała E. Nowakowska<sup>23</sup>. Są osoby, które nie są w stanie zrozumieć nawet elementarnych wymogów etyki zawodowej nauczycieli i chcieliby np. otwartości wszystkich zebrania rady pedagogicznej, a przecież są sprawy, które to wykluczają, np. delikatne problemy indywidualne uczniów – zdrowotne, rodzinne, które muszą być znane nauczycielom i brane pod uwagę w pracy, ze względu na dobro ucznia, ale nikt inny znać ich nie powinien. W szkołach prywatnych są analogiczne, a często i większe trudności. Tam dużo się płaci.

Istnieje również pogląd, który zakłada ogólnie wysoki poziom nauczania, który naturalnie stawia wysokie wymagania. Ci, którzy nie mogą im sprostać, powinni zadowolić się przygotowaniem do zawodów, wymagających niższego wy-

23. E. Nowakowska: „Rozczarowani entuzjaści. Czy szkoły społeczne przetrwają? *Polityka*, Nr 47, z dn. 19.11.1994.



kształcenia. Jest to logiczne, ale ja broniłabym zasady stworzenia przez system oświaty szans rozwoju umysłowego dla każdego młodego człowieka. Ludzie rozwijają się i dojrzejają intelektualnie w różnym tempie i pod wpływem różnych okoliczności: kto dziś niewiele w szkole osiąga, może dużo osiągnąć jutro. Świadczą o tym liczne biografie ludzi wybitnych, którzy wcale nie byli dobrymi uczniami. Dlatego tak ważna jest w systemie szkolnym zasada drożności i rozbudowane szkolnictwo dla pracujących.

Obecnie w Polsce obserwuje się rozwój licznych szkół policealnych, które odpowiadają na bieżące zapotrzebowanie na rynku pracy. Są to różne „szkoły biznesu”, gdzie młodzież uczy się np. zasad marketingu, bankowości, nowoczesnej rachunkowości, obsługi komputerów, korespondencji handlowej w językach obcych itp. Dobrze, że rozwija się takie szkolnictwo. Myślę, że wśród absolwentów tych szkół będą i tacy, którzy następnie podejmą wyższe studia ekonomiczne lub prawnicze.

Zapytajmy, czy ci, którzy uczą, są dostatecznie wykształceni, aby to robić? Rzecz w świetle liczb przedstawia się tak:

Wykształcenie nauczycieli czynnych zawodowo w r. szk. 1992/93<sup>24</sup>

Wykształcenie	Szkoły podstawowe	Licea ogólnokształcące	Średnie i policealne zawodowe	Zasadnicze zawodowe
Wyższe	173903	24945	49539	14536
%	57,73%	97,51%	86,34%	66,91%
Studium nauczyciel. %	92586	342	3590	3037
	30,73%	1,34%	6,26%	13,98%
Średnie	34768	294	4247	4153
%	11,54%	1,15%	7,40%	19,12%
Razem	301257	25581	57376	21726
w tym kobiet	254971	18773	36497	10946

24. „Wybrane problemy organizacji systemów edukacyjnych na

Jak widać – najwyższe wykształcenie mają nauczyciele liceów ogólnokształcących, natomiast niepokój budzi fakt, że aż 11,54% nauczycieli szkół podstawowych ma wykształcenie zaledwie średnie. (Już bardziej zrozumiałą jest wysoki procent takich nauczycieli w zasadniczych szkołach zawodowych, w których instruktorzy często są po technikach zawodowych i odpowiednim stażu pracy).

I to powinno się zmienić, jeśli się chce podnosić poziom wykształcenia społeczeństwa polskiego. Raz jeszcze podkreślam, jak ważna jest w tym procesie szkoła podstawowa i że od niej trzeba zacząć zmiany, szczególną troską otaczając szkoły w małych miejscowościach. Może gminy zrobią to, czego nie było zdolne dotąd uczynić państwo?

Z drugiej znów strony – trzeba zauważyć, że jeśli blisko 60% nauczycieli szkół podstawowych i prawie wszyscy nauczyciele liceów ogólnokształcących oraz bardzo poważna część – zawodowych ma wyższe wykształcenie, to dlaczego narzeka się na jakość nauczania?

Sądzę, że podstawową przyczyną tego stanu rzeczy jest sposób przygotowania do zawodu. W ciągu całego okresu powojennego nie dopracowano się i nie sprawdzono konsekwentnego systemu kształcenia nauczycieli. (Były różne próby, ale trudno tu o nich pisać). Np. pracować w szkole można tuż po studiach uniwersyteckich i prawie żadnej (2x2 tygod.), a często w ogóle żadnej praktyce. A przecież, chyba nikomu nie przyszłoby do głowy, aby po studiach politechnicznych powierzyć świeżo upieczonemu inżynierowi samodzielny i odpowiedzialny projekt techniczny albo początkującemu lekarzowi skomplikowaną terapię w klinice (zaczynają oni od asystentury, pracują w zespole, podlegają weryfikacji) – ale bez oporu powierza się dzieci czy młodzież osobie, która ma ich uczyć i wychowywać właściwie bez praktycznego opanowania wielu niezbędnych umiejętności. I to tak trwa. Kolejne roczniki nauczycieli wchodzi do szkoły często z niezłą wiedzą przedmiotową, pewnym teoretycznym przygotowaniem metodycznym (na kierunkach tzw. „pedagogicznych”), ale w toku pracy bywa bardzo różnie, bo nie ma odpowiedniego stażu praktykanckiego – władz

świecie. Antologia dokumentów i materiałów”. Oprac. T. Gomuła, J. Krasuski, St. Majewski. Dom Wydawniczy „Strzelec”, 1994; s. 159.

oświatowych na to nie stać. Możliwe skutki: przypadkowe trafianie do szkoły, traktowanie jej jako pracy przejściowej, nieradzenie sobie z obszernością materiału i sensownym jego problematyzowaniem oraz ułożeniem w czasie, zaległości – w konsekwencji uciekanie się do metod podających, bo to prędkiej i prościej, trudności z problemami kontroli i oceny, popadanie w konflikty, rozgoryczenie; w lepszym scenariuszu – próba przypominania sobie swoich nauczycieli sprzed lat i naśladowanie tych, których się ceniło, ale przecież nie znało się ich warsztatu pracy „od podszewki”. Ale – kto u nas zrozumie, że wykształcenie nauczyciela musi składać się nie tylko z teorii, lecz także bardzo odpowiedzialnie zorganizowanej praktyki! A wiadomo – za co najmniej półroczny staż należałoby zapłacić dobrym, doświadczonym nauczycielom, którzy praktykantom powinni pokazać dużo lekcji, hospitować liczne ich lekcje, poświęcać czas na omawianie jednych i drugich, zapoznawać z pracami uczniów, polecać ich poprawianie i prognozowanie ocen, udzielać wiele praktycznych rad, podsuwać lektury, zapoznawać nawet z prowadzeniem dokumentacji szkolnej.

Naturalnie, zdarzają się – na szczęście – utalentowani młodzi nauczyciele, którzy wyrastają z czasem na artystów w tym zawodzie, ale – jak w każdej dziedzinie – potrzeba przede wszystkim wielu dobrych rzemieślników, a jeśli pojawią się i artyści – to jak premia od Pana Boga.

Ponadto – dyrektor szkoły powinien być wręcz zobligowany do zainteresowania się młodym nauczycielem i udzielania mu pomocy w przypadku trudności. Właśnie od tego są wizytatorzy przedmiotowi, aby byli do dyspozycji dyrektorów w takich sytuacjach. Młody człowiek nie powinien być pozostawiony sobie, bo specyfiką szkoły jest praca indywidualna z klasą i nie od razu widać, co się w klasie dzieje. Nie należy też zakładać, że każdy, byle był po studiach, nadaje się do tego zawodu. Ale – aby wybierać najlepszych, trzeba mieć po prostu możliwość wyboru, a od dawna nie ma tłoku do tego zawodu. (Ostatnie pomysły z kierowaniem studentów do szkół pod represją zwrotu kosztów studiowania przypominają niegdysiejsze „nakazy pracy” – a czy można sobie wyobrazić coś gorszego, niż nauczyciel z przymusu?)

W zawodzie tym, chyba bardziej niż w innych, konieczne

jest permanentne dokształcanie się (studia podyplomowe, stopnie specjalizacji, potrzebne kursy itp). To wymaga wysiłku, czasu, wyrzeczeń i to powinno się opłacać. Nauczyciel, który nie inwestuje w siebie – cofa się i powinien być eliminowany z zawodu. Obecnie jest to niemożliwe, więc zapewne wielu, choć ukończyło studia, popada w rutynę, gdy nie czują się zdopingowani do podnoszenia kwalifikacji, bo w tym zawodzie właściwie nie ma awansu w pozycji służbowej, a kwalifikacje nie przynoszą liczącej się poprawy zarobków.

Naturalnie – rewizji wymagają programy nauczania i one mają też istotny wpływ na jakość pracy. Ale tyle już o tym napisano, że teraz wypada tylko poczekać na nowe propozycje, które są w opracowaniu. Mam nadzieję, że te nowe programy implikować też będą sięganie do najlepszych metod pracy, najbardziej rozwijających, na które teraz często jest za mało czasu. Marzę też o tym, ażeby powrócił znów do szkoły średniej bardzo przyzwoity kurs logiki, potrzebny wszystkim Polakom jak zdrowie.

Stwierdzałam wielokrotnie, jak mało osób zdaje sobie sprawę z rzeczywistej liczby godzin pracy nauczyciela. Im niższe wykształcenie, tym gorsza orientacja w tej sprawie. Wielu ludzi sądzi, że nauczyciel tyle pracuje, ile ma godzin lekcyjnych. Zupełnie nie rozumieją ile godzin dobry nauczyciel musi poświęcić na przygotowanie rzeczowe i metodyczne lekcji, zaprojektowanie testów i innych prac pisemnych oraz ich sprawdzanie, na konsultacje dla uczniów, prowadzenie olimpijczyków, zajęcia pozalekcyjne, wycieczki i ich przygotowanie, rady pedagogiczne, sesje klasyfikacyjne, zebrania środowiskowe, egzaminy pisemne i ustne, spotkania z rodzicami, wypełnianie dokumentacji szkolnej... Gdyby jeszcze nie musiał „dorabiać”, żeby żyć...

Ale – jeśli jest mężczyzną i ma rodzinę na utrzymaniu, to po prostu musi. Jakie mogą być tego skutki dla jakości pracy, jeśli taka sytuacja dłużej trwa?

I choć niektórzy zawstydzają chęć nauczycieli, że obchodzi ich tak przyziemna sprawa, jak pensje, to popatrzmy, dlaczego tak jest:

Przeciętne wynagrodzenia nauczycieli (netto – w tys. starych zł) w przeliczeniu na pełnozatrudnionych<sup>25</sup>

Nauczyciele:	1990	1991	1992	1993
– szkolnictwa ogólnokształ. i inst.wych.	1022,1	1527,8	2011,9	2666,9
– szkolnictwa zaw.	1117,6	1697,6	2291,0	3005,1
– szkolnictwa wyż.	1177,1	1791,8	2498,8	3320,5

W 1993 r. wystąpiło w zarobkach nauczycielskich odchylenie o -10% od przeciętnych wynagrodzeń w innych dziedzinach pracy, a w 1994 r. odchylenie to pogłębiło się<sup>26</sup>, mimo że poprawiają się nieco wynagrodzenia i opanowywana jest inflacja.

To nie są zarobki, za które da się żyć (nie mówiąc o korzystaniu z dóbr kultury), chyba, że jest to tylko część rodzinnego budżetu, zwłaszcza w ośrodkach wielkomiejskich, gdzie np. miesięczna opłata za spółdzielcze mieszkanie własnościowe o pow. ok. 45m<sup>2</sup> wynosi 1,5 mln starych zł.

Ten poziom zarobków już spowodował w konsekwencji b. poważną feminizację zawodu nauczycielskiego (patrz poprzednia tabela). To przede wszystkim kobiety pozwalają sobie na luksus pracy w szkole wtedy, gdy mężowie zarabiają na utrzymanie rodzin – ale nie zawsze tak jest... Ponadto – charakter pracy w szkole pozwala na łatwiejsze jej pogodzenie z obowiązkami żony i matki, bo to mniej niż 8 godz. dziennie, a pozostałe prace można wykonywać wieczorami (rodziny nauczycielskie coś wiedzą na temat tych wieczorów: stert zeszytów, klasówek, notatek). Czy można się dziwić, że kobiety te z trudem znajdują czas na studia podyplomowe? Natomiast bardzo wielu dobrych nauczycieli – mężczyzn po prostu musi odchodzić z zawodu, zwłaszcza gdy założą rodzinę. Niskie zarobki w szkolnictwie wyższym powodują też rezygnowanie z tej pracy i – jeśli nadarzy się okazja – wyjazdy na zagraniczne uczelnie. Jest to mechanizm negatywnej

25. „Rocznik statystyczny 1994”, GUS, Warszawa 1994, s. 481.

26. „Mały rocznik statystyczny 1995”, GUS, Warszawa 1995, s. 101 (wykres).

selekcji do zawodu, pozbawiający szkoły i uczelnie wartościowych ludzi. W szkołach średnich jest też spora liczba osób angażujących się na kilka godzin (też – „dorabianie”, np. do emerytury) i mogą to być dobrzy nauczyciele, ale oni nie „wrastają” w szkołę, z reguły nie powierza się im funkcji wychowawcy, który powinien być na miejscu, a nie tylko „wpadać i uciekać”. Tak więc – pożytek z takich nauczycieli jest ograniczony – i to jest też niedobrze.

Przy tym wszystkim – paradoksalnie – pracuje w tym zawodzie wiele oddanych mu osób, naprawdę dobrych i rozumiejących, na czym on polega, bo wśród nauczycieli od zawsze było sporo idealistów.

Ale niemiłe jest, że przy okazji szkolnych uroczystości władze sypią laurkowe słowa, które irytują i peszą wobec znajomości autentycznej rzeczywistości – zamiast uczynić z problemu oświaty element programu transformacji społeczeństwa i realizować ten program.

Na koniec kilka – już bardziej ogólnych – uwag o okolicznościach, w jakich przebiega proces wychowania, wykraczający poza szkolne podwórko.

O. Józef Bocheński, zapytany o wrażenia na temat Polski po 50-letniej tu nieobecności, obok rzeczy dobrych dostrzegł, że: „Polska jest niebywale zbarbaryzowana, schamiała. Stosunki międzyludzkie są w dużej mierze chamskie, mowa jest chamska, słowo drukowane często też nie lepsze”. (Tu następuje wyrażenie opinii o destrukcyjnym działaniu okupacji niemieckiej i okresu komunistycznego). „Myślę, że trzeba będzie pokoleń cierpliwej pracy wychowawczej, aby nasz naród wyprowadzić z dna nędzy, w której się obecnie pod tym względem znajduje”<sup>27</sup>.

Do minionych, negatywnych wpływów, dodać trzeba jeszcze ostatnie 15-lecie i zalew tandety kulturowej, zwłaszcza w pierwszych latach tego okresu. Píše o tym trafnie M. Janion: „W momencie powrotu demokracji (...) staje

27. „Między logiką a wiarą”. Z Józefem M. Bocheńskim rozmawia J. Parys. Noir sur Blanc, Warszawa 1995, s. 309.

obecnie pytanie o wzajemne relacje kultury wysokiej i masowej. Czy powinniśmy przyjąć bez zastrzeżeń coraz widoczniejszą ofensywę tej ostatniej?" I dalej: „Zunifor-mizowana kultura tandety, karykaturalna amerykanizacja dla ubogich to niebłaha zagrożenie dla narodu takiego jak nasz – zubożałego, niepewnego jutra, zdezorientowanego doświad-czeniami kryzysu historycznego. Obserwujemy akty niefrasob-liwego, często chyba nieświadomego, niszczenia kultury wysokiej”<sup>28</sup>.

W tym klimacie agresywnej „kultury tandety”, utożsa-mianej przez wielu z prawem do wolności, co w tym przypadku (i w następstwie szybkiej komercjalizacji kultury) prowadzi do wybierania tego, co łatwe, nie wymagające wysiłku umysłowego, ani pracy nad sobą – wychowują się i dojrzewają nasze dzieci i młodzież. Odbiorcami tej tandety są także Polacy np. poza wschodnimi granicami kraju. Oto np. opinia A. Pacenki, lat 29, dra biochemii zamieszkałego w Grodnie, o naszej TV: „Jedynе nasze okno w Polskę – telewizja. Ale nieraz się chciało to okno zatrzaskać. Tylu ‘bohaterów’ różnych programów i filmów to draniażki, bandyci, narkomani, pijacy, zabójcy... Czy telewizja polska nie mogłaby zamiast takiego pocztu – dać pocztu królów polskich i bohaterów? Może i widzom nad Wisłą by się to przydało! A cóż dopiero nad Niemnem!”<sup>29</sup>

A tu jeszcze doniesienia o tragicznej, długotrwałej wojnie w b. Jugosławii, o aktach terroru i ich ofiarach, o wielkich aferach finansowych, handlu narkotykami itp. – no i obser-wacja wydarzeń na rodzimej scenie politycznej – dopełniają tła, w którym młody człowiek ma rozpoznawać dobro i zło, czerń i biel, a widzi zamazany obraz względnych i mocno zachwianych wartości (?) niby-wartości (?)... A w ilu przypadkach trzeba by dodać do tego osobiste, destrukcyjne doświadczenie i obserwacje: rozpad rodzin, życie rodziców wypełnione pogonią za pieniądzem, gorycz dziadków, którzy po latach pracy mają poczucie, że są teraz ciężarem dla

28. M. Janion: „Wobec końca wieku”. Wyd. Uniwersytetu Gdańskiego 1995, ss. 8 i 12.

29. B. Wachowicz: „Ty jesteś jak zdrowie”. Oficyna Wydawnicza „Rytm”, Warszawa 1995, s. 217.

społeczeństwa, które musi zapracować na ich emerytury (choć odtrącano im z zarobku wysokie składki...) A skoro tak – to co wart jest ten świat, ten kraj i to życie?

Wielu młodych demonstruje wobec tego pozę outsidera i deklaruje kompletny brak zainteresowania rzeczywistością – co jest fikcją, bo ta rzeczywistość ich i tak atakuje, i kiedy już są w starszych klasach liceum, rozumieją, że nie da się z niej „wyskoczyć” i – jak to młodzi – zaczynają planować życie w nadziei, że coś da się przecież zrobić dla siebie i innych. W młodszych klasach niektórzy ulegają modzie na „tumiwizm” czy „luz”, ale kto zna bliżej młodzież, ten wie, że w jej nonszalancji, a nawet gruboskórności więcej jest „zgrywy” i przekory, charakterystycznej dla wieku dojrzewania, niż rzeczywistego, duchowego prostactwa. W wielu przypadkach wcale nie jest tak trudno pod tą maską i „młodzieżowym stylem” dostrzec wartościowych, wrażliwych ludzi, choć nierzadko zagubionych. A czy dorośli nie są zagubieni? W gruncie rzeczy młodzież potrzebuje autorytetów i jeśli je znajduje – szanuje. W ciągu wielu lat pracy spotkałam wiele dziewcząt i chłopców nie tylko zdolnych, ale wewnętrznie szlachetnych i prawych. Są, oczywiście, środowiska prymitywne i poważnie zdemoralizowane, ale nie sądzę, aby było ich wiele wśród młodzieży licealnej i studenckiej.

Czasy nie są łatwe dla wychowawców, ale tak jest w Polsce od półwiecza. Młodym ludziom trzeba pomóc i obo-wiązek ten spoczywa na szkole, rodzicach, organizacjach dzie-cięcych i młodzieżowych (oddziaływania ZHP w szkołach średnich raczej się nie czuje) – a także na władzach tereno-wych.

Im więcej będzie przygotowanych do zawodu nauczycieli i wychowawców, różnorodnych kół zainteresowań i zajęć pozalekcyjnych, uprawiania sportu i turystyki – tym mniej będzie frustracji, chamstwa i cynizmu, nie mówiąc już o tragicznym zjawisku przestępczości nieletnich. Oczywiście – na to wszystko potrzebne są środki, ale także polityka państwa, które określając priorytetowe problemy do rozwią-zania – dostrzeże wśród nich oświatę.

A gdyby tak pomarzyć – i szukając pieniędzy ograniczyć biurokrację (od Biura Prezydenta poczynając), żeby cała ta machina państwowa mniej nas kosztowała... Ale – kto będzie

miał tyle mądrości i władzy, aby to uczynić? Wszakże parlament sam obrósł w biura poselskie...

Trzeba myśleć od nowa o koncepcji wychowania, odpowiadającej potrzebom naszych czasów i zachowaniu naszej tożsamości. Mamy znakomite tradycje – pracujemy w kraju K. Korczaka, entuzjasty i realizatora podmiotowego traktowania dzieci i wychowania przez samorząd. W jego zakładzie wychowawczym był i własny kodeks postępowania, i sąd dziecięcy, i samoobsługa. Mamy też tradycje skautingu i Szarych Szeregów, gdzie centralnym pojęciem wychowawczym było pojęcie służby. Obecnie ukazują się publikacje bardzo wartościowe dla wychowawców, ale – jak się przekonałam – mało znane, bo nie reklamowane<sup>30</sup>. A przecież mogą być różne drogi dotarcia z nimi do szkoły i domu.

Najważniejsza w wychowaniu wydaje się być zmiana stosunku do wychowanków, aby z przedmiotu oddziaływania stawali się oni współtwórcami procesu wychowania i aby stawał się on samowychowaniem z pomocą wychowawcy. Trzeba w tym kierunku podejmować wysiłki, nie licząc na szybkie i łatwe efekty, bo wychowuje nie tylko szkoła i dom – ale i świat, a jest on dość toksyczny, chociaż i piękny.

Pisać o szkole, to tak jak dotknąć przysłowiowego wierzchołka góry lodowej – wszystko, co się napisze, wydaje się ledwie sygnałem jakiejś głębszej sprawy. Nauczyciele rzadko piszą – wiedzą, jak mała potrafi być skuteczność słowa. Wydaje się jednak, że obecnie trzeba koniecznie mówić i pisać o szkolnictwie, bo najwyraźniej bardzo poważnie wpłynie ono na nasze losy i miejsce wśród innych społeczeństw Europy.

Wrzesień 1995

Pola ŻYDKOWICZ

30. „W tę samą stronę. Antologia tekstów dla nauczycieli i uczniów do lekcji wychowawczych”. Wybór i oprac. M. Braun Gałkowska i A. Gutowska. Warszawa, 1994 – 2 tomy.

A. Hamer: „Program lekcji wychowawczych dla uczniów wyższych klas szkół podstawowych oraz uczniów liceów i techników”. Praca wyróżniona w konkursie MEN). Warszawa 1993.

### Post scriptum

Od czasu napisania tego artykułu ukazywały się publikacje i następowały wydarzenia warte odnotowania, gdyż ilustrują one problematykę w nim zawartą. Oto kilka przykładów:

- coraz bardziej wątpliwa staje się przydatność kształcenia młodzieży w zasadniczych szkołach zawodowych, głównie ze względu na poznawanie tam przestarzałych już technologii i na trudności w znalezieniu pracy. (Pisali o tym np. J. Dziadul i M. Henzler: „Szkoła bezrobocia”, *Polityka* nr 28/95);
- MEN zaczęło wreszcie myśleć o reformie oświaty i rozważać, czy szkoła podstawowa ma być dziewięcioletnia i kończyć się tzw. małą maturą, czy też sześcioletnia, po czym następowałoby kształcenie w gimnazjum. O ile pierwszy pomysł wygląda na nieporozumienie, to już drugi budzi pewne nadzieje – jeśli to on będzie konkretyzowany. (K. Gacek: „Kiedy dojrzewają dzieci?”, *Życie Warszawy* z dn. 21.10.95);
- Studenci wyższych uczelni, głównie SGH i UW, krytycznie obserwujący naszą rzeczywistość, opublikowali opracowanie pt. „Polska 2010” (Projekcja pesymistyczna). We „Wprowadzeniu” do tego opracowania zauważają oni m.in.: „Chcemy zwrócić uwagę na szczególne znaczenie edukacji w rozwoju społeczeństwa. Kraje wysoko rozwinięte zawdzięczają swój dobrobyt nakładom na oświatę. Dlatego (...) uważamy, że kształcenie powinno być priorytetem polskiej gospodarki”. I słusznie, że tak ci młodzi ludzie uważają, ale równocześnie przewidują, że w praktyce tak nie będzie i dlatego Rozdział 4 – „Edukacja” zaczynają od podania generalnej przyczyny swego pesymizmu: „Niedocenianie znaczenia oświaty i nauki” – i dalej piszą rzeczy smutne o szkolnictwie, prognozując ich trwanie. Oby się mylili! Oby bliższa prawdy okazała się prognoza prezesa PAN, prof. L. Kuźnickiego, zamieszczona w jego opracowaniu pt. „Polska 2010” (Projekcja optymistyczna). Ale... (Opracowanie to opublikowała *Rzeczpospolita* Nr 253/95).
- Ale czy można być w tej materii optymistą, skoro badaj

od roku zapowiadana debata sejmowa o polityce oświatowej państwa, wyznaczona niemal w rocznicę utworzenia Komisji Edukacji Narodowej (12.10) okazała się żalonym spektaklem obojętności (?), lekceważenia (?), niedoceniań, a może i czegoś gorszego – gdy z 460 posłów pojawiło się na sali 30! Kamera TV pokazała puste ławy poselskie i widzowie nie mieli wątpliwości, że próżno na tej sali szukać jednego człowieka na miarę twórców KEN... (I niech nikt nie usiłuje wytłumaczyć posłów zaaferowaniem prezydencką kampanią wyborczą, bo mają oni obowiązek patrzeć na interesy państwa i społeczeństwa w perspektywie pokoleń).

- Również żaden z kandydatów na prezydenta nie uczynił oświaty naprawdę znaczącym, żarliwie i mądrze przedstawianym, elementem swego programu wyborczego (nawet J. Kuroń). Dlaczego? Nie miejsce w tej notatce na komentarze, ale miejsce na wniosek: zrozumienie znaczenia poziomu wykształcenia społeczeństwa dla jego przyszłości w Europie XXI wieku to sprawa, z którą należy wytrwale docierać do świadomości ludzi – od tych „na świeczniku” poczynając.
- Optymiści jednak zauważają, że w budżecie na rok 1996 rząd przeznaczył zwiększone nakłady na naukę, a sfera budżetowa (więc i nauczyciele) otrzymali podwyżki płac. Tak – i żeby tylko inflacja i podatki nie pochłonęły z tego zbyt wiele, to byłby to powód do odczucia pewnej ulgi. Broniąc się przed apatią te pozytywne zjawiska zachowałam na koniec, jak na deser, bo chcę jednak żyć z nadzieją.

Grudzień 1995 r.

P.Ż.

## Samopas na Kanin Nos i z powrotem (II)\*

*Raz jeszcze przypomnę motto  
Pachtusowa: „Ja opowiem jak  
było, a Wy myślcie, co chcecie...”*

Konuszyn

Brzeg Konuszyński z daleka przypomina tort. Jakby lukrem oblane: płatami śniegu, soplami lodu. Słońce gra tam światłem, błyszczący. Morze uderza wodą, rozpyła się. Na plaży leżą czarne bloki, z daleka niby kęsy tortu. Z bliska to torf: wielkie kawały wygryzione morzem z brzegu. Z bliska lód i śnieg nie świecą. Są brudne, zmieszane z gliną, która tu spływa z każdą falą. Dopiero z bliska widać siłę morza. Niszczycielską siłę. Morze pożera brzeg Konuszyń, kawałek po kawałku. Jak tort.

Dom Szarapowych stoi na skraju obrywu. Jeszcze rok, może dwa, i zwali się w morską kipieli. Ciekawe, czy Szarapow zdąży wytrzeźwieć do tego czasu? Nieopodal domu sterczy z brzegu wąski cypel z kamieni i piachu, zagięty niczym ręka w obelżywym geście. To Konuszyńska Korga, za którą można się ukryć. Kiedyś, nie tak dawno, bo jeszcze *Locja Białego morza* z 1964 roku odnotowuje, na końcu Korgi stały domy niewielkiego artelu rybackiego. Dzisiaj tam morze wrze i

\* Pierwsza część ukazała się w numerze 11/578 *Kultury*, listopad 1995.

trzeba ją z dala obchodzić, bo był przypadek; że wciągnęło łódź z ośmioma rybakami i tylko jednego wypuło. Ze zmiądzonym kręgosłupem. Szarapow się uśmiecha, gdy o tym opowiada, bo Szarapow ma wisielczy humor i o życiu mawia: suka, bliad'.

W kuchni Szarapowych pachnie blinami i samogonem. Jak rok temu. Siedzimy za stołem, spotniali, po bani. Pijemy samogon zaprawiony margancówką (nadmanganian potasu wytrąca z bimbru osad!) i zakąszamy blinami z ikrą pinagorów. Ikra jest różowa, gruboziarnista, trzeszczy w zębach. Samogon krepki, miękko wchodzi, grzeje. Szarapow dzierży rytm, nalewa, podnosi: za spotkanie, za minioną zimę, za wczorajszy sztorm. Tańka się uwija, nosi jadło, podaje: oleninę na zimno, łosi ozór z dzikim chrzanem, wędzoną garbuszę, solonego golca. Wiatr za oknem gnije iwinę, targa trawy. Morze znów się burzy, łamie falę, kąsa brzeg. Deszcz zacina, ukośnie, po szybach. Korgę tuman spowił, kuchnia płynie. Lord pod drzwiami śpi. I wydaje się, że roku onego nie było. Jakby wypadł był zza stołu ów rok.

Szarapow ma czterdzieści osiem lat, nieładną żonę i lubi wypić. Były oficer-desantnik, uczestnik kilku sowieckich awantur w Afryce. Potem pompolit na trawlerach, cały świat obszedł w stanie nietrzeźwym. Aż go z morza za gorzałę wylali. Na Korgę Konuszyńską, byle dalej od ludzi. Szesnasty rok tu żyją. Z Tańką, we dwoje. Obsługują zmilitaryzowaną stację meteo na terenie poligonu. Do najbliższego garnizonu kopa wiorst z hakiem przez tundrę. Pusto jak okiem sięgnąć. Tylko lisy polarne szczekają i morze wyje.

Życie Szarapowa toczy się wokół beczki, jak kiedyś życie Diogenesa. Beczka stoi w kuchni, na pieczy, bulgoce. Ze specjalnej stali: raketowej, nierdzewnej. Dar od garnizonu.

– Do beczki sypiesz cukier, przejrzałą moroszkę, zalewasz wodą i stawiasz na dni czterdzieści. Potem przeganiaasz. Wychodzi siedem litrów czystego szyła, czyli trzydzieści flaszek wódki. Sam policz, ile zostaje dni na trzeźwo.

Szarapow ma oczy spopielałe od samogonu i gada bez przerwy, jakby wodę wylewał z wiadra, złakniony ludzi. To „goworucha”, wedle Maksimowa, choroba mieszkańców Dalekiej Północy, którym doskwiera odosobnienie. Jeszcze straszniejsza bywa „niemucha”, kiedy człowiek traci mowę i

ryczy, niczym leśny zwierz. Z „niemuchy” śmierć się zaczyna. Po kilku stopkach z bełkotu Szarapowa trudno wyłowić sens. Rzeczywistość plecie z wideo, politykę z fobią. Nienawidzi Moskali, Żydów i Szamila Basajewa (w takiej kolejności), wyznaje patriotyzm à la Żyrynowski, samego Wolfowicza i kolczasty drut. Raz podejrzliwy, raz wylewny, to szpiona we mnie węższy, to druha czuje. Przed chwilą wymachiwał pistoletem, wrzeszcząc, bym rozrzeszenie pokazał, raptem w żart się obrócił, zażenowawszy własną manią. A chwilę później, mocno mętnie, snuł opowieści nie do druku, jak refren powtarzając:

– Tylko ty tego nie pisz Mar, nie pisz, że Szarapow ci powiedział.

*W innym miejscu Wartam Tichonowicz zaleca pozycję cudzoziemca w świecie, o którym piszesz. Dzięki niej możesz zachować dystans, trzeźwość oceny, lekkie pióro. Ona zwalnia z lojalności, pozwala płynnie przechodzić z pierwszej osoby do drugiej, a nawet trzeciej, daje luz przy użyciu nazwisk, to prawdziwych, to wymyślonych. Można wpisać kilka losów w jedno życie, albo rozbić jedno życie w parę fabuł. Rzecz jasna, potem bywają nieporozumienia, czasem pretensje, żale, jak choćby te, których wysłuchiwałem pod adresem Szatamowa od bohaterów jego kotymskich opowiadań, Borysa Nikołajewicza Lesnjaka i Niny Władimirowny Sawojewoj, na Kotymie zwanej „Czarną mamą”.*

*Pozycja cudzoziemca w świecie, o którym piszesz, zapewnia samotność.*

*Zwłaszcza, gdy rzecz dzieje się w Rosji, gdzie szpionomania nie zelżała od czasów Chancellora, a tutaj, na rubieży Imperium, przybrała postać szczególnie ostrą. Tutaj samotność piszącego cudzoziemca jest dwójaka: to zarówno punkt widzenia rzeczywistości, jak i pełne w niej odosobnienie. I przypomina nieco sytuację kosmity, granego przez Davida Bowie, z filmu o Człowieku, który spadł na ziemię.*

*W ubiegłym roku podnieśli na nogi wszystkie jednostki pograniczne wzdłuż wybrzeży Białego i Barentsowego morza. By nas pojmać. Prawdę powiedziawszy, sami na*

nich wtedy wyleźliśmy, jak zwierzyna na myśliwego. Cztery doby sztorm nas trzymał w Kiedach, na końcu Gorta. Czekaliśmy na pogodę, by przeskoczyć zalew Miezeni. Z nudów na majak się wybraliśmy. Na cypel Woronow. Skąd mogliśmy wiedzieć, że trwa akcja „Pajęczyna”? Pograniczniki pili szyno na majaku. Zbyt późno zobaczyliśmy wjezdzechod (opancerzony pojazd na gąsienicach, z daleka przypominający czołg bez lufy) – wycofać się było nie sposób. Z trudem spisali nasze dane, ledwie się w pionie trzymali. O rozrzeszenie nie pytali, widać do głowy im nie przyszło, że możemy być bez. Proponowali wypić. Wymówiliśmy się. Dali nam na drogę suszoną oleninę i parę sztuk świeżej nelmy. Nelma, zwana inaczej białorybicą północnosyberyjską, to biała ryba, tak doskonała, że można ją jeść na surowo. Zanim pograniczniki wytrzeźwieli, wyszliśmy w morze. Nie zważając na sztorm. Zalew Miezeni robiliśmy po omacku. Morze się zbiesiło, wymieszało z niebem. Błyski darty mrok, na wantach iskrzyło. Śmigłowce nie miały szans. W pogoń ruszyli dobie później. Cztery dni czesali morze, brzegi i przestrzeń powietrzną. W operacji uczestniczyło dowództwo okręgu. Aresztowali nas w kuchni, u Szarapowych. Właśnie braga dojrzała. Przez szum samogonnego aparatu ustyszeliśmy buczenie helikoptera. Usiedli w iwinie, naprzeciw okna...

Nazajutrz opowiadałem Tańce, co było dalej: o drodze do Archangielska pod nadzorem dwóch śmigłowców i jednego ścigacza, o hucznym przyjęciu w porcie, o wielogodzinnych przeszukiwaniach na jachcie. O ostrzeżeniach!

A za oknem wciąż leje. Tundra nawilgła, ziemia pod nogami mlaska. O wyjściu w morze mowy nie ma. Szarapow zdążył zasnąć, opochmieliwszy się pierwej osadem margancowki. Chłopaki utknęli nosami w widiku, krutą pornuchę ganiają. Tańka po kuchni się krząta, obiad dla nas warzy, czajem mnie poi. Do czaju podała miód blade-biały, niczym grudę lodu, z posmakiem wanilii. To miód łańtajski, wiosenny, pachnie górską łąką. Może ów zapach wywołał Tańkę z milczenia. Raptem zaczęła mówić o swoim życiu. Beznamiętnie, cicho, jakby na drutach robiła. Próbowaliśmy wzór zapamiętać. Na brudno, w kajecie.

Tańka jest Polką z Ałtaju. Z domu Baworowska. Kogoś z jej przodków w kraj łańtajski zesłali, ale kogo i za co – nie wie. Miała piętnaście lat, smarkula, ledwie szkołę skończyła, kiedy Szarapow do Katandy przyjechał. Żenić się. Z jej siostrą. Przy okazji i Tańkę przychwycił. Załatwił dla niej, w Leningradzie przy sztabie, kursy na telegrafistkę. Pewnie już wtedy planował, że mu zastąpi na stacji Ireń. Irka nie wytrzymała życia na Kordze: samotności w tundrze, pijanych furii Stiopy. Rzuciła go. Tańka została. Jest mu żoną, pracownikiem, podwładnym, rabem. W pojedynkę stację obsługuje, kiedy Szarapow zapije. Jemu też służy, czasami do bicia. Bywa, że do niej mierzy, a ona nie wie, czy pistolet nabity. Tańka często w bani sypia, bo się boi w domu. A kiedy Stiopa trzeźwieje, z braku samogonu, wtedy płacze, przeprasza ją, kaja się. Wtedy Tańka go kocha, bo i gdzie ma się podziąć: ona da on? Jedyłą rozrywką Taniuchy są potrzaski na lisy. Wyprawia z nich skóry na szuby. Już na tuzin zebrała, tylko uszyć nie ma jak. A i po co? W szubie po tundrze paradować?

W ciemny szelest Tańki głosu nagle ryk się wdarł. Z plaży dochodził. Runęliśmy do okien. W dole po obeschłym piachu, wolno pełzł wjezdzechod. W naszą stronę.

#### Kamienne jezioro

To byli żołnierze z garnizonu, kumple Szarapowa: komandir Witia, syn zamadmirala Północnej Floty, sierżant Pietia z Kazachstanu, szofer GT-T i szeregowy Fiedia, półkrwi Samojed, a na poły Ruski. Na łabędzie się wybrali, postrzelać. I po drodze wypić. Nie mając żadnych związków z pogranicznikami, nawet nie pytali, skąd się tu wzięliśmy. Za swoich nas przyjęli: za kłusowników. Po dwóch stakanach stanęło, że jedziemy z nimi. Nasze strzelby przypadły im do gustu, zwłaszcza Wasina, bo daleko bije.

Należało się spieszyć, by na małej wodzie przeskoczyć do ujścia rzeki Wołosowa, bo brzeg Konuszyna, stromy i grząski, nawet wjezdzechodom nie wszędzie pozwalał wejść. Od dołu glina, na niej płyty torfu, wielkości domów o kilku piętrach, nakryte „dachem” z darni. Grunt tu tonami spełza w morze,



miejscami wisi, falą podmyty, grożąc runięciem w każdej chwili. W czasie przyboju woda podchodzi do samego obrywu, natomiast odpływ tworzy niewielką plażę, po której rwaliśmy z hukiem silnika, zagłuszającym szum morza.

Korytem Wołosowej wydostaliśmy się w tundrę. Dalej sto wiorst przez landszaft nie z tego świata. Podmokłe łąki kwitnącej moroszki, pola dzikiego szczawiu i ostrych traw, splątany iwniak, kłęby karłowatej brzozy, sopki w liszajach jagielu, doliny burego błota, jeziora jak martwe lustra, poczerniałe na starość, i wszędzie, wszędzie, gdzie okiem sięgnąć – fragmenty rakiet. Cała tundra usiana kawałkami raketowych kadłubów, czasami znacznych rozmiarów i rżących barw: metaliczny oranż, jadowita żółć, fosforyczny granat. Na palecie spokojnych kolorów północnej przyrody tony te darły wzrok. Mieszały rozum.

Szukaliśmy łosia. A po drodze strzelaliśmy do pardw, do gęsi, do kaczek. Safari *à la manière russe*, z rykiem 200 mechanicznych koni, w obłoku spalin. Z sopki na sopkę, trąc doliny, rozjeżdżając ruczaje. Poszycie tundry jest delikatne jak naskórek człowieka, nawet lekkie dotknięcie stopy zostawia ślad, który zrazu podchodzi brunatną wodą, niby siniak krwią. Gąsienice naszego GT-T (*gusienicznyj tjażołyj tjażacz*) rozdzierały runo tundry, znacząc ją sznytami na czterdzieści lat. Bo tyle czasu potrzeba, by szramy po tjażaczu zarosły. By tundra zapomniała, że tu byliśmy.

Pod wieczór dotarliśmy nad kamienne jezioro. Od wieków, co roku, pod koniec maja, przylatywały tu łabędzie na lęg. W czerwcu ptaki linały (zmieniały lotki), tracąc na parę tygodni zdolność latania. Wtedy Samojedzi je zabijali. Jak popadło: dusili psami, łowili w sieci. Zwyczaj Samojedów w obejściu z łabędziami przejęli Nowgorodcy. Kamienne jezioro leży na skraju Kanino-Timanskoj tundry, nie opodal dawnego wołoka, którym żeglarze z Nowgorodu przeciągali łodzie, chodząc na Nową Ziemię. Wołok łączył morze Barentsa z Białym w najwyższym miejscu: między brzegiem Konuszyna i zatoką Czjoszy. Stalin tu kanał planował, ale umarł, nie zdążył. Zatem zrobili poligon. Dzisiaj łabędzie są pod ochroną, co nie oznacza, że kule ich się nie mają. *Krasnaja kniga* na poligonie nie obowiązuje. Na poligonie rządzi ten, kto ma broń.

– Łabędzi śpiew to w gruncie rzeczy przytłaczające łabędzie milczenie – powtarzam za Merrillem, patrząc na jedyne łabędzie, który sunie po płaskiej wodzie Kamiennego jeziora. – A milczenie to przecież samotność.

– Samotność to śmierć – odpowiedziało mi echo wystrzału. Komandir Witia zabił łabędzie.

Potem go rozplątał, posolił, pieprzem posypał i zasunął w pieczkę. Pieczkę sami przerobili pod dziczyznę, wystarczy jedno naręcze drew, by łabędzie upiec. Kiedy mięso dochodzi, Witia skrapia je szyłem i dodaje garść mirabelek. W kantine garnizonu szyło sprzedają w litrowych słoikach. Jak kompot, z paroma śliwkami na dnie. Etykietka głosi, że to produkt do wyrobów cukierniczych, a kosztuje mniej, niż pół litra wódki. W izbie robi się ciepło. Pachnie pieczystym. Okna myśliwskiej chaty wychodzą na Kamienne jezioro. Słońce siada czerwono za sopką, jakby broczyło posoką. Szyło w graniastym stakanie oddaje farbę. Z piersi pieczonego łabędzie kapie tłuszcz. To „carskie bljudo”, przysmak Iwana IV, cara Groźnego. Miękną kontury w izbie, twarze mrok rozmazuje, na ścianach płasają cienie: ni to bojarów, ni wojów, ni opryczników. Przez ciekłą materię realnego świata prześwietlają zwidy.

### Szojna

Sto dwadzieścia wiorst dalej w połunoszniczną stronę (na północny wschód, w pomorskim narzeczu). Chmury sino wisały, jak wory pod oczami Szarapowa, kiedy go żegnaliśmy. Potem lunęło. Poszliśmy wzdłuż Kaninskiego brzegu, niesieni prądem odpływu. Był pełny sztil. Deszcz padał bezgłośnie, bez przerwy. Z boku przesuwał się świat, jak niemy film w zwolnionym tempie. Kadr za kadrem, wciąż to samo – goły, bezludny ląd. Jedynym urozmaiceniem były rzeki: Wołosowa, ruczaj Bogatyj, Kija. W Szojnę wchodziliśmy we mgle. Na szczęście przybój się zaczął. Deszcz przestał padać, za to wiatr podniosło. Brzeg straciliśmy z oczu. Szliśmy po nurcie, niby po sznurku. Jak ociemniali tykaliśmy dno kołami, omijając koszki. Parę godzin to trwało, czas w tumanie stajął. Kotwicę rzuciliśmy, licząc na łut szczęścia, że

nas na małej wodzie nie przewróci. Wreszcie czaj i koja. Śpiwór namókł.

Woda pochłupuje o burtę „Antura”, nie daje zasnąć. Otwieram więc *Rok na Północy* na Kanińskim brzegu. W porównaniu z Zimowym, czy Mizeńskim, pisze Maksimow, gdzie choć parę osad ludzkich można znaleźć i bodaj krzaki, brzeg Kaniński jest zupełnie pusty, tylko ślaniec się ściele, arszyna od ziemi nie sięgając. Zimą nawet Samojedzi gnali stąd olenie, w strachu przed idolami śmierci, bowiem pusta przestrzeń, wedle ich podań, kusi demony niebytu. Latem, koczując na Kamień, czasami polowali tu na morskiego zwierza: na nerpy, tewjaki i wodne zające. Ale tylko półdiota z plemienia samojedzkiego, twierdzi Sergiej Wasilewicz, może być tak cierpliwy, by całymi dobami leżeć w łodzi, niedaleko od brzegu, na kotwicy, i czekać w skoncentrowano-flegmatycznym skupieniu, aż wychynie z toni czarna główka, by w nią strzelić...

Raptem ze snu wypadłem, jak z koi przy silnym przechyle. W kubryku powietrze od mata zgęstniało. To Wasia klął. Wskoczyłem na pokład. Wiatr mi chlusnął piachem w oczy. „Antur” tkwił mieczem w łasze. Bo kiedy spaliśmy, woda opadła i koryto rzeki okazało się sto metrów dalej. Jednym słowem: obeschnęliśmy. A wokół jachtu, niby w przedłużeniu snu, brodzą małe ińki – samojedzkie podlotki. Z jaskrawo pomalowanymi ustami. Wyglądało, że czekają, kiedy się obudzimy. Na brzegu posiołek zasypany piachem, tylko dachy z jam wystają i wiatr miecie pyłem. Skąd tu posiołek, skąd te podlotki z czerwonymi wargami? Skąd tyle piachu?

Było tak. 15 czerwca 1929 roku, na posiedzeniu WCİK-a (Ogólnorosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego), utworzono Nieniecki okręg narodowy, obejmujący koczowiska Samojedów wzdłuż Oceanu Lodowatego: od Kanin Nosa do rzeki Kary. Rok wcześniej, decyzją Komitetu Północnego, nazwę „samojedy” zmieniono na „niency”, gdyż uznano, że stare miano jest obraźliwe. W latach trzydziestych próbowano koczowników osiedlić na stałe. Posiołek Szojna jest przykładem takiej próby. Niestety, miejsce wybrano fatalnie: na ruchomych piaskach. Na początku jeszcze szło nieźle, bowiem rozwinięto tu przemysł zwierobojny (masowy

ubój morskich zwierząt), oraz połowy nawagi. Śmiałkowie pociągnęli za „długim rublem”, a państwo zadbało, by go zarobili. Państwo zabezpieczało też transport, zaopatrzenie i łączność ze światem po tamtej stronie Kręgu Polarnego. Potem pieriestrojka zmieniła priorytety, a na morskiego zwierza popyt spadał. Szojna opustoszała. Zostali w niej tylko „chorzy na Północ” i tacy, co nie mieli dokąd wrócić: Niency, odwykli od czumów (rodzaj wigwamów ze skór olenich), poszukiwacze „długiego rubla”, na których żony przestały czekać, nieudacznicy i kobiety bez fartu, choć często z dzieckiem. Niedawno zlikwidowano w Szojnie strażnicę graniczną, ostatnią nadzieję miejscowych dziewcząt, a zarazem jedyną nić, wiążącą posiołek z państwem. Dzisiejsza Szojna, odcięta od świata i na wpół zasypana piachem, bardziej przypomina sen Samojedów, niż realną wioskę. Sen jakiegoś półdioty z plemienia samojedzkiego, który walając się w łodzi całymi dobami, w oczekiwaniu na nerpę, tewjaka, czy morskiego zająca, wyśnił owe pół wieku, ten posiołek, uszminkowane podlotki i nas samych, z mieczem w piachu.

– *Jedri waszu mat', szto wy zdies' dielajetie? Zdies' zakrytaja zona, nada otmieczat'sja!* – nagle, jakby z piachu, muzyk wyrósł. Czarniawy, w gumiakach, zacierzewiony. Z kołunem w rękę. Kołun to specjalny topór do rozłupywania wielkich kłoców drzewa. A muzyk okazuje się przewodniczącym sielowietu, czyli miejscowej rady gminnej, na którą spadły obowiązki służby pogranicznej, z chwilą zniesienia strażnicy w Szojnie. Za godzinę mamy się zameldować, z dokumentami, w sielowiecie. Długo błądzimy po Szojnie, w lotnym piasku po kolana. Ulice zawiane, w zaspach. Domy rozrzucone wśród wydm, w głębokich dołach, codziennie odkopywane. Gdziekolwiek kopczyki sterczą, jak nagrobki, ślady po domach, w których nikt nie żyje. Ani ogródków, ani trawy. Tylko piach, piach, piach. W sielowiecie zasypało schody, wewnątrz baraku! Piasek się tu wciska każdą szparą, byle szczelina. Nawet w gabinecie przewodniczącego go pełno: w szklankach, na stole, w aktach. Muzyk tymczasem stracił rezon. Być może skonfundował się naszą fabułą (której nie zdradzę, bo się może jeszcze przydać), a może Wasiną miną. Zaczął szukać ukazów, przewracał jakieś teczki, grzebał w szpargałach, podnosząc pył. Tłumaczył się, jękał, prze-

prasał: że pogranzona, że zakryto, że sam nie wie, po co? I że musi być w kursie, kto tu chodzi, wszak mogą zadzwonić, sprawdzić. A i dla nas wygodniej, bo odmeldowawszy się, dalej idziemy legalnie. – *Nu-ka, dawajcie, riebjata, po stakanu, na pososzok, i poka.*

– *Poka, jedri twoju mat'.*

### Tarchanow

Ostatnie sto wiorst po morzu ku Północy. Dalej pójdziemy pieszo.

Z Szojny wyszliśmy o świcie, na półwodziu. Ledwie nas zdjęła z łachy. Należało się spieszyć, póki muzyk fabuły nie przejrzał. Do Tarchanowa mieliśmy półtorej wody czasu, bo tylko na pełnej można wejść w załadzie. Załadzie Tarchanowa to wąska przestrzeń między brzegiem, a skalną grzędą (łudami), od północy zamknięta cyplem. Wedle *Locji* się zdarza, że przyływ zakrywa grzędę i można na nią usiąść, jak na kół. Zaś na małej wodzie sterczą u wejścia kamienie, niby szwajcarzy u drzwi. Trzeba zatem nie lada precyzji, i nieco szczęścia, by nie rozedrzyć pudła przy wchodzeniu, ale innego wyjścia nie ma – to ostatnie schronisko na Kaninskim brzegu. Dalej lite skały wyrastają z morza.

W Tarchanowie do niedawna polowali na białuchy, czyli białe wieloryby, które żyją tylko w wodach podbiegunowych. W Białym morzu zabijano je od wieków: dla skór, o których latopis nawgorodzki z XI wieku pisał, że były ściągane z ludów Północy w formie dani; dla mięsa, z którego w latach 30-tych naszego wieku ludy Północy robiły pasztety, kiełbasy i konserwy; wreszcie dla tłuszczu, krwi i kości. Po wojnie przemysł białuszy gwałtownie zmalał, choć jeszcze w 1958 roku, w rejonie Tarchanowa, ubito 420 zwierząt. Było to ostatnie miejsce na Białym morzu, gdzie polowano na białe wieloryby.

Szliśmy na żaglach, bez motoru, bez słów (w bezmołwii). Morze było białe, jakby światło się rozlało po widnokrąg. Miałem wrażenie, że zaglądam słońcu prosto w oczy. Lub śmierci. Widziałem Białe morze w różnych kolorach: często poszarzałe, jak twarz człowieka przestraszonego lub zielonka-

we, jak cień wodorostów na dnie, czasami przybierało odcień bladej ochry, kiedy światło we mgle topniało, czasami zaś ołowianej minii, gdy słońce zachodziło pod wiatr. Każda pora roku ma swoje barwy morza, jesień – dla przykładu – tony kobaltu i smalty. Białe morze bywa też różowe, cynobrowe, złote, niekiedy całą gamą blasków gra, ale tylko ten, kto zobaczył jego biel za Polarnym Kołem, może pojąć tych, co nie chcą stamtąd wracać. Nieprzypadkowo w ich relacjach powtarza się motyw zaświatów, wystarczy przypomnieć zagadkowe słowa Melville'a z *Moby Dicka*, o pozagrobowym wpływie Białego morza na duszę człowieka. Zagadkowe, bo nie ma świadectw, że Melville tu bywał za życia.

Ład wyrósł przed nami nagle, jakby tylko co stworzony. To Kaniński Kamień, skalne plateau z krystalicznych łupków, opadające tarasami w morze. W żlebach, miejscami, leżał jeszcze śnieg, a na kamiennych progach lód opalizował w słońcu, ale po zboczach spływały już setki strumieni, którymi ciekła wiosenna tundra. Brzeg zdawał się niedostępny, niczym ściana z granitu, żłobiona morzem w fantastyczne kształty. Chodziliśmy wzdłuż niej, tam i z powrotem, jak więzień na spacerniku, nie mogąc trafić w załadzie. Wtem, jak w bajkach czasem bywa, znaleźliśmy się po drugiej stronie. Czyżby to czary samojedzkich szamanów, o których prawosławni szepczą, że potrafią wyrzucić świat na nice?

### Kanin Nos

Gorlec żyworodjaszczij, puszcica gołubaja, osoka wodjanaja, miatlik ługowej... nie, nie miał racji Szafamow, pisząc, że kwiaty na Północy nie pachną. One pachną, oszałamiająco, wystarczy twarz zanurzyć w dywan tundry. Po słonej woni morza, wodorostów i wiatru, delikatny zapach wiosennej tundry uderza do głowy, jak nastojka na złotym korzeniu, który też tu rośnie. Wszędzie go pełno: na brzegach ruczajów, na skarpach nadmorskich, na sopkach. Rodiola rozowaja – święta roślina samojedzkich szamanów. Jej korzeń pachnie różami. Zalany wódką i postawiony w ciemnym kącie na kwadrę księżycy, był od wieków miksturą Pomorców. Przedawkowy, bywał okrutny, jak bezsenność. Tam, na ziemi,

jak mówią Samojedzi, mając na myśli świat do Kręgu Polarnego, trudno znaleźć złoty korzeń, bo poszukiwacze eliksirów życia do szczytu go wyrwali. A tutaj rośnie tak gęsto, że przejść nie sposób, by nie chrzęstnął pod nogą. Tutaj nawet dziki szczypior kwitnie tajemniczo, maleńkimi fioletowymi baziami.

Dwadzieścia godzin szliśmy przez tundrę, w poprzek Kanin Nosa, do Oceanu Lodowatego. Najpierw się wspinaliśmy po skalnych półkach na plateau Kamienia, jak na Zamarłą Turnię w Pięciu Stawach. Potem brodziliśmy olenimi tropami, w chlipkich błotach, omijając martwe jeziora ze słojem wiecznego lodu na dnie. Nad jednym z nich znaleźliśmy ślady po czumach, objedzone kości, olenie rogi. Dalej sopki, sopki, znowu błota, jeziora, błota, sopki. Słońce skryło się za chmurami, trudno pojąć, która godzina, gdzie północ? Gdzie my? Grunt pod nogami miękki, poddaje się, zapada, trzęsawisko, kluczymy, z kępy na kępę, do ostatniego potu. Mięśnie odmawiają posłuszeństwa, w ustach wyschło, śliny brak, wody też. W powietrzu błotne gazy, mało tlenu, omamy: to drzewa się jawią, to wieże miasta, to baraki. Podchodzimy bliżej, baraki nie zanikają. Są! Realne, jak Wasia, jak Losza, jak tundra wokoło. Zbutwiałe, z oblażłym tynkiem, zarośnięte jagodami. Piece rozwalone, wszędzie kupy cegieł, połamane żelastwo, tu i ówdzie drut kolczasty się wala. Czyżby zona? Odpoczywamy. Na narach. Półdrzemiac w półjawie. Stopy pieką, w uszach szumi. Szumi ocean. Ocean...?

Tak, to był Ocean Lodowaty. Z okien rozwalonego baraku widzieliśmy bezkres ołowianej barwy, bez horyzontu i bez sklepienia. A na pierwszym planie, na skraju ziemi, wielkie czerwone znamię. Z sierpem i młotem, w lewym górnym rogu.

*Dokończenie nastąpi.*

Mariusz WILK

## Podróż do Lwowa i Bołszowiec (lipiec 1995)

13.07.95

Jedziemy z Dominikiem Reyem autem z Kijowa dzięki uprzejmości I-go sekretarza naszej ambasady w Kijowie, Andrzeja Włocha. Przewornie, jak się okazało, ma w samochodzie lodówkę z napojami i jedzeniem.

Droga prowadzi przez Żytomierz, Równie i Brody. Szosa na ogół prosta i szeroka, nie pozwalająca na wielkie szybkości ze względu na zły stan nawierzchni (jest zresztą ograniczenie do 100 km/godz.), po obu stronach gęsto wysadzona drzewami. Od czasu do czasu widać przez drzewa duże pola kołchozowe. Ich stan pozostawia sporo do życzenia. Zboże jest już dojrzałe ale sięga tylko kolan i rośnie dość rzadko. Krowy małe, niewiele większe od cieląt holenderskich, tyle że nie takie tłuste. Tu i tam jedna lub dwie osoby pilnują paru krów w rowie z patykiem w garści. Praca w polu jest wykonywana ręcznie, rzadko widać maszyny. Raz czy dwa mijamy wozy drabiniaste, ale z oponami na kołach. Lepianek i strzech już nie widać. Domy po wsiach są murowane (pustaki, często tynkowane, niekiedy malowane w pastelowe kolory), na ogół toną w kwiatkach (głównie malwy, rzadziej róże).

Sytuacja stopniowo się poprawia w miarę jazdy na zachód. Wpierw Wołyń a szczególnie Galicja ugruntowują to wrażenie. Krajobraz jest mniej monotony bo falisty, wście jakby zamożniejsze (wszystko jest względne) przede wszystkim zaś we wszystkich wsiach widać teraz cerkwie. Równie jest

miastem brzydkim ale stosunkowo czystym. W Dubnie oglądamy dawny zamek-fortecę Ostrogskich i Lubomirskich. Stan opłakany. Na bramie napis „prace restauracyjne”, wewnątrz paru robotników siedzi w cieniu, popija i gada.

Lwów wita nas wielkim, brzydkim, betonowym lwem, widniejącym na końcu prostego odcinka szosy. Zaraz potem, ale jeszcze sporo przed roгатką Żółkiewską, zaczynają się długie łańcuchy betonowych „socjalistycznych” bloków mieszkalnych. Bloki te szczelnie otaczają miasto, które przed wojną miało 300.000 mieszkańców, dziś natomiast ma prawie milion. Po jakimś czasie pojawia się po obu stronach ulicy nieco starsza zabudowa i zaraz potem wyjeżdżamy na tyły Teatru Wielkiego (Opery i Baletu im. Iwana Franki). Od tego momentu, po 56 latach (!) wiem dokładnie gdzie jestem.

Teatr bez zmian. Podobno był przed nim pomnik Lenina ale już go zabrano. Bez zmian także Wały Hetmańskie, tyle że brakuje pomnika Sobieskiego (dziś w Gdańsku). Skręcamy w prawo Sykstuską (Doroszenki) i zaczyna się piekło. Ulica jest wybrukowana przedwojenną jeszcze kostką i tak wyboista, że trzeba bardzo ostrożnie posuwać się na pierwszym lub drugim biegu. Dodatkowym niebezpieczeństwem są głębokie szczeliny w bruku po obu stronach szyn tramwajowych.

Stajemy w hotelu Dniestr na ul. Matejki czyli na szczycie ogrodu Jezuickiego (Park im. Iwana Franki). Ohydny blok betonowy, podobno jeden z droższych we Lwowie, na zachodzie miałby niższą klasę średnią. Obsługa uprzejma, wszyscy rozumieją po polsku i nawet starają się naszym językiem mówić. Na każdym piętrze dobrze znana instytucja sowiecka: dyżurna piętrowa, która przez 24 godziny na dobę dysponuje kluczami, uspokaja pijaków, być może jeszcze donosi na policję, ale za to potrafi wykonać drobne naprawy i w upalny letni wieczór przynieść wody mineralnej z lodem. Piętra obsługują dwie windy, z których co najmniej jedna, niekiedy obie, są codziennie zepsute.

W recepcji czeka na nas Ala, kuzynka Niki, która nigdy ze swego rodzinnego Lwowa nie wyjechała. Właśnie rozpoczęła emeryturę po wieloletniej pracy w laboratorium medycznym. Jej emerytura wynosi półtora miliona karbowanów miesięcznie, czyli \$10 (!). Podobno można się za takie

pieniądze wyżyć. Z Dominikiem zapraszamy na kolację w hotelu Alę, jej przyjaciółkę panią Szybalską (Polka ze Lwowa, emerytowana farmaceutka) i panią Irenę (z hotelowego biura podróży), mówiącą dobrze po francusku. Dają nam niezłego kurczaka po kijowsku, ale w sumie jakość jedzenia jest mierna. Za 5 osób płacimy \$40, ale bez wina.

Ala opowiada, że podróżować za komuny nie mogła a teraz kiedy przeszkód politycznych nie ma, nadal nie może, bo paszport kosztuje \$50. Przy dużej korespondencji nie może sobie pozwolić na znaczki, więc każe je sobie przysyłać z Polski, po czym ofrankowane listy daje podróżnym (dziś całkiem licznym), by wrzucili je do skrzynki w Polsce.

Ala chce koniecznie wrócić autobusem do domu mimo, że bardzo źle chodzi, ponieważ linia dojeżdża pod jej dom. Odprowadzamy ją na przystanek koło katedry Św. Jura i długo jakoś czekamy na ten autobus. Kiedy już wydaje się, że trzeba będzie spróbować innego środka lokomocji, zajeżdża nagle zaciemniony autobus, najwyraźniej wracający do remizy (zajezdni?). Bez wywołania jakiegokolwiek zdziwienia, zatrzymuje się na przystanku, otwiera drzwi i zaczyna ładować pasażerów, przy czym kierowca starannie inkasuje od każdego cenę biletu. Jest to podobno znana forma dorabiania po godzinach pracy.

Wracając do hotelu zauważamy wokół Św. Jury trzy olbrzymie wieże radiowe. Dowiadujemy się, że służyły dawniej do zagłuszania radiostacji zachodnich, w tym polskich audycji Wolnej Europy. Teraz są nieczynne, ale nadal stanowią obiekt wojskowy a zatem Metropolita Unicki nie może korzystać ze wspaniałego wielkiego sadu, rozciągającego się na stoku poniżej jego cerkwi.

We Lwowie nastąpiła teraz druga fala zmieniania nazw ulic. Np. Trzeciego Maja zmieniła się za komuny na 17-go Września a teraz nosi od dwu lat nazwę Strzelców Siczowych. Ul. Mickiewicza przetrwała komunę a teraz została przechrzczona na Listopadowego Czynu.

14.07.1995

Przez cały dzień zwiedzamy pieszo zabytki Lwowa. Przewodnikiem jest kustosz cmentarza Łyczakowskiego, z pochodzenia Litwin, urodzony we Lwowie, interesujący się

żywo całym kompleksem problemów dawnych kresów Rzeczypospolitej, we Lwowie zaś pamiątkami polskości.

Kontemplując z zewnątrz Katedrę Św. Jura (wnętrze jest dobrze odrestaurowane), przewodnik zwierza nam się, że konserwatorzy ukraińscy dużo chętniej pracują pędzlem niż kielnią. Łatwiej jest bowiem zamalować skazę niż ją naprawić. Zobaczymy później wiele tego przykładów.

Ogród Jezuicki jest prawdziwą oazą przy panujących upałach. Drzewostan gęsty ale trawniki w złym stanie. Usunięto stojące tam dawniej popiersia różnych zasłużonych dla Lwowa Polaków. Natomiast naprzeciw Uniwersytetu wzniesiono okazały pomnik Iwana Franki. Jest on, rzecz zabawna, uderzająco podobny do Marszałka Piłsudskiego. Gdyby zmienić napis na cokole, mało kto by zauważył różnicę.

W gmachu Uniwersytetu zasiadamy na chwilę w dawnej sali poselskiej. Tu pradziadek Kornel rozkoszował się owocami zwycięskiej wieloletniej walki o autonomię dla Galicji.

Zaraz obok ulica 3-go Maja nieco się zmieniła. Po stronie północno-zachodniej, tej na której stoi dom Babci, zasadzono drzewa. Ulica jest teraz jednokierunkowa (do Jagiellońskiej, dziś Hnatiuka) i jeździ nią trolejbus. W bardzo dobrym stanie neorenesansowy pałac Pawlikowskich, dziś biblioteka. Również biblioteką (medyczną) jest dawny pałacyk Badenich pod numerem 6, czyli zaraz obok domu Babci. Ten ostatni został podzielony na mieszkania na wszystkich piętrach. Tunel od bramy wjazdowej do podwórza jest w mocno zaniedbanym stanie – obdrapany, od wieków nie malowany, bruk wyboisty. Podwórze w nie lepszym stanie. Gdy spojrzeć w górę z podwórza widać tylko bieliznę suszącą się na balkonach. Klatka schodowa wydaje mi się mniej wspaniała niż kiedy byłem dzieckiem. To podobno normalne zjawisko. Jak się jest małym, wszystko wydaje się duże, a później ulega skurczeniu. Ale tej klatce schodowej nie pomoże żadna wymówka. Jest po prostu brudna i zaniedbana. Na drugim piętrze, które w całości zajmowało mieszkanie Babci, są dwa dzwonki. To i tak zostawiono duże mieszkania, bo Babcia miała w samym salonie trzy wielkie okna z łukami. Niestety nikt nie odpowiada na dzwonek. Zaraz po mnie przychodzi dziewczyna, która chce coś dostarczyć mieszkańcom. I ona nie otrzymuje odpowiedzi, ale obiecuje, że powie o naszej

wizycie. Niestety i za drugim razem nikogo nie zastałem. Podziwiam dom raz jeszcze z ulicy. Okazuje się, że dobrze pamiętałem – ma 7 wielkich okien na fasadzie na każdym piętrze. Tynk i farba są chyba przedwojenne. Jedyne novum to antena satelitarna przymocowana do jednego z okien na drugim piętrze.

Dalsza wędrowka prowadzi przez pasaż Hausmana (dziś Krzywa Lipa) na Wały Hetmańskie (dawniej Prospekt Lenina, dziś Swobody), gdzie uderza swą urodą pomnik Mickiewicza (na placu Mickiewicza – jak dawniej). Na Akademickiej (Szewczenki) nie ma niestety drzew, które swego czasu stanowiły jakby przedłużenie plantów. Badając widokówki z epoki sowieckiej stwierdzam, że do niedawna jeszcze były. Może je wycięto, bo były chore. Ale nie widać żadnego śladu nowych sadzonek. Za to z końca ulicy jest bez drzew piękna perspektywa aż do wieży katedry łańciskiej.

Wstępujemy na chwilę by się ochłodzić do dawnej kawiarni Zaleskiego. Na parterze i w podziemiu, gdzie kiedyś spożywano najlepsze ciastka w Lwowie (podobno robione na maśle z Bołszowiec) jest dziś dość mizerna spelunka. Ale przynajmniej Coca Cola smakuje tak samo jak wszędzie.

Nieopodal, na dawnym placu Akademickim, pomnik Fredry (dziś we Wrocławiu) został zastąpiony pomnikiem Hruszewskiego. Zrobiono to dość taktownie, bo tak jak Fredro siedział na kamiennym fotelu, tak na własnym fotelu siedzi dziś Hruszewski.

W pobliskiej cerkwi Trynitarzy podziwiamy mało znane cacko lwowskie: renesansowy ołtarz z kości słoniowej, ufundowany przez kupiecką rodzinę Scholz-Wolfowiczów.

Stamtąd do zabytku o charakterze czysto rodzinnym: do stojącej na rogu Fredry i Kniazia Romana (dawniej Batorego) kliniki profesora Groera. Tam się rodziło potomstwo znacznej części dobrego towarzystwa Lwowa i ziemi lwowskiej. Tradycja się zachowała w tym, że jest to dziś nadal klinika położnicza. Opodal dawne studia Polskiego Radia Lwów, a zatem siedziba Wesołej Lwowskiej Fali, Szczepcia i Tońcia, Wiktora Budzyńskiego i Władysław Majewskiej.

W dalszym ciągu wędrowki podziwiamy Kościół Dominikanów (do niedawna muzeum ateizmu, dzisiaj muzeum religii, ale zdaje się, że eksponaty są te same), piękne podwó-

rze Arsenau, cudowną wręcz cerkiew Wołoską, pałac Sobieskich na Rynku. Dogania mnie tam milicjant z pretensjami, że za robienie zdjęć na zewnątrz trzeba płacić. Kosztuje mnie to całego dolara, przy czym cena wstępu wynosi tylko równowartość 7 centów! Jest tu jakaś dysproporcja, nie mówiąc o tym, że manieri milicjanta mocno przypominają całkiem inne czasy.

Zgodnie z tym, co wcześniej słyszałem, do katedry Ormiańskiej dostać się nie można. Znajduje się tam skład obrazów i ikon, podobno bardzo cennych. Ciekawy jestem w jakim są stanie i jak te lata przetrwały mozaiki i złocenia fundowane kiedyś przez dziadka Aleksandra. Przy wejściu dyżuruje młody człowiek o typowej fizjonomii ormiańskiej, ale wiele nie może nam poradzić. Zajmuje się maleńką kapliczką, używaną przez Ormian miejscowych – jest ich podobno kilkuset. Nie bardzo chce uwierzyć, że niebieskooki przybysz z Brukseli może być pochodzenia ormiańskiego.

Opodal muzeum (przyrodnicze) Dzieduszyckich zamknięte z powodu remontu, który właśnie się zaczyna. W tym celu wyrabano dwa wspaniałe stare drzewa w podwórzu – po co, nie bardzo wiadomo. Wszędzie wokół pocięte kawałki grubych pni i resztki gałęzi. Przewodnik zapewnia, że takie remonty trwają całymi latami.

Kościół Bernardynów zamknięty dla publiczności, można tylko zaglądać do wnętrza przez otwarte główne drzwi. Na szczęście nawija się kustosz, któremu przewodnik wyjaśnia, że towarzyszy „ważnej delegacji z Europy”, która bardzo chciałaby ten piękny kościół zwiedzić. Efekt tych słów jest natychmiastowy. Odkrywamy między innymi wspaniałe rzeźbione stalle za głównym ołtarzem oraz piękny widok na śródmieście z wieży, na którą wpuszcza nas coraz wyraźniej zadowolony z naszej wizyty kustosz. W najnowszych czasach kościół został przekazany na użytek cerkwi prawosławnej, a relikwie Św. Jana znajdują się teraz w jego rodzinnej Dukli.

W drodze powrotnej do hotelu zwiedzamy po kolei kilka zabytkowych aptek, gdzie umeblowanie wnętrza – witryny, stoły, oszklone półki, boazerie sięgające sufitu – pochodzi z końca XIX wieku. Nie wiem czy to przezorności, czy pauperyzacji zawdzięczamy, że nie rozpanoszyła się tutaj moda plastykowo-neonowa. W każdym razie dobrze się stało, bo

takich aptek nigdzie na Zachodzie nie widziałem. Zatrzymujemy się też w kilku księgarniach – koło placu Mickiewicza jest spora ich koncentracja. We wszystkich są półki z egzemplarzami antykwarycznymi, także polskimi, głównie wydawnictwa międzywojenne bez większej wartości. Co ciekawsze zostało już z pewnością dawno wykupione przez turystów z Polski bo ceny są bardzo przystępne.

Uderza mnie, że na budynkach zabytkowych – a jest ich we Lwowie wiele – wmurowano wszędzie tablice, które starannie pomijają pochodzenie danego obiektu. Na przykład można tam wyczytać „Pałac” albo „Pałac z bramą” ale nigdy Pałac Potockich albo Sapiehow.

Ostatni postój przed wieczorem to słynne niegdyś Kasyno Narodowe, dziś „Budynek Uczonych”. Także tutaj remont i raz jeszcze dostajemy się do wnętrza dzięki obrotności przewodnika. Zarządca najwyraźniej ucieszony, chętnie nas oprowadza, ale jego wiedza błędnie przy opowiadaniach Dominika, który był tutaj przed samą wojną na swym pierwszym balu w smokingu. W jednym z salonów pokazuje nam rodzaj małej marmurowej umywalki, wmurowanej do ściany, z kurkiem, z którego w czasie wielkich przyjęć można było dolewać sobie szampana. Po drugiej stronie ściany było małe pomieszczenie, w którym służba stale uzupełniała w specjalnym zbiorniku poziom perlistego napoju. Kasyno pozostaje takie jakie kiedyś było – prawdziwą symfonią boazerii, parkietów i rzeźbionych balustrad. Wspaniałe wnętrza będzie zachowane, albowiem celem remontu jest tylko urządzenie biblioteki i restauracji.

Na dawnej ul. Mickiewicza, wzdłuż Ogrodu Jezuickiego, Pałacyk Gołuchowskich w dobrym stanie, służy dziś za przedszkole. Nieco wyżej, na rogu ul. Nowakiwskoho oglądamy z zewnątrz dawną pracownię Styki. Po wojnie stała się ona pracownią Nowakiwskoho, artysty ukraińskiego.

15.07.1995

Dzień rozpoczynamy od audiencji u Metropolity Większego Lwowa Kardynała Lubacziwskiego, zwierzchnika Cerkwi Unickiej. Poznałem go 16 lat temu, kiedy jeździłem z Papieżem jako dziennikarz a Lubacziwski był biskupem ukraińskim w Filadelfii. Później robiłem z nim wywiad dla

RWE, kiedy był już w Rzymie jako następca Kardynała Slipego. Dziś ma ponad 80 lat i wygląda na zmęczonego, ale umysł ma nadal żywy i pamięć dobrą. Nasza audyencja jest wyróżnieniem, bo jak dowiadujemy się, kardynał rzadko już przyjmuje gości. Towarzyszy mu młody, dynamiczny biskup Bazyli Medwit, mówiący znakomicie po polsku (wychował się w Przemyślu).

Ambasador Jerzy Kozakiewicz, który dołączył do nas we Lwowie poprzedniego dnia, informuje Kardynała o obecnym, dobrym stanie stosunków polsko-ukraińskich. Metropolita ze swej strony mówi o problemach Cerkwi Unickiej. Główna trudność obecnie to brak duchownych. Jest to jednak sytuacja przejściowa, bo jest dużo powołań a w seminarium jest teraz 320 studentów.

Po krótkiej wizycie w Konsulacie RP wyjeżdżamy ze Lwowa na południe. Park Stryjski robi wrażenie dorodnego lasu, dobrze utrzymanego, z różnymi terenami zabaw i rozrywek. Z głównej szosy na Stryj skręcamy przed Żydaczowem na wschód w kierunku na Chodorów. Pierwszy postój to Stary Rozdół z pałacem Lanckorońskich. Budynek, piękny pałac z XIX wieku trochę w stylu włoskim, w dobrym stanie. Wewnątrz resztki stiuków i fresków świadczą miejscami o świetnej przeszłości. Dziś jest to lecznica dla dzieci chorych na cukrzycę. Są tu też dzieci z Czarnobyli. Park jest w dobrym stanie gdy chodzi o drzewostan, reszta bardzo zaniedbana.

Opodal osiedle fabryczne Nowy Rozdół, brzydkie jak noc, dużo betonowych bloków mieszkalnych, kilka fabryk, niektóre z nich już w ruinie lub nigdy nie wykończone. W następnej wsi, Brzedowcach, natrafiamy na barokowy kościół przy szosie. Instynkt każe się zatrzymać, zwłaszcza, że o część gmachu opiera się rusztowanie. Wewnątrz spotykamy starszą kobietę, która czyści ołtarz. Mówi biegle po polsku. Opowiada, że kościół był przez wiele lat składem a ostatnio został bez trudu oddany katolikom, których pewna ilość się ostała w rejonie Żydaczowa. Wnętrze jest zdewastowane i będzie wymagać wiele pracy. Obecnie restauruje się dach a na nabożeństwa dojeżdża ksiądz z Żydaczowa.

W Chodorowie, gdzie jest nadal ważny węzeł kolejowy (krzyżują się tu linie Lwów-Stanisławów i Stryj-Tarnopol)

bezsukutecznie szukamy Dworu Lubomirskich, który znajdował się bardzo blisko dworca. Eugeniusz Lubomirski, późniejszy adiutant gen. Andersa, miał tu udziały w cukrowni wraz z dziadkiem mojej żony, nacierzem Marianem Wieleżyńskim, odkrywcą złóż gazu ziemnego w Daszewie. Do Lubomirskich jeździliśmy jako dzieci. Z braćmi siedzieliśmy na werandzie i zajadali truskawki przyglądając się przejeżdżającym pociągom, podczas gdy rodzice rozprawiali o ważnych sprawach w salonie z Eugeniuszem i jego austriacką żoną Eriką.

Z Chodorowa jedziemy do Psar. Dominik coraz lepiej rozpoznaje teren. Pierwsza niespodzianka: mimo, że jesteśmy na zapadłej wsi, zatrzymuje nas posterunek milicji. Takie posterunki spotyka się na głównych szosach dość często. Zapewne są pożyteczne przy zwalczaniu przestępczości, ale dla cudzoziemca nie znającego języka, mogą być też zasadzką. Jak zwykle magicznie działa na milicjantów przepustka kierowcy ambasadora RP. Druga niespodzianka: Psary nazywają się dzisiaj Prizernoje (Przy-jezierze) mimo, że ogromny staw, który istniał tam przed wojną, został osuszony i zamienił się w wielkie pastwisko.

Dojeżdżamy wreszcie do pałacu. Dominik jest wyraźnie wzruszony. Park wygląda na zapuszczony ale dom jest na zewnątrz nietknięty. Do wnętrza jednak dostać się nie można. Nasz zaradny kierowca szybko znajduje na to sposób: włamuje się do piwnicy od małego bocznego wejścia i stamtąd możemy przejść bez trudu na parter. Budynek jest doszczętnie opustoszały, dowiadujemy się później, że był tu do niedawna zakład psychiatryczny, ale z nieznanых przyczyn został gdzie indziej przeniesiony. Przy przeprowadzce zabrano absolutnie wszystko, łącznie z kontaktami elektrycznymi, pozostawiając właściwie tylko mury, posadzki i sufity. Te ostatnie miejscami grożą zawaleniem się. Być może uznano, że koszty odrestaurowania budynku byłyby zbyt wysokie i dlatego został po prostu porzucony.

Dominik jest przygnębiony. Za bramą podchodzimy do rzędu małych domów wiejskich, schludnych, otoczonych ogródkami z kwiatami. Przy jednym z nich stoi stara kobieta, której mówię, że jest ze mną Dominik Rey. Kobieta składa ręce jak do modlitwy i mówi: „Boże, to najstarszy”, po czym



bezbłędnie wylicza całe rodzeństwo Dominika i to podług starszeństwa. Nazywa się Maria Górska, mówi do nas mieszanką polskiego i ukraińskiego, ale w sumie łatwo jest się porozumieć. Opowiada, że pałac ma być jakoby wyremontowany, ale że nikt nie wie skąd się znajdują na to „grosze” więc nie wiadomo co z tym będzie. Podchodzą dwie inne kobiety pamiętające dawne czasy. Robimy zdjęcia, żegnamy się i jedziemy na pobliski cmentarz, gdzie pochowano braciszka Dominika, który zmarł przed wojną w wieku siedmiu lat. Czeką nas przykra niespodzianka. Cmentarza w ogóle nie ma. Został zrównany z ziemią i zarósł krzakami. Tylko na jednym końcu odnajdujemy w gąszczu dolną część krzyża, obłamanego na wysokości kolan Chrystusa. Dzieci pilnujące obok bydlę opowiadają, że cmentarz został już dawno zrównany z ziemią. A przecież nie było tam wspaniałych grobowców, pochowani byli tylko ludzie z paru pobliskich wiosek. Czy mogła to być zemsta prawosławnych, którzy przejęli na tych terenach władzę religijną po słynnym synodzie lwowskim, zorganizowanym w 1946 r. przez NKWD celem zlikwidowania cerkwi unickiej i wszelkich innowierców?

Komentarz Dominika po parugodzinnym pobycie w Psarach: „Mogłem dziś zamknąć moją przeszłość. Teraz trzeba patrzeć w przyszłość”.

Z Psar jedziemy na Rohatyn, mijając raz jeszcze ten sam posterunek milicji, który nas znów legitymuje. Przejeżdżamy w pobliżu Knihyniczyn, gdzie mieszkali krewni mojej babki Tustanowskiej. Przy wjeździe do Rohatyna znów posterunek milicji. Samo miasto, dawniej powiatowe i ruchliwe, robi mizerne wrażenie. Za to ruch na rynku duży, czynny kościół katolicki.

Po kilkunastu kilometrach następny przystanek: Świrz. Uroczy zamek nad jeziorem jest po części dobrze odrestaurowany i ma tam swoją siedzibę Ukraiński Związek Łowiecki. Zamek nosi datę 1484, a obok stoi kościół w bardzo złym stanie z 1546 r. W jeziorze pod zamkiem kąpią się dzieci ze wsi, panuje upał, wokół idylliczny krajobraz pól i lasów. Także Świrz przez krótki okres, 100 lat temu należał do Tustanowskich, później – przez żonę – do Tadeusza Komorowskiego-Bora. Wracamy do Lwowa przez Bóbrkę (pierwsze w Galicji wierceń ropy) i przez podmiejskie już Winniki, gdzie przed wojną mieszkali liczni osadnicy niemieccy.

Szesnasty lipca jest dla mnie dniem kapitalnym: dzisiaj będziemy w Bołszowcach. Ale pierwszym punktem docelowym jest Stanisławów, dziś Iwanofrankiowsk. Dowiaduję się, że nie brak Ukraińców, którzy chcieliby przywrócić dawną nazwę, nadaną na cześć ojca przez założyciela prywatnego wówczas miasta Andrzeja Potockiego w 1660 r. Tyle że zwolennicy tej kolejnej zmiany chcą nadać miastu przedwojenną nazwę ruską: Stanisław. Jedziemy przez Winniki i w pół drogi do Złoczowa skręcamy na południe na Przemyślany i Rohatyn.

W Bursztynie nie ma najmniejszego śladu wspaniałego niegdyś pałacu Jabłonowskich. Władek Heydel, którego matka była najstarszą z sióstr wygasającej na nich linii książąt Jabłonowskich, powiedział mi jeszcze w Warszawie, że nie mógł nawet w trawie znaleźć choćby fragmentów fundamentu. Po uszkodzeniu w czasie wojny, pałac został rozebrany doszczętnie na budulec.

Wielką nowością jest zaczynający się zaraz za Bursztynem ogromny zalew na Gniłej Lipie, wypełniający właściwie dolinę w całej jej szerokości. Mierzę na mapie jego długość: 8 km, szerokość: 2,5 km w najszerszym miejscu przy szerokim wale ziemnym, stanowiącym zaporę przed samym Bołszowem. Nad tą wioską spostrzegam z daleka łysą Kasową Górę, z której kopano niezłej jakości alabaster. Przed końcem zalewu, na jego zachodnim brzegu, kolejna nowość: potężna siłownia z kilkoma chyba stumetrowymi kominami. Jest to siłownia węglowa, która podobno pożera kilka pociągów węgla dziennie i potwornie zanieczyszcza swymi dymami całą okolicę.

Za zalewem spoglądam nerwowo na lewo, czyli na wschód. Czy zobaczę nasz dom? Pojawia się wkrótce góra parkowa, zalesiona jak dawniej, tyle że mniej więcej w połowie drzewostan jest przecięty, by przepuścić linię wysokiego napięcia. W przedłużeniu skarpy parkowej, tam gdzie dawniej już stąd bielił się w dali dwóm wzniesiony przez mojego Ojca w 1927 r., nie widać nic! Jestem mocno zaniepokojony, ale trzeba będzie jeszcze poczekać parę godzin, bo ambasador ma o 9:30 spotkanie z Polonią w Stanisławowie i nie wolno się spóźnić. Pędzimy więc dalej bez zatrzymania przez Halicz.

Miejscem spotkania jest kościół polski w Stanisławowie, leżący trochę na uboczu na wschodnim przedmieściu. Świątynia jest skromna ale obszerna, wypełniona wiernymi, głównie kobietami, które czekając na nas zabrały się do śpiewania, choć dla dobrego ucha jest to raczej zawođenje. Po krótkim powitaniu przez księdza, ambasador Kozakiewicz wygłasza wstępne przemówienie i następnie prosi o pytania. Ilustrują one problemy z jakimi boryka się tamtejsza Polonia. Wynotowałem je na bieżąco:

- jak wygląda sprawa wypłaty przez władze ukraińskie rent i emerytur tutejszym Polakom, spełniającym wymagane warunki;

- nie dochodzą tu gazety polskie i nie ma polskich audycji radiowych;

- brak pomieszczeń dla organizacji polonijnych;

- formalności paszportowe na wyjazd do Polski są uciążliwe a paszporty bardzo drogie;

- jedna z obecnych pań ma miesięczną rentę w wysokości 770.000 karbowanów (równowartość \$5 !!!). Jak ma z tego żyć?

- młodzież, która wyjeżdża do Polski na studia nie chce tu wracać. Zarazem rodzice niechętnie oddają dzieci do szkoły polskiej bo zamyka im to drogę do dalszej kariery na Ukrainie;

- jak wygląda sprawa zwrotu własności osobom, które były deportowane za czasów sowieckich, a potem w te strony wróciły;

- skargi na działalność Federacji Polaków na Ukrainie, skargi na działalność Wspólnoty Polskiej w Warszawie, opiekującej się Polakami poza granicami kraju, skargi wreszcie, że pomoc rządu RP dla Polaków w tym kraju zatrzymuje się mniej więcej na przedwojennej granicy i nie obejmuje tzw. Wielkiej Ukrainy.

Z odpowiedzi Ambasadora wnioskuję, że pytania takie już wielokrotnie słyszał w innych skupiskach polskich na Ukrainie. W niektórych sprawach nie da się nic zrobić, w innych zabiegi są w toku, ale „moc przerobowa” władz ukraińskich w dziedzinie podejmowania decyzji pozostawia wiele do życzenia. Specjalnie mnie to nie dziwi: problemy przed jakimi stoi dziś Ukraina są całkiem innego rzędu.

Po spotkaniu z Polonią podejmuje nas krótko kawą młody i dynamiczny ksiądz Halimurka, pochodzący ze Stanisławowa. Następnie oprowadza nas po nowiutkim Domu Polskim, budowanym przy kościele wysiłkiem parafian. Jest to trzypoziomowy budynek z cegły o dużych rozmiarach. Jest już pokryty dachem, brak tylko okien i wyposażenia wewnętrznego. Projektował go sam ksiądz a wykonali w dużej mierze ochotnicy z parafii. Będzie tam biblioteka, sale do imprez wszelkiego rodzaju, pomieszczenia szkolne i pokoje hotelowe. Jest to imponujące osiągnięcie, zważywszy na absolutny brak środków ludzi, którzy przystąpili do realizacji tego ambitnego projektu. Subwencje Wspólnoty Polskiej są podobno niewielkie. Myślę sobie, że zamożne skupiska polskie na Zachodzie nigdy by się na coś takiego nie zdobyły.

Ambasador prowadzi nas z kolei na spacer po centrum Stanisławowa, który ma dziś 300.000 mieszkańców. Miasto robi zdumiewająco dobre wrażenie. Rozległy spacernik, sporo drzew na ulicach, wiele odrestaurowanych kamienic, stosunkowo czysto, mimo że od dawna nie było deszczu i łatwo się kurzy. Zwiedzamy wystawę sztuki religijnej w Kolegiacie, dawnej katedrze łacińskiej. Jest w świetnym stanie i kościół chce ją odzyskać. W pobliskiej cerkwi unickiej ogromny tłum na nabożeństwie, które jest nadawane przez głośniki dla wiernych sfoczonych także wokół głównego wejścia. Ratusz stanisławowski, arcydzieło architektury lat trzydziestych, stoi nietknięty.

Wracając na północ, zatrzymujemy się na wzgórzu zamkowym w Haliczu. Zamek w ruinie, ale dokładnie tak samo wygląda jak na sztychu Napoleona Ordy sprzed stu kilkudziesięciu lat. Piękny stąd widok na dolinę Dniestru. Na wysokim południowym brzegu widać wzgórze, na którym stał klasztor OO. Franciszkanów pod wezwaniem Św. Stanisława. Ciekaw jestem co się stało z budynkami klasztorowymi. Niestety nie będzie czasu na zwiedzanie. W samym Haliczu nic się nie zmieniło poza tym, że jest nowy most na Dniestrze (stary, metalowy, nadal istnieje ale jest widocznie osłabiony, bo służy tylko rowerzystom i pieszym). Rynek, gdzie dawniej panował ruch, jest pustawy. Nowych domów jak na lekarstwo. Dumny Halicz, niegdyś stolica księstwa, miasto które

dało swą nazwę Galicji, skostniał w swym upadku i najwyraźniej został na uboczu.

W Haliczu po raz kolejny spotykamy się z przykrym zjawiskiem zdewastowanego cmentarza. Na wzgórzu, zaraz koło zamku, był kiedyś ładny mały cmentarz wśród drzew z widokiem na dolinę Dniestru. Dziś można odnaleźć tylko parę nagrobków, zbyt ciężkich by można je było wywieźć dla celów budowlanych. Napisy na nich całkowicie zatarte. Komu mogło na tym zależeć, zwłaszcza, że teren zniszczonego cmentarza nie został wykorzystany do jakiegokolwiek innego celu?

Do Bołszowiec jedzie się kilka kilometrów na północ od Halicza główną szosą, wzdłuż linii kolejowej na Lwów. Pierwsza niespodzianka czeka nas przy skręceniu z głównej szosy na prawo przez tory. Nie ma już mianowicie stacji Słobódka Bołszowiecka, gdzie wsiadało się do pociągu do Lwowa. Złośliwi znajomi wmawiali nam w tych czasach, że – tak na prawdę – to nasza stacja nazywa się Słoboda Bolszewicka. Pamiętam ją tak dobrze, bo mój Ojciec, kiedy był przed wojną posłem na Sejm, mógł prosić telefonicznie o nadprogramowe zatrzymanie się w Słobódce pociągu pośpiesznego do Warszawy, z przesiadką we Lwowie. Ogromnie mi to imponowało.

Znikł bez śladu duży gmach zwany Sokołem, w którym odbywały się różne imprezy, między innymi wiejskie zabawy i potańcówki. Może się po prostu rozsypał, bo pamiętam, że był w złym stanie. Zaraz potem ten sam most żelazny na Gniłej Lipie, który najwyraźniej przetrwał parokrotne przesuwanie się frontów wojennych. Po prawej, na wzgórku, widnieje już sylwetka barokowego kościoła OO. Karmelitów.

Sto metrów dalej czeka mnie prawdziwy szok. Od mostu wjeżdżało się do Bołszowiec prosto na rynek. Był to rozległy, kwadratowy plac z architektonicznie całkiem poprawnym, symetrycznym ratuszem po środku. A tymczasem nasz samochód wjeżdża do lasu z kilkoma szerokimi ścieżkami, przez które mogą się przecisnąć pojazdy kołowe. Rozglądam się, zastanawiam się, co się stało? Rozpoznanie idzie łatwiej pieszo niż samochodem. Okazuje się, że ratusz jeszcze jest, tyle że całkowicie schowany w drzewach. Urósł nawet, bo z jednej strony przybudowano mu skromny urząd pocztowy.

Przy drodze do kościoła stoi nadal dom Doktora Eigenfelda, naprzeciw apteka Mücka, dalej piekarnia, zakład szewca Bodnara i tak dalej. Tyle, że ludzi tych i sklepów już nie ma, zostały tylko budynki. Po drugiej stronie nie ma śladu licznych sklepików żydowskich. W tym momencie zrozumiałem co się stało. Niemcy wymordowali Żydów a komuna upaństwowiła handel. Z ożywionego rynku, pełnego sklepików i straganów pozostał opustoszały plac, na którym dziko wyrosły drzewa. Pociągnęło to za sobą utratę statusu: przed wojną, jeszcze od czasów pierwszej Rzeczypospolitej, Bołszowce miały prawa miejskie. Dziś są już tylko wsią w „rejonie” halickim.

Z rynku skręcamy na lewo, by wyjechać pod górę do „Pałacu”. Tak nazywano potocznie w miasteczku okazały dwór wybudowany w 1927 r. przez mojego ojca by zastąpić wcześniejszy zameczek, niemal doszczętnie zniszczony w czasie pierwszej wojny światowej. Przy wjeździe na teren parku od rynku stała swego czasu „Brama”, mocno podniszczony budynek z cegły, obramowujący wrota z kutego żelaza. Mieszkał tam „Jan na Bramie”, którego główną funkcją było kontrolowanie przyjezdnych i otwieranie im bramy. Stary Jan był dla nas postacią owianą legendą, mówiono nam bowiem, że ma 88 lat, co dla dzieci stanowi liczbę całkiem niebotyczną. Gdy dziś o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że musiał się urodzić w okresie Wiosny Ludów.

Za Bramą jechało się pod górę lekkim łukiem na prawo bitą drogą, którą moja Babka wysadziła po obu stronach szpalerami róż. Dziś tego wjazdu już nie ma, jest tylko dróżka, zmieniająca się w ścieżkę w dość gęstym gaju, którego dawniej nie było. Mimo tego gąszczu od razu widzę, że nasz dom stoi. Stoi i właściwie wcale się nie zmienił. Jest tylko gęsto obrośnięty ze wszech stron drzewami samosiejkami, niezbyt zresztą leciwymi. Od strony palladyjskiej fasady północnej był kiedyś duży okrągły gazon z pojedynczym drzewem po środku. Objężdżało się ten gazon powozem czy samochodem, by zajechać pod kolumny frontonu jednopiętrowego z tej strony budynku. Ponieważ budynek był na stoku, miał od strony południowej wysokość dwu pięter, głównym zaś elementem architektonicznym był duży taras, obramowany schodami kaskadującymi w dół ku basenowi ze

złotymi rybkami. Tę koncepcję kontynuowała niejako seria gazonów opadających schodami ku linii drzew, stanowiących granicę posesji. W nowym stanie rzeczy tych perspektyw na nasz dom już nie ma, co tłumaczy dlaczego był z daleka niewidoczny. Z tarasu było kiedyś widać dolinę Dniestru, dziś to wszystko się zmieniło, ma się dosłownie przed nosem zieloną ścianę.

Nasz dom jest dziś szpitalem rejonowym na kilkadziesiąt łózek. Ale zapewne dzięki temu stoi i właściwie nic się na zewnątrz nie zmienił. Nie jest wprawdzie nieskazitelnie biały jak dawniej, ale czego się tu spodziewać po przeszło pół wieku. Zauważam tylko bardzo drobne zmiany. Z tympanonu nad fasadą północną usunięto herby moich rodziców. Pod kolumny nie można już zajeżdzać bo zrobiono tam peron na wysokość dwu stopni. Wybudowano też jakieś boczne drzwi wejściowe, których dawniej nie było.

Proszę o dyrektora szpitala. Zjawia się dość prędko szcuple, nieduży mężczyzna w średnim wieku i w białym kitlu. Gdy dowiaduje się kim jestem, oświadcza z miejsca elegancko: „Bardzo jesteśmy wdzięczni Panu Krzeczunowiczowi za wybudowanie nam tak pięknego szpitala”. Bez ceregieli oprowadza mnie po swoim zakładzie. Zmiany wewnętrzne są znaczne. Hol wejściowy miał kiedyś wysokość dwu pięter i był wyłożony boazeriami, schody prowadziły zaś do galerii, która obiegała całe pomieszczenie. Dziś podzielono to wszystko poziomo by zyskać dodatkowy duży pokój na wysokości pierwszego piętra. Po boazeriach nie ma śladu, nie mówiąc rzecz jasna o meblach i portretach rodzinnych. Ściany są wytynkowane na biało, a na jednej z nich widnieje wielki fresk w stylu socjalrealistyczno-cerkiewnym. Musi być nowy bo figuruje tam kilka świętych postaci. Reszta domu przebudowana na potrzeby szpitala. Większe pokoje otrzymały przepierzenia, wszędzie stoją łóżka, raczej stłoczone, w salonie jest sala operacyjna, urządzenia rentgenowskie są pod tarasem w dawnej spiżarni (w tych czasach spiżarnie były ogromne, bo wszystko konserwowano na długie miesiące zimowe). Kuchnia i pralnia są tam gdzie dawniej, tylko wyposażenie wydaje mi się dużo skromniejsze niż 60 lat temu. Wejście kuchenne dubluje jako zajazd dla ambulansów.

Podchodzi do nas jedna z pielęgniarek. Mówi dobrze po polsku, była w Polsce na praktyce. Proponuję jej by była moją tłumaczką i byśmy podeszli paręset metrów by zobaczyć czy jest Iwaś Balita, przyjaciel z lat dzieciennych. Nie żyje – pada odpowiedź. A jego żona Nastusia? Też nie żyje, ale ich syn mieszka opodal cerkwi. Wychodząc w tym kierunku drogą, która jest teraz głównym dojazdem do szpitala, widzę że dawny ogród warzywny, tak pieczołowicie prowadzony przez moją Babkę (sprowadzała nasiona egzotycznych jak na te strony jarzyn ze znanej firmy ogrodniczej w Stuttgarcie) zamienił się w haszcze. Z boku stoi jednopiętrowy budynek, schludny ale niewielki i nieciekawy. Dowiaduję się, że jest to poliklinika.

W cerkwi idzie pełną parą nabożeństwo. Jeszcze jak byliśmy w szpitalu słychać było z tej strony pienia i modlitwy nadawane przez głośniki dla wiernych, którzy się we wnętrzu nie zmieścili. Jest trzecia po południu a nabożeństwo zaczęło się o jedenastej. Ulica przed cerkwią zatłoczona, przede wszystkim straganami, na których – korzystając z przyływu wiernych – sprzedaje się wszelkiego rodzaju tandetę: ciuchy, kiczowate święte obrazki, nagrania kasetowe itp. Przypomina to trochę dawne odpusty.

Dom Mykoły Bality jest prawie naprzeciw cerkwi, jednopiętrowy, czysty, wytynkowany i pomalowany na różowo. Otwiera niski mężczyzna w średnim wieku, gdy dowiaduje się kto przyszedł, zaprasza bez wahania do środka. Jeszcze wymieniamy wstępne uprzejmości, kiedy otwierają się drzwi od pokoju obok i wychyla się kobieta by zobaczyć, kto przyszedł. Jest w koszuli nocnej, ale wystarczająco długo stoi w drzwiach by zasięgnąć języka. Gdy wiadomość do niej dociera, woła tylko „O Boże” i znika. Po chwili wraca już ubrana. Siedzimy w przyjemnym saloniku i wypytyuję ich o rodziców i innych znajomych. W kącie stoi pianino, należy do córki, która studiuje muzykę. Po chwili z głębi jakiejś dolnej szuflady wyciągają zdjęcia moich rodziców. Są to zdjęcia już powojenne, więc domyślałam się skąd się tu wzięły. Swego czasu Iwaś Balita napisał do mego Ojca do Londynu (adres dostał od Bołszowieczan, którzy po wojnie przesiedlili się do Polski), by prosić o zaświadczenie, że przed wojną u niego pracował. Było to mianowicie niezbędne dla otrzymania

nia odpowiednio obliczonej emerytury od państwa sowieckiego! Mój Ojciec pożądanym dokumentem wystawił, dał notarialnie zatwierdzić i wysłał wraz ze zdjęciami, paczką żywnościową itd. (były to lata sześćdziesiąte). Słyszałem, że wkrótce posypało się sporo takich prośb.

Gdy wychodzimy po długiej, serdecznej rozmowie, w cerkwi wciąż trwa nabożeństwo. Mykoła mi wyjaśnia, że to „Święto Szkaplerzy”, wielki dzień w roku liturgicznym Cerkwi Unickiej. Na pożegnanie woła z góry syna i córkę byśmy mogli wszyscy razem pozować do zdjęcia. W drodze ku kościołowi OO. Karmelitów widzę na uboczu przed rynkiem budynek gdzie dawniej stała synagoga. Trudno powiedzieć, czy to ten sam budynek.

Karmelici mieli w Bołszowcach klasztor, założony na początku siedemnastego wieku. W kościele barokowym, mieścił się cudowny obraz Matki Boskiej Bołszowickiej. Według legendy został on znaleziony w nurtach Dniestru w czasie wojen tatarskich i bodajże późniejszy hetman wielki koronny, Stanisław Jabłonowski, powierzył go Karmelitom. Klasztor uległ częściowemu zniszczeniu w czasie pierwszej wojny światowej, ale za moich lat dzieciennych mieszkali tam jeszcze: ks. przeor Stefan Brniak i drugi Karmelita, którego nazwiska nie pamiętam. Potocznie mówiono o nim Książd Katecheta, bo uczył religii w miejscowym gimnazjum. Kościół natomiast był w dobrym stanie i normalnie czynny. Widok, który się dzisiaj tam roztacza jest przygnębiający. Klasztor jest w doszczętej ruinie, kościół zdewastowany z wyjątkiem dachu, który najwyraźniej niedawno położono, by zabezpieczyć choćby mury, mały cmentarz na wzgórku klasztornym także zdewastowany. Cudowny obraz jest dziś w Oliwie.

Wyjeżdżając z Bołszowiec widzę, że folwark został rozbudowany. Nie ma czasu stwierdzić czemu służą nowe budynki. Dawniej były tu stajnie, obory, młyn i elektrownia zasilająca gospodarstwa i miasteczka – wszystko wybudowane przez mojego Ojca. Dzisiaj jest to chyba centrala lokalnego kołchozu, względnie sowchozu. Dalej, ciągnące się przez kilka kilometrów, założone przez mojego Ojca stawy rybne. Jest ich dobry tuzin i we wszystkich stoi woda, natomiast groble są okropnie zarośnięte. Ciekaw jestem czy jest tu jeszcze hodowla. Mój Ojciec miał własną cysternę na bocznicę

kolejowej doprowadzonej do stawów i regularnie wysyłał ryby, głównie karpie i szczupaki, do Lwowa. Brak mi też kół wodnych, swego rodzaju „perpetuum mobile”, które z warko płynącej młynówki, odnogi rzeczki Narajówka, podnosiły wodę do nieco wyżej położonych stawów.

Droga na Sarnki, gdzie mieszkał mój stryj, jest w fatalnym stanie, chyba gorszym niż przed wojną. Mijane po kolei wioski Kunaszów, Żolibory oraz Sarnki Dolne, Średnie i Górne robią nędną wrazenie. Dworu w Sarnkach (dużej, wiktoriańskiej budowli z okrągłą wieżą) nie możemy znaleźć i nikt nie jest w stanie nam wskazać drogi. Prawdopodobnie podzielił los pałacu Jabłonowskich w Bursztynie. To zacieranie śladów wraz z dewastacją cmentarzy, to najsmutniejsze moje obserwacje z tej podróży. Zjawiska te należy zapewne przypisać ekscesom wczesnych lat władzy sowieckiej, bo miejscowa ludność wydaje się bardzo życzliwa.

Wieczorem jesteśmy z powrotem we Lwowie na mszy w Bazylice pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP, zwanej także Katedrą Łacińską. Wokół niej skupia się dzisiaj życie Polonii lwowskiej. Mszę odprawia syn tej ziemi, biskup koadjutor Marcyan Trofimiak (arcybiskup Jaworski leczy się w Polsce), człowiek w średnim wieku o pięknym głosie, tryskający energią. Po mszy biskup oprowadza nas po pięknej katedrze, zawierającej mnóstwo pamiątek historycznych, utrzymanej w bardzo dobrym stanie. Opowiada nam o problemach z reaktywowaniem kościołów i parafii. Władze ukraińskie są na ogół gotowe do współpracy, ale prawie zawsze kończy się na obietnicach. Trudny do przełamania jest opór miejscowych kacyków, którzy z doskonałą ciągłością przetrwali od czasów sowieckich. Tam gdzie ich zdaniem nie ma Polaków (czytaj: katolików), wierni często mnożą się w sposób cudowny z chwilą wznowienia działalności parafii czy kościoła. Wydaje się, że spora część to Ukraińcy, którzy nie dają sobie rady z chronicznymi konfliktami między czterema Cerkwiami czynnymi na Ukrainie (unicka i trzy prawosławne: moskiewska, autokefaliczna ukraińska obediencji moskiewskiej oraz autokefaliczna kijowska).

Wieczorem jesteśmy na kolacji w Grand Hotelu na Prospekcie Swobody (Wały Hetmańskie), zaproszeni przez Tomasza Potockiego, przedstawiciela fundacji amerykańskiej,

który stara się rozkręcić drobne i średnie przedsiębiorstwa na Ukrainie a przy okazji bada ślady dawnej świetności swej rodziny. Grand jest elegancki, dobrze odrestaurowany, kuchnia na średnim poziomie europejskim. Z jadłospisu wnioskuję, że można tu dobrze zjeść za kilka dolarów.

17.07.1995.

Po śniadaniu idziemy z wizytą do Mykoły Horynia, przewodniczącego lwowskiej Rady Obwodowej, swego rodzaju wojewody, ale wybranego a nie mianowanego. Mówi się do niego „Panie Hołowa”. Jest to jeden z liderów opozycyjnego „Ruchu”, wpływowego tylko na zachodniej Ukrainie. On i jego bracia, Michał i Bohdan, wielokrotnie byli więzieni jako dysydenci za czasów sowieckich. Jeden z nich przesiedział w Gułagu 16 lat. Rozmowa z Ambasadorem jest bardzo przyjazna. Dotyczy różnych bieżących problemów, np. kwestii uzyskania odpowiedniej rezydencji dla arcybiskupa Jaworskiego. Wychodząc spotykamy Iwana Hela, innego czołowego dysydenta z czasów sowieckich. Nie ma dziś żadnego urzędowego stanowiska, ale uchodzi za autorytet moralny opozycji. Cieszy go wiadomość, że kiedyś pracowałem w Wolnej Europie, bo był słuchaczem także programu polskiego.

Kolejna wizyta prowadzi do Konsulatu Generalnego RP. Konsul Leoniuk opowiada o różnych problemach bieżących, np. o sprawie wmurowania tablicy dla upamiętnienia śmierci kilkunastu Polaków zabitych w nalocie niemieckim na dworzec w Buczałach we wrześniu 1939 r. Instancje ukraińskie nawzajem spychają na siebie odpowiedzialność a skutkiem tego zamętu kompetencyjnego jest, że nic się konkretnie nie dzieje poza niekończącą się wymianą korespondencji. Albo o sprawie odzyskania kościoła Świętej Elżbiety w pobliżu dworca głównego we Lwowie. Wszystko było już właściwie załatwione kiedy władze nagle cofnęły pozwolenie i ogłosiły, że kościół otrzyma cerkiew unicka. W cerkwi jednakże wyłoniły się natychmiast silne opory, bo jest to świątynia neogotycka ze strzelistymi wieżami, a takiej cerkwi nigdzie na świecie nie ma.

Krążymy znów po księgarniach koło placu Mickiewicza. Kupuję parę map i album pamiątkowy o Lwowie z pięknymi

zdjęciami, podobno pierwszy, który stroni od propagandy typu sowieckiego. Ale swoista ekwilibrystyka nadal obowiązuje. Publikacje krajoznawcze nie wspominają o polskości większości zabytków, zaś cmentarz Łyczakowski w ogóle nie figuruje w przewodnikach jako zabytek.

Po południu jedziemy do Ali na przedmieście Kulparkowskie, by opowiedzieć o naszych wyprawach na prowincję. Ale ze swojej strony mówi o własnych zainteresowaniach i sprawach lokalnych. Np. koresponduje z Polakami w Ułan Ude, Irkucku, Kazachstanie. Niektórzy z nich nie znają już języka polskiego, ale widzą w tej więzi z odległym krajem przodków jakieś okno na szeroki świat. Opowiada też o szerzącej się we Lwowie i na Ukrainie mafii, która nie cofa się przed najbardziej brutalnymi metodami, by osiągnąć swe cele. Ze śmiechem relacjonuje pobyt rok wcześniej paru polityków polskich z ZChN i KPN, którzy namawiali miejscowych Polaków do inicjatyw gospodarczych. Sugerowali między innymi wywieszanie szyldów z nazwami firm, nie zdając sobie sprawy, że równałoby się to z zaproszeniem mafii do złożenia wizyty.

Wieczorem do restauracji gruzińskiej w podziemiu niedaleko hotelu Dniestr. Jedzenie niedrogie i nie najgorsze, ale francuski smakosz dostałby tu zapewne niestrawności. Po surówce, zupie, daniu mięsnym proponuje się klientowi na deser herbatę, do jedzenia natomiast podaje się na zmianę albo razem piwo, białe i czerwone wino, soki i wodę mineralną.

18.07.1995.

Jedziemy rano do Jaryczowa, położonego mniej więcej 20 kilometrów na wschód od Lwowa. Miał tu majątek, przede wszystkim leśny, brat stryjeczny mego Ojca, Leon, w czasie wojny współzałożyciel konspiracyjnej sieci ziemian w łonie AK, zwanej „Uprawa”. Aresztowany przez krakowskie Gestapo w 1944 r., był więziony w Gross Rosen i zginął w obozie Dora w Turynii. Jego bohaterską sylwetkę uwiecznił Michał Żółtowski w książce „Tarcza Rolanda”, która, po wydaniu podziemnym, doczekała się niedawno drugiego wydania w normalnym obiegu.

Leon był pasjonatem koni i znanym hodowcą. Mój

towarzysz Dominik bywał tu często za młodu, by uczyć się jazdy albo polować. Z własnego doświadczenia i z podziwem opowiada o żelaznej dyscyplinie Leona, którego dzień pracy przy koniach zaczynał się o godzinie 5-ej rano i który strocił raczej od wesołego życia towarzyskiego pobliskiego Lwowa.

Dwór, znacznie mniejszy od bołszowickiego, jest podobnie jak tamten „rejonną likanią” czyli szpitalem rejonowym. Obchodzimy budynki i dość szybko natrafiamy na dyrektora i jego asystentkę. Nazwisko byłego właściciela nic im nie mówi, są oboje stosunkowo młodzi. Wszystkie budynki pomalowane są na kolor morelowy, którego nie pamiętam z przedwojennych zdjęć. Wokół – według Dominika – wszystko pozostało bez zmian z wyjątkiem gęstsze niż dawniej zadrzewienia i kilku nowych domków, które pojawiły się przy pobliskiej szosie. Cały zachodni horyzont zajmuje głuchy las. W okolicy Leon słynął jako człowiek prawy i sprawiedliwy, do tego stopnia, że żydowska gmina Jaryczowa wybrała go swym przewodniczącym, ponieważ jedyny potrafił pogodzić skłócone frakcje i klany. W drugiej Rzeczypospolitej był to przypadek całkiem niebywały.

Wracamy do Lwowa i wznawiamy zwiedzanie miasta. Pierwszy etap to Ossolineum, dziś Biblioteka Narodowa Ukrainkiej Akademii Nauk im. Stefanyka. Przed głównym wejściem pomnik tegoż Stefanyka. Zastąpił on pomnik założyciela instytucji, Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, tak jak ul. Stefanyka zastąpiła dawniejszą ul. Ossolińskich. Dominik, który za młodu korzystał tu z pokoi gościnnych, objaśnia nam rozkład całej instytucji. Budynek, wzniesiony ponad półtora wieku temu na ruinach klasztoru przez inżyniera Józefa Bema, późniejszego generała (mało kto o tym wie), jest w dobrym stanie, fasady czysto wymalowane. Dawne zbiory polskie są niestety rozbite. Część znajduje się w Ossolineum we Wrocławiu a część, podobno większa, zmagazynowana jest byle jak w kościele Jezuitów opodal Rynku. Dach tego kościoła przez długie lata zaciekał ze skutkami dla księgozbiorów, które można sobie wyobrazić. Traf chciał, że władze sowieckie postanowiły przechować tam pomnik jakiegoś swojego bohatera. Szybko spostrzeżono się, że bohaterowi kapie na nos i odrestaurowano dach. W ten

sposób sowiecki gieroj przyczynił się bezwiednie do uratowania, przynajmniej częściowo, zbiorów Ossolineum. Teraz warto zabiegać o ich przewiezienie do Polski, która może im zapewnić lepsze warunki. Dyrektor wrocławskiego Ossolineum, Juzwenko, mówił mi już parę lat temu, że rozmowy w tej sprawie są w toku i że rząd RP byłby gotów odwdziżyć się przekazując Ukraińcom archiwum Tarasa Szewczenki. Najwyraźniej bezwład biurokratyczny jest wciąż silniejszy od wpływów ludzi dobrej woli.

W drodze na Wysoki Zamek zatrzymujemy się przed pałacem Dzieduszyckich na ul. Kurkowej (dziś Łysenki). Został zamieniony na koszary jakiejś formacji wojskowej czy milicyjnej, przy czym w otaczającym gmach parku wybudowano obrzydliwe bloki betonowe. Wstrzymujemy się od robienia zdjęć, bo zapewne nawet aspekt zewnętrzny stanowi tajemnicę państwową a mundurowi wszędzie się kręcą.

Na Wysoki Zamek nie można już wyjechać tramwajem, który kiedyś gramolił się pod szczyt góry. Schody prowadzące do panoramicznego punktu widokowego są w opłakanym, miejscami wręcz niebezpiecznym stanie. Za to widok z góry wynagradza trudy wspinaczki. *Toutes proportions gardées* przypomina to trochę widok na Florencję z Piazzale Michelangelo. Wszędzie wieże kościelne, zielone od patyny kopuły, dachy pałaców lub wielkich gmachów publicznych. Wieża ratusza przypomina nawet włoskie campanile. Wokół, jak pierścień zieleni, zalesione wzgórza. I dopiero stąd widać jakie nieszczęście ominęło Lwów: morze ohydnych betonowych bloków mieszkalnych zaczyna się dopiero za tymi wzgórzami, wewnątrz zaś pierścienia tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Patrząc na wschód wzdłuż skarpy, której punktem szczytowym jest Wysoki Zamek, widać smutne resztki Kopca Unii Lubelskiej, usypanego na trzechsetlecie Unii z Litwą. Brak utrzymania i deszcze sprawiły, że w wielu miejscach nawierzchnia kopca jest zmyta wraz z trawą, przez co całość powoli zamienia się w wydmy piaszczystą, niezbyt na miejscu w tym otoczeniu.

Po południu ostatni wielki etap zwiedzania: cmentarz Łyczakowski, typowy dziewiętnastowieczny cmentarz „kraj-obrazowy”, dla Polaków nekropolia najwyższej klasy historycznej. Stan cmentarza nie jest zadowalający, bo

Ukraińcy nie uważają tego miejsca za zabytek, co nieco dziwi zważywszy wielką ilość grobowców unickich, niektórych bardzo pięknych.

Nasz grobowiec rodzinny, będący zarazem największą kaplicą na całym cmentarzu, znajduje się zaraz przy rondzie wejściowym. Niestety nie mogę się dostać do wnętrza. Dyrekcja odmawia wydania kluczy twierdząc, że wewnątrz jest bałagan i nie należy tego fotografować. Krótkie oględziny przez szparę w drzwiach wykazują, iż „nieporządek” polega na tym, że groby zostały rozwalone, zapewne przez rabusiów szukających „skarbów”, i że kaplica jest teraz używana jako skład narzędzi.

Dewastacja grobów to rzecz nagminna na cmentarzu Łyczakowskim. Taki sam los spotkał właściwie wszystkie kaplice i wiele pojedynczych grobów. Barbarzyństwo sowieckie nie znało granic. Pokazano nam parę małych grobowców, które upodobali sobie dygnitarze lub oficerowie sowieccy, kazali szczątki nieboszczyków wyrzucić na śmieci i siebie na ich miejsce pochować. Z tych samych rąk ucierpiał cmentarz Orląt. Około 1970 r. zburzono czołgami część monumentalnej kolumnady i zamieniono katakumby na skład kamieniarski. Pozostał natomiast łuk z napisem *Mortui sunt ut liberi vivamus* („Polegli, byśmy mogli żyć wolni”), rozpoczęły się także prace konserwatorskie, postępujące jednak bardzo wolno ze względu na brak funduszy. Spotykamy przedstawiciela miejscowej Polonii, który sprzedaje nam kilka „cegiefek” na odbudowę cmentarza.

Zaraz za kwaterą Orląt cmentarz przecina stosunkowo nowa szosa. W duchu współczesnego wandalizmu po prostu pociągnięto tam kiedyś pod sznur trasę spycharkami, nalano asfalt i teraz ciężarówki dudnią tam i z powrotem po głowach nieboszczyków, których maszyny nie wykopały. Najgorzej powiodło się Strzelcom Siczowym, których kwatera znajdowała się zaraz obok cmentarza Orląt. Pewnego dnia zjawily się tu sowieckie spycharki i wszystko wymiotły do pobliskiego parowu. Dla Moskwy, ukraiński ruch niepodległościowy był zawsze niebezpieczeństwem numer jeden.

Przy tym okropnym zdziczeniu obyczajów od czasu do czasu pojawia się iskra nadziei. Cmentarz jest pełen zwiedzających, samotnych lub w grupach z przewodnikami.

Są to przede wszystkim Ukraińcy, ale słycać też dość często język polski. Na grobach naszych świętości, Konopnickiej, Zapolskiej, Goszczyńskiego, Grottgera i innych, świeże kwiaty. Przyjeżdża sporo wycieczek z Polski, a przy ogromnej dysproporcji cen i zarobków należy się liczyć ze zwiększeniem ruchu turystycznego. Bezpieczeństwo jest podobno nadal problemem, chociaż według zasłyszanych relacji, napadów jest stosunkowo mało.

Odlatujemy do Warszawy z lotniska na Skniłowie. Budynki wyglądają na przedwojenne, wewnątrz ścisk, prawie nieistniejąca sygnalizacja i rozliczne kontrole. Niebawem pod nami wielkie pola kołchozowe zamieniają się na typową polską szachownicę poletek, widać więcej wsi i zabudowań.

Jakie wrażenia z tej podróży? Cieszy mnie, że studiowałem kiedyś historię, bo niezwykle pożyteczna wydaje się w tej właśnie chwili nie tylko jej znajomość, ale przede wszystkim wnioski jakie nasuwa. Nie mogę się wprowadzić oprócz nostalgii za zasłyszonym z opowiadań światem moich przodków i wspomnieniom własnych lat dzieciennych, ale przecież wielokrotnie ważniejsza wydaje się przyszłość. We Lwowie i Bołszowcach kamienie mówią do mnie po polsku, ale utrzymują je – na ogół niezłe – Ukraińcy. Oni zaś, którym własna państwowość wymykała się przez tyle stuleci, potrzebują jeszcze trochę czasu, by oswoić się ze świadomością, że Kijów zbudował wprowadzić geniusz Rusi, Lwów natomiast geniusz Rzeczypospolitej, tak jak u nas przyznaje się już bez trudu, że zabytki Śląska i Pomorza wybudowali Niemcy, którym dostęp do ich własnej spuścizny kulturowej jest teraz otwarty. Tędy więc droga ku przyszłości.

Jakże udany przebieg tej podróży zawdzięczamy przede wszystkim ambasadorowi Jerzemu Kozakiewiczowi, który opuścił już placówkę w Kijowie. Należy mieć nadzieję, że ogromna wiedza, jaką dysponuje po kilku latach spędzonych na Ukrainie będzie źródłem wielu publikacji po jego powrocie do PAN, a zwłaszcza, że zaowocuje jego wielki wkład pracy na rzecz dobrosąsiedzkich stosunków polsko-ukraińskich.

Andrzej KRZECZUNOWICZ



## Wiersze

Adam CZERNIAWSKI

### HISTORIA LUDZKOŚCI

Ludzie twierdzą świat nie ma początku ni końca  
sądzą kosmos zrodził się z eksplozji  
wierzą że przypadnie w otchłani bezdennej  
modlą się do boga-stwórcy boga-zbawiciela  
gotują się do wojny

a poeta opisuje  
*quale solet silvis brumali frigore viscum  
fronde vivere nova, quod non sua seminat arbos,  
et croceo fetu teretis circumdare truncos:  
talis erat species auri frondentis opaca  
ilice, sic leni crepitabat brattea vento.  
corripit Aeneas extemplo.*

Władcy proklamują się bogami  
święci wymierają  
idole zmartwychwstają  
kapłani składają się w ofierze  
poeta wspomina  
*Beatrice, dolce guida e cara, mi disse:*

»Noi semo usciti  
al ciel, ch'è pura luce;  
luce intellettuale piena d'amore,  
amor di vero ben pien di letizia».  
*E vidi lume in forma di riviera  
fulvido di fulgore, intra due rive  
dipinte di mirabil primavera.*

Pustynia wypiera zielenią  
deszcz zmywa krew  
huragan wyrывa topole i klony  
kruszy tafle jezior  
chmury osłaniają słońce  
poeta ujawnia  
*Présente, je vous suis, absente, je vous trouve;  
Dans le fond des forêts votre image me suit;  
La lumière du jour, les ombres de la nuit,  
Tout tracé à mes yeux les charmes que j'évite.*

Turcy różną wyznawców Chrystusa  
wyznawcy męczą heretyków  
Żydzi uciekają do ziemi obiecanej  
Locke ucieka z Anglii  
Voltaire z Francji  
Kartezjusz chroni się w Lejdzie  
Spinoza odmawia katedry w Heidelbergu  
poeta zapewnia  
*He lands us on a grassy Stage;  
Safe from the Storms and Prelat's rage.  
He hangs in shades the Orange bright,  
Like golden Lamps in a green Night.*

Zastępy aniołów zastępują kwarki  
Ptolemeusz zastępuje Anaksymandra  
Einstein zastępuje Newtona  
Hitler zastępuje Einsteina  
występuje poeta  
*Dear dead women, with such hair too – what's  
become of all the gold  
Used to hang and brush their bosoms? I feel chilly and  
grown old.*

Mężczyzna zdradza kobietę  
kobieta kocha syna  
syn gwałci dziewczynę  
*Akteon błędnie, blaskiem uderzony  
Nie cofa psiarni trąb hałas;*

*Hyperborejski las drży przerażony,  
Jak wiotki trzęsąc się szalas.*

Jan woła na puszczy  
Luter nasłuchuje  
Stalin przesłuchuje tocatę na skrzypce i fortepian  
poeta donosi

*Und als plötzlich jäh  
der Gott sie anhielt und mit Schmerz im Ausruf  
die Worte sprach: 'Er hat sich umgewendet' –,  
begriff sie nichts und sagte leise: 'Wer?'.*

Języki ognia budzą pragnienie  
Jeżeli czegoś brak mi, to obrazów,  
twarzy patrzących rozumnie, choćby i pośmiertnie,  
błękitnych zamgleń włoskich krajobrazów,  
i form rozbitych, by jaśniały wnętrzem –  
bo zdarza się, że forma pęka pięknie.

\*

Gdy z kłębu dźwięków wybuchną wreszcie sylaby i słowa,  
Trzeba je spłukać, przebadać,  
W strofy nagiąć i zdania,  
Dodać połysku metafor i rymów,  
Rozruszać abstrakcje, melodyjność  
Frazem zapewnić, wątkom spójność,  
Nade wszystko moralną konieczność.

*The Mind creates, transcending these,  
Far other Worlds and other Seas:*

Głębie miłości, piękna, fantazji i snów,  
Kosmosy świątyń, sądów, tortur i blizn.

1995

Adam CZERNAWSKI

Michał WYSZOMIRSKI

DLA JEAN CAVAILLES'A

Tak więc, drogi Jean, powiedzmy sobie na wstępie całą prawdę: Nie istnieliśmy nigdy pośród przestrzeni nieskończonej, miliardów słońc, kwartylionów galaktyk. Nie urodziliśmy się, ani nie umrzemy. Ani Ty, ani ja, ani nasi przodkowie – piękne kryształy rosnące do światła, małe stworzenia wodne wiosłujące ku podobnym sobie. Nawet oni! – porwani gorącym wiatrem wydarzeń rewolucjoniści, kiedy hucznie, czując oddech Historii za plecami orzekają ścięcie białego z oniemienia króla.

Jeżeli idzie o mnie to podejrzewałem przez lata, że wewnątrz za widmem zdarzeń i rzeczy oraz istot, które pojawiają się i giną – rozpościera się Bóg, tak jak biały ekran w kinie, kiedy kończy się seans i zapala się światło. Teraz myślę, że sprawy wyglądają trochę inaczej, choć szanuję inne sposoby widzenia.

A my tu tymczasem wśród nowych samochodów. Wydarzeń telewizyjnych. Pogrzebów. Rachunków za telefon. Realnych potrzeb ciała i duszy. Na twardej ziemi, gdzie praca, jedzenie, sen, miłość. Parcie pęcherza. Zapach kawy. Choroby, satysfakcje. Pisk opon na zakręcie, i żeby być szczęśliwszym choć trochę...

Przyznaję, że mój bohater był w tym wszystkim na pewno bardziej widmowy. Zbieg z innego programu. Postać z zagranicznego filmu, w obcym języku. Zamknięty, dziki. Zaszczuty. Robiący wszystko na odwrót, arogancki i smutny. choć tutaj w pogodnym kraju Rene Claira nikt się tym nie przejmował. Transport lotniczy i kolejowy dowoził dziesiątki takich jak on. Mówili coś od rzeczy. Wymachiwali rękami. Jedni zakładali emigracyjne pisma, inni ukrywali się na przedmieściach, przyjmując ostrożnie pocztę na *poste restante*.

Pewnie, że można go było odesłać. Przesunąć gdzieś dalej. Wyprawić do Australii. Ale jednak nie.

Ale jednak nie. Potrzebny mu był czas, żeby odtajał. Wewnątrz był człowiekiem takim jak każdy. Synem Ziemi przemieniającej wszystko stale, rodzącej młode kobiety i winorośl.

Dostał to co mu było potrzebne. Trochę życzliwości. Ludzcy tu byli ludzie dla niego. W ludzkim kraju.

W sumie kiedy popatrzeć po czasie – nic wielkiego. Zadowolenie z małych rzeczy. Pokoik na poddaszu. Parę książek, płyty. Maszyna do pisania na której teść wystukał wspomnienia z Oświęcimia. Szacunek do ludzi. Do siebie. Godność. I to, że się żyje w kraju, gdzie kultura jest częścią życia, jak dzień i noc.

Piszę te słowa w Indiach. Jest parny dzień. Nieustępliwie zbliża się pora deszczowa. Wiele czasu spędziłem na medytacji i na modlitwach. Jeszcze kilka dni i trzeba będzie ruszać do domu.

Teraz, kiedy wracam gdzieś z daleka, czasem zdarza mi się, drogi Jean, kiedy samolot schodzi w dół a pod skrzydłami rozwijają się cudne pola w brązach, zgrabnie zaorane – mam przeblysł szczęśliwości. Pokazała mi się w mgnieniu bogini. Jestem u siebie. Francja.

*Michał WYSZOMIRSKI*

## Z ukosa

– „Nie liczcie za bardzo na nas – mówi do mnie młody człowiek – nie mamy właściwie żadnych zasad, żadnego wyraźnego kierunku, nie mamy aż takich motorów napędowych jak myślicie”.

Ten młody człowiek jest moim synem. Wokół grupka takich samych jak on osobników płci obojga, sympatycznych, trochę melancholijnych. A jednak to nowa rasa: witaminy, odżywki, lepsze warunki, to wszystko zrobiło swoje. Zanika typ gębiasty, pszenno-kartoflany. Są wysocy, smukli, otwarci, bezideowi. Wszystko niemal biorą w cudzysłów. Nie wierzą w Boga, nie wierzą w idee, w politykę, ich patriotyzm jest podarty i rachityczny. Ich prawdziwą ojczyzną jest kilkaset utworów rockowych, kilkanaście filmów, język, który naginają do siebie jak zbyt sztywną gałąź. Ale samo słowo ojczyzna zgrzyta w ich uszach jak nóż na patelni. Znają jednak miłość i przyjaźń, kto wie czy nie są to dla nich najważniejsze pojęcia. Czują się wśród nich trochę swojsko i trochę obco, ale bardziej swojsko niż obco. Podziały generacyjne nie budzą ich emocji.

– Idziesz z nami do disco? – pytają.

– Nie mam klimatu na disco – mówię ich językiem – ale nie robię kwasów, spoko...

– Czasami zachowujesz się jak dziecko – mówi do mnie mój syn i głaszcze mnie po siwej czuprynie.

Nie czuję się urażony, raczej rozczulony. Nie wiem właściwie gdzie jestem, czy jestem młody czy stary, jestem gdzieś... nie pomiędzy... a obok, będąc zarazem w środku.

Czy można im oddać w ręce ten kraj, czy oni go w ogóle chcą wziąć w swoje ręce?

To jest młodzież inteligencka, istnieje jednak jeszcze wiele innych środowisk, bo dzisiaj wszystko się pokomplikowało i rozdrobniło. Przepraszam za słowa, tu też jest postmodernizm. Sami o sobie niewiele wiedzą i nie rozumieją się nawzajem. Każda więc generalizacja jest ryzykowna. Ale ci, o których piszę, są ważni. Będą przyszłymi politykami, menadżerami, będą stanowić prawa i tworzyć styl tego kraju, kraju gdzie styl jest nadal wąty i niepewny. Wiedzą o tym. Emanuje z nich pewność siebie, że będą dobrze zarabiać, że będą się w tym kraju liczyć. Potrafią zwrócić w restauracji kotlet, bo jest letni, liczą kelnerom rachunki nakrywając ich na małych oszustwach.

To była najgorsza zima od 30 lat – skarżą się właściciele schronisk i wyciągów narciarskich. Pieroński mróz i brak śniegu. W starym drewnianym schronisku na Skrzycznem czysto i przytulnie, dyskretne znaki nowoczesności i postępu nie spierają się ze starym drewnianym szkieletem. Z głośników cichutko płynie jazz. Ogień w starych piecach płonie za ognioodporną szybą, widać go jak na dłoni, jak wielką kolorową rybę w akwarium.

Moje narciarskie nałogi zostały jednak zaspokojone dzięki armatom śnieżnym i nocnym jazdom w świetle reflektorów. Kolejki były długie ale znośne. Nie odnotowałem ani jednego konfliktu, gdy kiedyś kolejki zasypywały się nieustannymi kłótniami. Jakieś wyszlachetnienie tych kolejek i zaskakująco wiele w nich dobrego nastroju. A przecież ci, co mają naprawdę pieniądze i aurę sukcesu, jadą w Alpy. Czyli krajowi narciarze. Co też zdrowo kosztuje, to już grupa zadowolonych z wolnej Polski. Im będą liczniejsi, tym większa szansa, że sfrustrowani nie przewrócą tego kraju.

Rozmnożyły się lokale gastronomiczne, czynne czasami do ostatniego klienta. Wszystko jednak nieopierzone, są jakieś ślady walki o estetykę wewnątrz ze skutkiem raczej mizernym, a z jedzeniem też jest w kratkę. Jednego dnia potrawa smaczna, a następnego to samo danie jest nie do przełknięcia. Widać właściciele lokali, niektórzy nawet witają i żegnają klientów. Starają się. Gołym okiem widać – jak najszybciej wszystko, co możliwe, winno być w Polsce oddane w prywatne ręce. Prywatne mikrobusy, które dowożą narciarzy do wyciągów są wygodne i niezawodne, autobusy PKS

zawodne, tłoczne, droższe.

Automaty telefoniczne już na karty magnetyczne, ale za mało ich i wiele zepsutych. Tak, tu spartolono 6 lat, to słyszać! I widać włochatą, chytrą łapę państwa z czerwonym pierścieniem.

Ale poza tym sfera usług z każdym rokiem idzie do przodu. Komunizm zniszczył w tej dziedzinie właściwie wszystko. Budujemy nie tyle od początku – w śmietniku złych nawyków. Stąd mimo postępu tak wiele pokraczności.

Kiedy widzę nowy rząd pod wodzą nowego premiera Cimoszewicza, jak siedzi w ławach sejmowych, zalewa mnie wielka gorzka fala niesmaku. Jakbym dopiero teraz zrozumiał co się stało. Właściwie to jest okropne, ich prezydent, ich rząd. A najgorsze, że Kwaśniewski na swojej pierwszej konferencji prasowej jest bardzo sprawny, daje kulturalne, inteligentne odpowiedzi. Słucham tego niemal z ulgą, by łapać się na myśli, że nie wolno mi czuć z tego powodu satysfakcji. To ulga po Wałęsie, po jego niezbornych, urywanych i bełkotliwych wypowiedziach. Teraz dopiero widać jakie to było upokarzające, że polski Prezydent kaleczył nie tylko polski język, kaleczył myślenie. Tu jak na dłoni leży wielka „zastuga” Wałęsy w wykreowaniu Kwaśniewskiego, który tak urósł na tym tle. Jak i co mówi Kwaśniewski nie kojarzy się z językiem dawnego partyjnego aparatu. Jest w tym tylko jakaś podejrzana gładkość. Można by na Kwaśniewskim rozgrywać mistrzostwa świata w jeździe figurowej na lodzie.

Jest gorzko, ale nie tak jak powinno. Czy to działa znieczulenie?

Ale oto nagle patrzę z zapartym tchem jak prezydentowi Kwaśniewskiemu odpada maska wyborcza. Znikają makijaże, sztuczny błękit kontaktowych soczewek, już nie trzyma wagi i nagle przeistacza się w dawnego Oła, młodzieżowego działacza co miał małą pupowatość na obliczu.

Czy jest sens licytować się gdzie jest pogrzebany pies, gdzie największa słabość naszego społeczeństwa?

Kiedy idę do pobliskiego sklepu, przecież w centrum miasta, to wracam do domu z myślą, że największym

problemem tego kraju jest alkoholizm. Co drugi obywatel kupuje tanie wino lub piwo, a jego ciało przypomina odwłok wyjedzony przez robaka.

Kiedy otwieram gazetę czy telewizję, to wydaje mi się, że pijacy zostaną jednak jakoś wessani w organizm społeczeństwa. Dramatem są nałogi naszych polityków.

Kiedy wykonuję jakąś pracę z grupą ludzi, kiedy widzę jak marnujemy czas, pieniądze, jak wszystko jest źle zorganizowane, to myślę: pal sześć polityków, obronilibyśmy się przed nimi, ale jak obronić się przed własnym partactwem?

Postkomuniści mają tylko czerwony korzeń, ich organy górne mają wiele kolorów maskujących ten korzeń. Bardziej wyraźna jest nasza prawica. Wyraźne jest ich popieprzenie. Ich prowincjonalizm, fobie, skrawki nacjonalizmu. Z katolicyzmu biorą wiele, ale nie miłość, rozumienie, czucie i mądrą pokorę. Pyszni katolicy. Są pewni, że Matka Boska była Polką. Nie mogą się ze sobą dogadać, bo cierpią na wzdęcia godnościowe. Ta zresztą przypadłość łączy ich z innymi politykami na naszej scenie politycznej.

I pomyśleć, że ta straszna suma niekompetencji i szaleństwa, że nawet to nie przeszkadza temu krajowi posuwać się do przodu. Milion małych firm, jak milion pszczoł znosi miód do ula, który jednak jest wspólny.

Mit okrągłego stołu, mit nie zrobionej dekomunizacji, braku lustracji. Tak, to wszystko trzeba było zrobić mądrze, taktownie. Ale jak, skoro zabrakło taktu i mądrości. Nie było go i już. Teraz możemy lamentować, jakie to straszne były błędy. Najbardziej lamentują ci, co jak mieli kawałek władzy w rękę, to partolili od A do Z. Patrząc na dawne towarzystwo wielkich admiratorów Lecha Wałęsy. Wielbili go, pisali o nim książki, zakładali mu buty. Teraz mają do niego trzy słowa – podlec, zdrajca, głupiec. A wobec wszystkich inaczej myślących mają tylko pogardę. Postacie żałosne. Jedyne co potrafią, to zatrucie powietrza.

Gorzkim paradoksem jest, że w obecnej kretyńskiej konfiguracji, to właśnie SLD, partia postkomunistyczna, może być najobszerniejszą zaporą przed populistyczną zaściankowością. „Unia Wolności” skurczyła się i zmalała. Bardzo to smutna i żałosna sytuacja dla nas liberałów, którzy chcemy by otwarta, a nie zamknięta głowa, była polską głową.

Wałęsa ma wrócić do pracy w Stoczni. Tyle hałasu wokół tego. Pokazano biedny warsztat, zakurzone narzędzia. Miałby chodzić na szóstą i pracować jak kiedyś. I już odezwały się głosy, że to jednak polityczny geniusz, co za intuicja! Szybko jednak wyschły łzy wzruszenia. Wałęsa został przy polityce. Wstawanie o świcie go przeraziło. Tu go właściwie rozumiem. Nie wstawałbym o 6 rano, nawet za cenę zostania Prezydentem.

Wałęsa zamierza być bardzo aktywny w życiu politycznym. Nie wie, że już jest politycznie martwy. Będzie przynajmniej o co się kłócić na prawicy i w centrum.

Zastrzelono właścicielkę kantoru z sąsiedniego domu, gdzie zwykle wymieniam pieniądze. Nie ma w tym nic dziwnego, takie rzeczy są na porządku dziennym. Zaraz potem ginie w Pruszkowie znany mafiozo „Kiełbasa”, do porachunków używa się karabinów maszynowych. W Gdańsku sześciu pijanych wyrostków wyrzuca z pociągu studenta, który ginie. Po tym zdarzeniu ulicami Gdańska idzie wielotysięczna manifestacja – protest przeciwko mordowi, przeciwko brutalizacji życia w Polsce. Tak samo w Łodzi, po innej zbrodni. Oto nowy, ważny znak naszej codzienności.

Wielki bal pewnego dziennika. Jakże znamienne, że nie przyszli zaproszeni dziennikarze innych dzienników. A przecież pismo nie ma z nimi sporu ideologicznego. Jest niechęć wynikająca z naturalnej konkurencji. Nienaturalne jest, że rodzi to tak duże podziały.

Kobiety, które zapomniały o czasie i obnażają ramiona. Z przerażeniem widzę, że z ich ramion jak ze sznurów do suszenia bielizny zwisają ochłapki mięsa.

Kelnerzy, którzy zbyt często przypominają narządy płciowe, na których ktoś ironicznie zawiązał czarną kokardę. Zespoły śpiewają i grają mieszkankę piosenek i kompozycji z różnych lat, wszystko jest zbiorowiskiem cytatów, czasami żartobliwych. Nawet tutaj, znowu przepraszam, panuje postmodernizm.

Szef dziennika wygłasza niezwykle żarliwą i długą mowę, wije się przy mikrofonie jak kobra. A ja z przerażeniem widzę, że nikt go nie słucha, nikt. Wszyscy rozmawiają, lub jedzą.

Oto Polska właśnie – lubimy gadać, nie potrafimy słuchać.

Podchodzi do mnie K. ostatni rzecznik prezydenta, zadowolony z siebie. Mówi, że pisze książkę o historii prostytucji.

Pytam go, czy skorzystał z własnych doświadczeń?

Nie zrozumiał mnie. Tłumaczy się, że kiedyś w młodości zbierał z kolegami pieniądze, ale nigdy nie korzystał z takich usług.

Wyjaśniam, że miałem na myśli nie „korzystanie z usług”, ale własną pracę w „tej roli” i to całkiem niedawno.

Nic nie powiedział. Miałem wrażenie, że trochę się spocił, ale potem zauważyłem, że był spocony cały czas. Nadmierna potliwość, jako typowa przypadłość uwikłanych w naszą politykę.

Spory wewnątrz naszych partii politycznych. Wraca echem klęska wyborów prezydenckich. Małe, niesprawne organizmy z goryczy próbują zjeść swoich szefów – KPN Moczulskiego, ZChN Czarneckiego, „Unia Pracy” Bugaja. Klęska potrzebuje głów. Ale w tym kraju nie potrafi się ścinać głów. Nawet porywacze królów zwykle nie tracili głów. A jednak spada głowa Czarneckiego na jego miejsce wtacza się Marian Piłka. Partia katolicko-narodowa ma nową osobistość. Słucham co ma do powiedzenia Piłka i smutno mi się robi. Są fobie antyniemieckie, lekkie skrzywienie prorosyjskie – skąd my to znamy? A w ogóle to cieniutko w sferze umysłowej. Charyzmy za grosz.

Po aferze Oleksego nawet umiarkowani z Unii zaczęli używać wobec postkomunistów pojęć zarezerwowanych dla skrajnej prawicy. Mówi się o „powiązaniach nomenklaturowych” a nawet o „czerwonej pajęczynie”. Zaś wszystkie organy prawicowe śpiewają w jednym chórze, że Polska zagrożona. Ale kiedy kończy się śpiew, chociaż są w jednym stadzie, patrzą na siebie wilkiem.

Skoro Polska jest tak zagrożona, jak to możliwe, że organizacje gdzie naród, patriotyzm jest na sztandarach, nie potrafią się zjednoczyć, choćby na chwilę? Jak to możliwe, że cały obóz posierpniowy nie może się zjednoczyć choćby w celu odsunięcia obecnego układu?

Deliberują nad tym znani politolodzy, a prawda jest

prosta jak rowerowa szprycha i leży na dłoni. Narodowa prawica uważa w głębi serca, że liberałowie, Żydzi, masoni i libertyni z Unii są nie lepsi od SLD. Gdy opcja liberalno-unijna uważa, że narodowa prawica jedynie gdy stoi z dala od władzy, nie stanowi śmiertelnego zagrożenia dla kraju. Bo jej wizja Polski jest o wiele dalsza wizji liberalnej, niż wizja SLD. Mamy dzisiaj jedną arogancję Unii, plus dwie aroganckie skrajności na lewej i na prawej stronie. SLD podnosi jeden duży łeb w stolicy i tysiące lisich pyszczków na prowincji. Każde wypominanie przeszłości budzi ich gniew. Postulują, by oczyścić przeszłość z urazów jak tasakiem czyści się z mięsa kość. Gdy narodowa prawica jedzie bez siodła, na oklep, na urazach i resentymentach.

W polach napięć między różnymi skrajnościami rodzi się społeczna obojętność.

W wielkim referendum na temat powszechnego uwłaszczenia wzięło udział nieco ponad 30% obywateli. Pierwsze pytanie było zbyt ogólne, trzy pozostałe nie do pojęcia. Można więc mówić o porażce demokracji w Polsce. I że jest wielkim sukcesem, że kilka milionów ludzi wyszło tego dnia z domu, by powiedzieć – niewiele z tego rozumiemy, ale jesteśmy, mimo wszystko obywatelami.

Niechętnie znowu włączę na sprawę Oleksego, bo coraz ciężiej słuchać o służbach specjalnych. Podejrzany o szpiegostwo, mimo otyłości, nadzwyczaj lekko przeskoczył z siodła premiera na siodło szefa SLD. Tam przynajmniej działa się niezwykle zgodnie i solidarnie. Całe wzburzenie zgodnie z przewidywaniami wsiąka w naszą codzienność. Oskarżenie o zdradę jest jak drapieźnik w cyrku, nie wiadomo już nawet, czy to prawdziwe zwierzę, czy przebrany clown. I większość Polaków uważa, że owe oskarżenia to tylko gra polityczna przeciwników Oleksego. Może był nieostrożny? I co z tego? Kto nie był nieostrożny? Na lekceważenie problemu pracowała nasza scena polityczna, nie ma w niej już autorytetów, nic nie jest godne szacunku, nic nie jest pewne. Ale pracowała też nasza historia. Polski mit o naszym własnym heroizmie ma piękne fasady, ale na podwórku jest bałagan i śmietnik, jak na wszystkich naszych podwórkach. Prosta była

sytuacja w czasie hitlerowskiej okupacji. A okupacja poprzednia i późniejsza, rozciągnięte w czasie, z periodami bez klów, wciągały w swój worek niemal wszystkich. I niemal wszyscy Polacy noszą dzisiaj w sobie ukryte usprawiedliwienia swoich małych i dużych upadków. (Komunizm miał nędzną ekonomię, ale narzędzia deprawowania ludzi były wyrafinowane). A obok usprawiedliwień leży szkatułka z mitem o naszej niezłomności, o heroizmie. Jak w Indiach, gdzie wonie kadzidła i różnych pachnidel mają przykryć gnilne zapachy.

Ludzie nie chcą by grzebano się w ich życiorysach, bo pragną je zapomnieć. Nawet starszy wiekiem trzon dawnej opozycji też chce zapomnieć swój pakt z diabłem w czasach stalinowskich. Jak długi jest kij, który wsadzono w mrowisko Oleksego, myślą ludzie? Czy nie sięgnie naszej przeszłości?

Nie godzę się z brutalnymi dekomunizatorami, z łagodnymi, tak. Ale tu jest właśnie węzeł gordyjski. Jak nie można być tylko w połowie w ciąży, nie można było humanitarnie dekomunizować. Czy załatwiłyby coś wielkie symbole? Kto wie? Jakies symboliczne oddzielenia dobra od zła. Zmieniano tylko nazwy ulic, a teraz sam często używam starych. Kiedyś żartowałem, oczyma wyobraźni widząc wielki *happening* z symbolicznym ścięciem głowy pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, z milionem widzów na placu, teraz Bankowym. Może ten żart trzeba było wcielić w życie? Z tułowia trysnęłaby fontanna wina, rozlewana do plastikowych kubków. A potem huknąć pięścią w stół, by zatrzęsły się wszystkie komunistyczne przedmioty. Problem, że tyle ich w każdym z nas.

Kiedy młody R. robi mi wykład na temat pracy w swojej instytucji, to widzę, że jest jak rzeszoto pełne dziur, tyle w nim myślenia z czasów PRL. Jest w ZChN-ie. Oto Polska właśnie.

Znowu narasta we mnie zmęczenie tym miejscem. Skoro polityka jest takim obłędem, odpoczynek winien być w innych sferach. Nadal jednak tyle wokół niekompetencji. Mało szacunku dla pracy, żadnych reguł gry, nie ma zobowiązań, jest tylko myślenie by jak najwięcej chapnąć.

Gdziekolwiek wykonuję jakąś pracę, tonę w magmie niekompetencji. Nie wiem gdzie jest moja bezradność, a gdzie otoczenia. Ostatnio mnie to powaliło i stłamsiło. Nie ma się

nawet gdzie poskarżyć. To jakby w burdelu skarżyć się na nierząd.

Ale to nie jest jakaś katastrofa. Zawsze mówiliśmy, że ten kraj jest zniszczony, że tu jest praca na wiele pokoleń. Niby nie mamy złudzeń, a jak się wszystko potwierdza, robi się bardzo gorzko.

SMECZ

## Varsovie, ma vie

Istnieje pewne skrępowanie między człowiekiem a miastem, w którym przeżył 40 lat. Zbyt dużo o sobie wiedzą. Wspomnienia pokrywają ulice jak tajemne linie, które – jak twierdzą radiesteci – tworzą gdzieś pod ziemią ezoteryczną siatkę. Wielkie ulice znają jego młodzieńcze ambicje – parki i bulwary pamiętają jego spacerzy z narzeczonymi – zakazane uliczki i knajpy mogą opowiedzieć o jego upadkach.

Warszawę zacząłem naprawdę poznawać dopiero wtedy, gdy – dawno temu – zaproponowano mi wyjazd z kraju; wyjazd na długo, a może na zawsze. Uświadomiłem sobie wtedy nagle, że w moim niewielkim bagażu nie ma obrazu mojego miasta. Znałem Paryż Cortazara, znałem Nowy Jork Salingera i Capote'a znałem Buenos Aires Sabato – ale zdałem sobie niespodziewanie sprawę, że miasto, gdzie się urodziłem i wychowałem, jest dla mnie zagadką.

I gdy okazało się, że jednak nie wyjadę, w świadomości (czy podświadomości) pozostała potrzeba poznania Warszawy: teraz mojego miasta, na złe i dobre, na życie.

Mojego? Warszawa to były wielkie place i szerokie arterie, by mogły po nich maszerować defilady – to były gigantyczne mrówkowce, w których można było zgubić

ukochaną, jeśli się nie zapisało wcześniej jej adresu. To był Gmach w samym centrum, przygniatający jak Przeznaczenie Dziejowe; i drugi, bliżej rzeki, szary prostopadłościan, od którego coś odpychało przechodniów, jakby go strzegły jakieś ciemne siły. Czy można się było utożsamiać z wiecznie zatłoczonymi autobusami, z prawie ciemnymi ulicami z ciasnymi, pełnymi ludzi i zapachów barami mlecznymi?

Chcąc nie chcąc, wrastałem w ten podbity kraj, i jak każdy niewolnik szybko odkryłem, że moi właściciele bynajmniej nie są w stanie kontrolować wszystkiego. Zacząłem odkrywać miejsca, gdzie komunizm nie dotarł: dzielnice willowe, Park Kultury na Bielanach, Łazienki. (Wille należały zwykle do dawnych oprychników Stalina, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy – zresztą byli już odsunięci na boczny tor, a ich dzieci miały niedługo zacząć działalność korowską i w Drugim Obiegu.) W Dziekance i paru innych miejscach oswajaliśmy tę komunistyczną satrapię – na ile się dało.

Ale i ona nas oswajała. Zaczęły się pierwsze dramaty i pierwsze kompromisy. Trzeby było jakoś żyć – choć nie było wiadomo jak. Teraz odkrywałem duże powojenne kamienice, gdzie mieściły się redakcje i wydawnictwa. Przy szklance herbaty uczono mnie europejskiej konwersacji i azjatyckiej pokory wobec władzy. Chciałem pisać prawdę o życiu: ale tam nie było ani prawdy, ani życia. Przy wódce wyjaśniano mi co to jest cenzura. Nie uznawałem cenzury i nie polubiłem wódki.

Nie miałem czego szukać w Środowisku.

Wtedy zaczął się okres gdy zacząłem poznawać Warszawę inną: Warszawę zwykłych ludzi. Przygodne pokoje na dalekich osiedlach, bary IV kategorii (nie wiedziałem nawet, że taka istnieje), idiotyczne, przeraźliwe, ponure urzędy gdzie próbowałem zarobić na życie. Niczym Livingstone zapuściłem się aż do samego serca Pragi i tam utknąłem na dłużej między Szwedzką a Kamienną. Poznałem co to jest inferno miejskie: brudne czynszówki na bezdrzewnych, nie sprzątanym ulicach cuchnących odorem odwiecznej nędzy i beznadziei. Najbardziej obłąkane pomysły Corbusiera stają się w obliczu tej otchłani czymś sensownym.

Tymczasem coś tam jednak wydałem, ktoś mnie zauwa-

zył – wysłała dyrektywa, że w Drugiej Polsce młodzi twórcy nie muszą należeć do Organizacji, przynajmniej od razu. Zaczęto mnie częstować kawą lub nawet koniackiem: wtedy tłumaczono mi, że otwarty sprzeciw będzie szkodził partyjnym liberałom, którzy są – przecież – naszą jedyną nadzieją; redakcje miały już dywany, a redaktorzy samochody. Pewna panna z dobrego (=komunistycznego) domu uznała mnie za godnego jej towarzystwa, i oto otworzyły się przede mną zakłete rewiry mazowieckiej metropolii: Spatif, „Kamieniołomy”, Sadyba. Spacerzy o świcie Górnośląską i Parkiem Powiśle, filigranowe wózki z kwiatami autorstwa Joanny Waliszewskiej wzdłuż Trasy Łazienkowskiej, i wszędzie pełno drzew (które dopiero za rok czy dwa zaczęły usychać) – czegoż jeszcze trzeba było, by uznać to miasto za najpiękniejsze na świecie.

Ale to był sen. Przebudzenie prywatne przyszło najpierw – publiczne nieco później. Pewnej grudniowej nocy, dzięki uczynności władz, zacząłem poznawać przedmieście Warszawy, którego do tej pory jakoś poznać nie miałem okazji: znaną z produkcji mąki Białolekę. W upiornych osiedlach-koszarach mieszkali nie młynarze lecz „wychowawcy” (w mundurach).

Gdy uznano już, że dobrze zapamiętam ten zakątek, pozwolono mi wyjść – i odkryć nową Warszawę, która tymczasem powstała. Warszawę oporników w kołnierzach i zomowców; demonstracji i solidarności przechodniów. Z tą Warszawą utożsamiałem się bez reszty: byłem z niej dumny. Czy ona była dumna ze mnie, to już inna sprawa, ale zacząłem poznawać ją lepiej niż kiedykolwiek: nadając audycje Radia Solidarność zdarzyło mi się jeździć do dzielnic, o których istnieniu co najwyżej słyszałem.

A potem zaczęła się wolność. Ulice socrealistycznego centrum zamieniły się w jeden wielki wczesnokapitalistyczny bazar – pod Gmachem, którego otwarcie uświetniły tłumy młodych przybyszów z Trzeciego Świata na Festiwalu Młodzi – kłębić się zaczął tłum młodych handlarzy wszystkich kolorów, kto wie, może ich dzieci... Zniknęły bary mleczne, a wraz z nimi (jak się wydaje) gatunek chudych inteligentów, którzy nad odpowiednią legitymacją przedkładali dyskusję o Camusie przy naleśnikach. Pojawiły się za to bistra i kafejki,



a w nich elegancyści młodzi ludzie z telefonami komórkowymi. Wyrosły ładne (i mniej ładne) wieżowce i „plomby”. Ludzie na chodnikach śpieszą się jak w każdym wielkim mieście europejskim: coraz trudniej znaleźć kogoś spacerującego bez celu.

Czy więc wreszcie moja Warszawa – niepokorna, prześmiewcza, czasem cwaniacka lecz zawsze uparta i „nie dająca wziąć się na bajer” – pokonała martwą tępotę Doktryny, przyniesionej przez patrona gmachu i jego adherentów? Wietnamczyk, który pracuje w skleconej budce, żebym mógł zjeść wielki pożywny talerz ryżu i mięsa za 2 zł 50 gr – i który w tym celu uciekł z komunistycznego raju w swojej ojczyźnie – udowadnia mi to każdego dnia. A ja mam nadzieję, że kiedyś wraz z nim pojadę do wolnego znowu Sajgonu. Los Warszawy, zniewolonej a dziś pełnej życia – daje nadzieję każdemu miastu.

Piotr SKÓRZYŃSKI

## Sprawy i troski

### Międzynarodowe konsekwencje niszczenia Puszczy Białowieskiej

Dewastacja Puszczy Białowieskiej ukazała słabość polskiej polityki ekologicznej. W krajowej prasie rzadko podejmuje się temat międzynarodowych konsekwencji postępowania, które stawia pod znakiem zapytania przetrwanie ostatniego w Europie pierwotnego lasu. Nikt nie zadaje pytania jak tego typu polityka może wpłynąć np. na proces integracji Polski ze Zjednoczoną Europą. Polskim decydom trudno jest zrozumieć, że sprawa Puszczy Białowieskiej jest jednym z najważniejszych obiektów polityki europejskiej. Politycy nieomal wszystkich orientacji uznają wejście naszego kraju do Wspólnoty Europejskiej za najważniejsze zadanie polskiej polityki najbliższych lat. Związek z organizacjami europejskimi widzi się jednak zazwyczaj jedynie z punktu widzenia ekonomii i militarnego bezpieczeństwa kraju. Zapomina się, że Wspólnota Europejska od trzynastu lat prowadzi konsekwentną politykę ekologiczną.

W Traktacie z Maastricht (artykuł 130R punkt 2) stwierdza się, że wymagania dotyczące ochrony przyrody muszą być uwzględniane przy wdrażaniu polityki Wspólnoty Europejskiej. Aktem prawnym *Natura 2000* z 1992 (który jest kontynuacją aktu *Habitat* z 1979 roku) członkowie Wspólnoty zobowiązani zostali do ochrony miejsc o szczególnym znaczeniu przyrodniczym. Państwa, członkowie Wspólnoty, zobowiązane są do ustalenia, gdzie takie miejsca znajdują się oraz przedsięwzięcia niezbędnych środków w celu ich ochrony. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w momencie integracji naszego kraju ze Wspólnotą, Polska zostanie

zobowiązana do ochrony całości Puszczy Białowieskiej. Nieodpowiedzialni czy nieuczciwi politycy nie powinni także liczyć na to, że możliwe będzie kontynuowanie niszczenia Puszczy dzięki nieskuteczności europejskich instytucji kontroli. Europejska Agencja Środowiskowa z siedzibą w Kopenhadze, spełniająca rolę instytucji kontrolnej, jest organizacją bardzo sprawną.

Należy uświadomić polskim decydom, że polityka prowadzona wobec Puszczy Białowieskiej jest sprzeczna z prawem i polityką Wspólnoty Europejskiej. Jest ona także niezgodna z założeniami schematu europejskiego rozwoju przestrzennego. Nie wolno zapominać, że głównym rzecznikiem integracji krajów Europy Środkowej ze Wspólnotą jest Republika Federalna Niemiec, kraj, którego opinia publiczna znana jest z wrażliwości na problematykę ochrony środowiska.

Opóźnienie zjednoczenia z Europą nie jest jedyną międzynarodową konsekwencją obłądnych decyzji dotyczących Puszczy Białowieskiej i polityki ekologicznej w Polsce. Prestiżowy szwedzki miesięcznik *Ambio* zauważa, że ujawnienie dotychczas tajnych danych, dotyczących rozmiaru katastrofy ekologicznej Europy Środkowej i Wschodniej i możliwość oceny wpływu degradacji przyrody na zachodnią część naszego kontynentu wywołało w wielu krajach prawdziwy szok. Ze względu na swój własny interes jak i z przyczyn moralnych szybko zaczęto na Zachodzie organizować finansową i techniczną pomoc ekologiczną dla krajów byłego bloku komunistycznego. Główną rolę w organizacji tej pomocy odgrywały obok Wspólnoty Europejskiej, Stany Zjednoczone, kraje skandynawskie i Bank Światowy. Kraje Środkowo-Wschodniej Europy, a wśród nich Polska, traktowane były bardziej jako przedmiot owej polityki niż jako równorzędny partner. Nikomu nie trzeba chyba tłumaczyć, że zmiana tej pozycji powinna być jednym z najważniejszych celów polityki środkowoeuropejskiej. Realizowanie polityki sprzecznej z ogólnymi tendencjami Wspólnoty Europejskiej może przyczynić się także do zmniejszenia pomocy ekologicznej i finansowej dla Polski.

Sprawa Białowieży wywiera także bardzo niekorzystny wpływ na sytuację ekonomiczną Polski. W obecnej sytuacji

międzynarodowej kraje ryzyka ekologicznego są postrzegane w Europie jako kraje ryzyka ekonomicznego. Opracowany niedawno przez grupę brytyjskich ekspertów bankowych raport wskazuje na brak zdefiniowania kryteriów odpowiedzialności za zniszczenia środowiskowe jako na ważną przyczynę zwiększenia ryzyka inwestycyjnego, a zatem i ostrożności. Obraz Polski jako kraju niszczącego przyrodę sprzyja wytworzeniu izolacjonizmu wobec polskiej produkcji. W ostatnich miesiącach można zaobserwować pogarszanie się obrazu Polski w znacznej części zachodnioeuropejskiej prasy. Nierzadko nasz kraj wypada bardzo niekorzystnie nawet na tle swoich wschodnich sąsiadów. W systemie ostrej konkurencji ekonomicznej i potęgi mediów obraz taki rozpowszechnia się bardzo szybko, powodując utratę części rynku zbytu. Coraz częściej politycy i sami producenci zdają sobie sprawę z tego zjawiska, stąd np. podpisane ostatnio przez Zrzeszenie Szwedzkiego Przemysłu Drzewnego (Assidoman, Graninge, Modo, SCA, Stora) i organizacje ochrony przyrody (m.in. WWF i Szwedzkie Towarzystwo Ochrony Przyrody) porozumienie dotyczące ustalenia kryteriów ekologicznych produkcji leśnej.

Piotr DASZKIEWICZ

## O religii bez namaszczenia

### Kilka myśli o przyszłości chrześcijaństwa

Pisząc w marcowej *Kulturze* o „Kościele żywym” naszych czasów, nie ukrywałem swojego przekonania, że współczesne chrześcijaństwo przeżywa głęboki kryzys, jakiego nie zaznało przynajmniej od czasu wielkiego wstrząsu, jakim była Reformacja w XVI wieku, a może nawet od czasu swego wyjścia z katakumb w wieku III i IV. Jestem jednak równie mocno przekonany, że jest to kryzys wzrostu i dojrzewania, a nie upadku. Już nieraz zwracałem uwagę na fakt, moim zdaniem oczywisty, ale niedoceniony, że Kościół chrześcijański u progu swego trzeciego tysiąclecia jest instytucją w historycznej skali ludzkości wciąż jeszcze bardzo młodą, że zatem jest rzeczą naturalną oczekiwanie dalszego jego wzrostu i rozwoju w ciągu następnych tysiącleci. Jest to wizja płynąca nie tylko z historycznej refleksji, ale po prostu z wiary w niezniszczalność Objawienia, jakie chrześcijaństwo ludzkości przyniosło i przynosi. Tę wiarę dzielę oczywiście z całym instytucjonalnym Kościołem, z tą tylko różnicą, że kościelne centrum z papieżem Janem Pawłem na czele, jest skłonne dopatrywać się źródeł kryzysu raczej w karygodnym odwróceniu się bieżących pokoleń od Boga niż w tajemniczych natchnieniach Ducha św., które kazałyby znamiona kryzysu traktować jako zbawienne „znaki czasu” i zapowiedź dalszego rozwoju. Wydaje mi się, że taka interpretacja kryzysu jest (paradoksalnie) bliższa wielu ludziom słabo lub wcale nie związanym z instytucjonalnym Kościołem, którzy jednak rozumieją i cenią znaczenie i wagę chrześcijańskiego przesłania, ludziom takim jak Kołakowski, Giedroyc, Kuroń,

Michnik, Koraszewscy. Według tej interpretacji kryzys dotyczy raczej tylko instytucjonalnych form chrześcijaństwa, jego kościelnego szkieletu (by tak powiedzieć), nie zaś jego istoty. Rzecz jasna, że w Kościele jest mocno zakorzenione przekonanie, że skoro jest on historyczną kontynuacją tajemnicy Wcielenia, musi też być gotów każdej chwili umierać, aby tym silniej manifestować światu tajemnicę Zmartwychwstania.

Przejawy tego instytucjonalnego „umierania” Kościoła są dla wszystkich widoczne: stopniowe wykruszanie się kadr duchowieństwa przy zmniejszającym się napływie nowych powołań, idące w parze z tym kurczenie się społecznego zasięgu praktyk religijnych i sekularyzacja instytucji publicznych, ruchy dysydenckie wewnątrz Kościoła (zarówno wśród duchownych jak i świeckich wiernych) i osłabienie dyscypliny kościelnej (wobec całkowitego zaniku fizycznego przymusu oznacza to nieskuteczność sankcji duchownych, jak ekskomunika czy mniej formalna odmowa posługi sakramentalnej). Ale czytelnik bez trudu zauważy, że prawie każdemu z tych dekretów towarzyszą niejako równoległe zjawiska pozytywne. I tak nie tylko względny brak powołań kapłańskich jest przyczyną, że coraz więcej funkcji duszpasterskich, nawet posługi sakramentalne, przechodzi w ręce zaangażowanych świeckich wiernych; jest to w całkowitej zgodzie z zainicjowanym przez ostatni sobór przesunięciem akcentu w rozumieniu istoty Kościoła od wyłącznie duchownej hierarchii w stronę szeroko pojętego Ludu Bożego. Znaczy to również, że miejsce masowego chrześcijaństwa, tłumów wypełniających kościoły w niedziele i święta, zajmuje chrześcijaństwo bardziej elitarne (nie w sensie klasowego czy grupowego przywileju, lecz raczej rzetelnego duchowego zaangażowania). To z kolei niekoniecznie oznacza demograficzne zawężenie apostołskiej misji Kościoła, bo wpływy chrześcijańskich elit mogą sięgać daleko poza ramy instytucjonalnego Kościoła i mogą być nawet bardziej efektywne niż formalna tylko przynależność do określonego chrześcijańskiego wyznania<sup>1</sup>. Nawiasem mówiąc, jest to podejście bardziej ewangeliczne: Jezus najwyraźniej nie był zainteresowany

1. Wszystkie te zjawiska występują znacznie silniej na zachodzie Europy niż w Polsce.

w formalnym poszerzaniu grona swoich uczniów; nauczał tysięczne rzesze, po czym kazał im z zasłyszonym Słowem wracać do domu, do ich normalnych zajęć. Jest w tym powiew jakiejś naturalnej sekularyzacji. Faktycznie istnieje dziś nurt teologicznej refleksji, który każe dopatrywać się w Jezusie radykalnego sekularyzatora. Będąc wiernym Żydem swoich czasów, Jezus nie pozwalał jednak sobie i innych przepisami swojej religii krępować i Samarytanka czy Syrofenicjanka, rzymscy oficerowie czy celnik Zacheusz byli mu równie bliscy jak wierni Izraela. Niedoceniony wciąż jeszcze gest ewangeliczny na rzecz nie tylko ekumenizmu ale i sekularyzmu naszych czasów.

Nie znaczy to oczywiście, by sekularyzm był samoistną wartością ewangeliczną czy chrześcijańską. Jest tylko formą wolności religijnej, tak jak demokracja jest formą wolności politycznej. Podobnie jak demokracja, sekularyzacja jest pojęciem aksjologicznie obojętnym, a stanowi tylko pustą przestrzeń, w której autentyczne wartości mogą żyć i rozkwitać. Ale tym samym, jest warunkiem istnienia autentycznych wartości i świeckich, i religijnych. Także antywartości. Jak demokracja umożliwiła taką antywartość, jaką było na przykład dojście Hitlera do władzy, tak samo sekularyzacja otwiera drzwi zarówno złu jak i dobru. To samo zresztą można powiedzieć i o religii, bo istnieją także specyficznie religijne grzechy, jak fundamentalizm, fanatyzm, nietolerancja, religijna pycha. Wiemy, że nie brak było tego wszystkiego w historii chrześcijaństwa. Obecny kryzys zatem stwarza szansę wyzbycia się tych grzechów, czemu zresztą dał wyraz nawet sam papież w swym sławnym, lecz za mało dyskutowanym Liście Apostolskim *Tertio Millennio Adveniente*<sup>2</sup>. Sekularyzacja, tak często i tak bardzo jednostronnie

2. Niemniej ten List był pod wieloma względami bardzo niezadowolający. Zob. mój artykuł „Rachunek sumienia Kościoła?” w *Kulturze* nr 3, 1995. Dla równowagi warto również przypomnieć artykuł Jerzego Turowicza pt. „Odważa Jana Pawła II” w *Tygodniku Powszechnym* z grudnia 1994. Turowicz pisze tam o konsystorzu papieskim w czerwcu tego roku, który poprzedził wydanie Listu Apostolskiego. Z tej relacji zdaje się wynikać, że papież sam zamierzał pójść znacznie dalej w krytyce przeszłości Kościoła, lecz że jego odwaga spotkała się z dość chłodnym przyjęciem ze strony zebranych na konsystorzu kardynałów.

piętnowana jako odejście od Boga, może się właśnie stać, jak dalej zobaczymy, żyznym terenem szerokiej akceptacji (tym szerszej że całkowicie wolnej) istotnych, ewangelicznych wartości chrześcijaństwa.

Dziwić nas powinno, w jak wielkim stopniu te istotne wartości zostały w historycznym obrazie chrześcijaństwa i w bieżącym społecznym odbiorze przesłonięte przez wspomniane religijne antywartości, i że pojawiają się one we współczesnym świecie przybrane w świeckie szaty, jako zdobycze historycznej emancypacji zaawansowanych społeczeństw spod religijnej dominacji. Ulegli temu złudzeniu w dużej mierze nawet ojcowie soborowi, gdy uchwalali swą wspianą zresztą konstytucję *Gaudium et Spes* o Kościele w świecie współczesnym. Bo przecież tak szeroko dziś akceptowane świeckie wartości takie jak poszanowanie jednostki ludzkiej, wolność sumienia, wolność słowa, jak humanizm, demokracja i rządy prawa, to tylko różne formy starego chrześcijańskiego przykazania miłości bliźniego. To samo dotyczy zdobyczy społecznych, oświaty, lecznictwa, troski o ludzi i społeczności upośledzone, troski o pokój międzynarodowy – rzeczy, które przecież Kościół europejski kiedyś zainicjował i które dopiero w ciągu wielu wieków przeszły w ręce instytucji świeckich. To samo dotyczy poszukiwania prawdy w nauce i poszukiwania piękna w rzetelnej sztuce, które są ostatecznie formami chrześcijańskiej miłości Boga.

W pewnym sensie sekularyzacja tych wartości jest wielkim sukcesem chrześcijaństwa, w tym sensie mianowicie, że nie odczuwa się ich dzisiaj w najmniejszym stopniu jako wyuczone i narzucone przez autorytet, jakim przez wieki był Kościół, lecz jako wartości, które same w sobie znajdują uzasadnienie. Nie jest to bynajmniej tak oczywiste, jakby się to dziś wydawać mogło, wystarczy wspomnieć, jak obce były te wartości, humanitarne i humanistyczne, większości kultur przedchrześcijańskich i nawet współczesnych poza- i antychrześcijańskich, jak faszystowsko-nacjonalistyczne albo komunistyczne totalitaryzmy. Nie tylko w Starym Testamencie wycinanie w pień pokonanych nieprzyjaciół czy kamieniowanie grzeszników uchodziło jeszcze za rzeczy tak samo zrozumiałe jak nasza dzisiejsza awersja wobec takich czynów. Nawet w Nowym Testamencie niewolnictwo jest

jeszcze akceptowane jako oczywista ustrojowa konieczność i tylko od środka niejako w pewnej mierze humanizowane (np. w Pawłowym Liście do Filemona). Nawet w historycznym chrześcijaństwie terror fizyczny i moralny, i deptanie godności ludzkiej istniały nadal jako instytucjonalne grzechy, *wbrew* równocześnie głoszonym diametralnie przeciwnym nakazom Ewangelii. Dopiero ucząc tych nakazów i narzucając je królom i książętom, i świeckim społecznościom, kościelna instytucja zaczęła je również sobie przyswajać. Błogosławiony owoc ewangelicznej sekularyzacji.

Ale za ten triumf moralny Kościół zapłacił gorzką doczesną cenę. Dorosłe dzieci, przyswoiwszy sobie matczyne nauki, przestały się na Matkę-Kościół oglądać. Bonhoeffer nazwał to dojściem nowoczesnego człowieka do pełnoletności i zaczął się w hitlerowskim więzieniu zastanawiać, jaka rola w tym pełnoletnim świecie przypadnie chrześcijaństwu. Bonhoeffer widział, że życie starej matki dobiega końca, choć nie tak to wyrażał, mówiąc raczej o końcu „religii” i wieszcząc nadejście „bezreligijnego chrześcijaństwa”. Nie zamierzam tu roztrząsać tych terminologicznych powikłań. Przypomnę tylko, że pastor Bonhoeffer był jednak sam głęboko religijny i potrafił za swe przekonania cierpieć i śmierć ponieść. Prawdziwie chrześcijański męczennik, gorzki wyrzut dla „religii”, która wciąż jeszcze nie jest w stanie uznać oczywistej świętości poza ramami własnej instytucji kościelnej. Jasne jest, że taka instytucja musi umrzeć, by mogło żyć chrześcijaństwo.

Przychodzi na myśl ewangeliczna przypowieść o ziarnie, które musi obumrzeć, aby mogło przynieść plon. Ale nawet najlepsze ziarno, po to by wydać plon, potrzebuje dobrej gleby. I tu trzeba nam wprowadzić istotną korektę do tego, co mówiliśmy o wartościach, jakie Kościół przez wieki głosił tak, że świecki świat za swoje je przyjął. Nie tylko Kościół chrześcijański je głosił; przed i obok, i poza chrześcijaństwem była zawsze i jest „światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, który na świat przychodzi” (Jan, 1,9), to co teologowie nazywają objawieniem pierwotnym albo prawem naturalnym (nazwa ta nie robi większej różnicy), to co Bóg od początku w naturze ludzkiej złożył. Jest oczywiście miłość Boga w Starym Testamencie, jest już także miłość bliźniego i jego odwieczne Słowo, i światłość życia i prawdy

w religiach orientalnych<sup>3</sup>. Jest starogrecka *arete* (cnota) Homera, jest myśl sokratejska i platońska, jest Kohelet i Marek Aureliusz, i długi rząd genialnych poszukiwaczy naukowej prawdy od Galileusza poprzez Newtona do Plancka i Einsteina, i rząd wielkich architektów ładu społecznego od Peryklesa poprzez Jeffersona i Staszica do Hammarskjölda i Sacharowa. To wszystko stanowiło glebę, na której ziarno Ewangelii mogło rosnąć i wydać także swój sekularny plon.

Istotne jest, by uprzytomnić sobie, że chrześcijaństwo nigdy nie żyło w izolacji i nie tylko własnymi żywiło się sokami. Nawet jeśli instytucjonalny Kościół aspirował nieraz do wyłączności swoich prawd, do statusu „doskonałego społeczeństwa” (złudzenie, którym żyli jeszcze Pius XII i kard. Ottaviani) i do roli oblężonej twierdzy w opanowanym przez szatana nie-chrześcijańskim świecie. Zaczęło się to zmieniać od czasu II Vaticanum, ale wciąż jeszcze tylko na papierze. Mamy wewnątrz-chrześcijański ekumenizm, ale mamy też nadal wewnątrz-chrześcijańskie podziały i ostracyzmy. Mamy dialog czy dialogi z innymi religiami i z niewierzącymi, mamy nawet kurialne instytucje zwane Radami, które jakoby tym celom mają służyć, ale są one jak dotychczas deprymująco bezużyteczne (nawet gdy na ich czele stoją ludzie tak mądrzy i szlachetni jak kard. König) poprzez kontakty międzyludzkie i międzyreligijne, przez turystykę i masowe migracje (bo żyją dziś wśród nas zwarte społeczności np. islamskie), a nade wszystko przez związane z tym szukanie, często ledwo uświadomione, wspólnego ludzkiego dobra i wspólnej prawdy.

I tu dochodzimy do sedna problemu przyszłości chrześcijaństwa. Czy to dziś poszukiwane i jutro znalezione wspólne dobro będzie jeszcze chrześcijaństwem? Czy wspólna prawda będzie chrześcijańską prawdą? Szczerze mówiąc, ani

3. Miłość bliźniego w Starym Testamencie: zob. np. w „Księdze Kapłańskiej” 19:34-35. A oto dwa cytaty z hinduskich „Upaniszadów” zaczerpnięte z wyboru J. Mascaro „Himalayas of the Soul” (dlatego cytuję po angielsku): *OM. This eternal Word is all: what was what is and what shall be, and what beyond is in eternity. All is OM.* (Mandukya Upanishad str. 85). *There is a Spirit that is mind and life, light and truth and vast spaces... He enfolds the whole universe, and in silence is loving to all.* (Chandogya Upanishad, str. 93).

dobro ani prawda nie powinny być kwalifikowane żadnym przymiotnikiem. Chrześcijańska prawda, jeśli jest prawdą, nie różni się niczym od żadnej innej prawdy<sup>4</sup>. Jeśli nawet weźmiemy pod uwagę, że umysł ludzki nigdy nie będzie w stanie poznać pełni prawdy, to i cząstkowa prawda na ile jest prawdą, nie będzie ani chrześcijańska ani żadna inna. Będzie tylko prawdą. Ale czy wobec wielości religii nie grozi nam tu jakiś relatywizm poznawczy, indyferentyzm religijny lub w najlepszym przypadku synkretyczny zlepek kawałków różnych religii? Oczywiście problem stosunku chrześcijaństwa do innych religii istniał od samych jego początków. Ale w tych początkach przedstawiał się dużo prościej. Chrześcijaństwo pierwszych wieków mogło bez żenady odrzucać zwiędłe przeżytki grecko-rzymskiego pogaństwa jako religie całkowicie fałszywe; gest św. Pawła na ateńskim Aeropagu akceptujący „nieznanego Boga” był tylko zabiegiem misyjnym, odrzucającym jednak wszystkich innych bogów. Co gorsza, nawet judaizm, z którego chrześcijaństwo wyrosło, to młode chrześcijaństwo odrzucało jako zgoła szatański przeżytek (zob. kazania św. Jana Chryzostoma). Innych religii na obszarze chrześcijańskiej *oikumene* nie było, najwyżej chrześcijańskie herezje. Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy w VII wieku na wschodnim obrzeżu chrześcijaństwa wyłoniła się nagle całkiem nowa religia – islam, a następnie jeszcze bardziej na skutek wielkich odkryć geograficznych XV i XVI wieku. Okazało się, że na nieznanych dotychczas lądach istnieją stare i wysoce artykułowane religie i masy ludzkie, których nie można było po prostu zignorować jako pogan albo niewiernych. Reakcją europejskiego chrześcijaństwa (już tymczasem mocno zróżnicowanego na skutek Reformacji) było podjęcie w ciągu kilku wieków wysiłku misyjnego, który trwa po dziś dzień. Jeśli były w tym wysiłku rozległe i straszne zgoła akcje nawracania siłą (m.in. Ameryka hiszpańska i portugalska) i mało chwalebne epizody religijnego kolonializmu, to jednak był w nim również rzetelny, acz może naiwny nurt „ratowania dusz ludzkich”, a wraz z nim nurt rosnącej sympatii i zrozumienia dla zastanych tam wielkich religii, głównie hinduizmu i buddyzmu.

4. Pamiętamy, jaką parodią demokracji była tak zwana socjalistyczna demokracja.

I tak sprawa przedstawia się dzisiaj. Papież modli się wraz z przedstawicielami innych religii w Asyżu (pamiętamy: 1986), Hans Küng pisze masywne tomy na temat innych religii i wzywa do międzyreligijnego pokoju, ale każda z tych religii pielęgnuje swoje aspiracje do wyłączności i nikt nie ma pojęcia, jak z perspektywy tej sytuacji miałyby wyglądać przyszłość chrześcijaństwa. Byłoby arogancją bawić się w prorocтва lub snuć wielkie plany, ale może już dają się wyczuć jakieś kierunki przyszłego rozwoju. Od stosunkowo niedawna istnieje w myśli chrześcijańskiej pojęcie inkulturacji. Zawsze rozumieliśmy, że wiara religijna to nie tylko sprawa doktryny, przyjmowanie za prawdę pewnej liczby twierdzeń katechizmowych, że rzeczy między ziemią a niebem mają się tak a tak, ale nade wszystko sprawa kultu, osobistego i zbiorowego stosunku do Boga i łączności z Bogiem w modlitwie, a więc sprawa nie tylko intelektu, ale też uczucia i woli. A w tej sferze, bardziej niż w sferze czysto intelektualnej, środkami wyrazu są nie tylko słowa, ale i inne elementy kultury (stąd słowo „kult”): zwyczaje, symbole, sztuka, obrzędy. A zatem chrześcijaństwo w swej akcji pozyskiwania umysłów i serc dla Chrystusa musi do nich językiem ich kultur przemawiać. Czyli musi oprócz swej szaty europejskiej (powiedzmy, dla przykładu rzymskiej czy polskiej) umieć przywdziać zależnie od potrzeby szatę indyjską czy hinduską, malajską czy buddyjską, chińską, japońską, afrykańską, arabską. To jest właśnie inkulturacja. Ale jest ona jak dotychczas nader wybiórcza i bojaźliwie stosowana. Oczywistym hamulcem jest obawa przed utratą własnej, specyficznie chrześcijańskiej tożsamości, zrozumiałe ostatecznie choć mylne poczucie, że w sutannie i koloratce chrześcijaństwo jest bardziej sobą aniżeli w żółtej buddyjskiej todze lub z turbanem na głowie. Ale wydaje się, że poczucie tożsamości samo w sobie jest niebezpieczną pokusą. Bo przecież nie chodzi o to, by ludziom przynosić siebie, nową dla nich chrześcijańską tożsamość, lecz Boga objawionego w Chrystusie, który żadnego przywdziania nowej tożsamości nie wymaga. Na pewno można być chrześcijaninem i pozostać Japończykiem. Czy można być chrześcijaninem i pozostać szintoistą? Albo być chrześcijaninem i buddystą? Nie wiem, ale też nikt nie wie, jak Bóg patrzy na chrześcijan i

buddystów<sup>5</sup>. Chrześcijaństwo ze swym przykazaniem miłości Boga i bliźniego mogłoby się w ten sposób stać wspólnym mianownikiem dla wielu religii i przez Chrystusa, i przez autentyczną chrystusowość stanąć ponad wszelką historyczną religią tak jak Jezus, niczego nie odrzucając, stanął jednak ponad religią mojżeszową i innymi religiami swoich czasów. Pewną analogią do tak postulowanego stanu rzeczy, pozornie odległą a jednak istotną, zdaje się stanowić rola, jaką sekularyzm odgrywa w globalnej kulturze naszych czasów. Przy wszystkich kulturowych różnicach tworzy on coś w rodzaju wspólnego mianownika, który się przejawia w przyjętym ogólnie stroju (jakby nie było, europejskim), w świeckiej kulturze artystycznej, w przyjętych powszechnie procedurach dyplomatycznych, administracyjnych, handlowych itp.

I oto znowu powołałem się na sekularyzm, jak gdyby był odtrutką na wszystkie niedoskonałości kultury religijnej naszych czasów. Tak oczywiście nie jest. Jak już raz powiedziałem, sekularyzm sam w sobie jest zjawiskiem aksjologicznie obojętnym, co znaczy że obok swej strony pozytywnej ma też swą stronę negatywną: owo zagrożenie dla kultury religijnej, które rzecznicy tej kultury stale sekularyzmowi zarzucają. Zarzucają słusznie. Sekularyzm zdaje się prowadzić do jakiegoś spłycenia życia duchowego, do zatury pionowego wymiaru życia, stanowiącego o jego głębiach i szczytach. Jest to o tyle zrozumiałe, że sekularyzm z natury rzeczy ogranicza swe pole widzenia do spraw tego świata – *saeculum* znaczy *ten świat*, doczesność – i nie aspiruje do żadnych rzeczy pozaziemskich i wiecznych. W rezultacie ludzie nagminnie przestają wierzyć w Boga. Na tym przede wszystkim polega współczesny kryzys chrześcijaństwa. Dlaczego tak jest? Czy i tu potrafimy się doszukać pozytywnych znaków czasu i źródeł nadziei na przyszłość?

5. W interesującym dialogu amerykańskiego fizyka, autora *The physics of Tao*, Fritjofa Capra z dwoma benedyktynami znajduje się taki passus:

Fritjof: Bracie Dawidzie, powiedziałeś mi, że właśnie udzieliłeś chrztu, który był na pół katolicki i na pół buddyjski.

David Stieindl-Rast: Tak naprawdę, to był on w pełni katolicki i w pełni buddyjski.

(Fritjof Capra: „Należę do wszechświata”, Wyd. Znak, Kraków, 1995, str. 26).

W latach sześćdziesiątych ogromne poruszenie w Wielkiej Brytanii i daleko poza nią wywołała niewielka książka ówczesnego biskupa diecezji Woolwich, anglikanina oczywiście, Johna Robinsona pt. *Honest to God* (po polsku chyba „Uczciwie wobec Boga”, a może lepiej „Bogiem a prawdą”). Biskup Robinson dosyć bezceremonialnie rozprawił się nie tylko z prymitywnym obrazem starca siedzącego na chmurach, ale i z całą tradycyjną koncepcją Boga istniejącego „out there”, poza światem i spoglądającego z góry na borykających się ze swym losem ludzi, a przy tym sędzię, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Biskup uznał za Bonhoefferem, którego „Listy z więzienia” właśnie wtedy zaczęły do szerszej świadomości publicznej docierać, że czas już, by nowoczesny człowiek wyrósł z tak naiwnej wiary, a odnalazł Boga w „człowieku, który innym służy” (*the man for others*), którego doskonałym wzorem jest oczywiście ewangeliczny Jezus. Wiele lat później, bardzo niedawno, inny anglikański duchowny ks. Anthony Freeman doszedł do podobnego wniosku, że nie wierzy w żadnego *God out there*, natomiast nadal wierzy i pragnie nadal służyć najwyższym ludzkim wartościom, które są „Bogiem w nas”. Bardzo uczciwie powiedział to swoim parafianom i napisał książkę pod tytułem *God in us*, która zyskała rozgłos prawie taki sam jak w swoim czasie książka biskupa Robinsona. Ale w tym przypadku władze kościoła anglikańskiego czuły się zmuszone księdza Freemana zdymisjonować.

Takie uporanie się myślących ludzi z problemem Boga nie jest oczywiście w historii chrześcijaństwa żadną nowością. Nawet na zwyczajnej płaszczyźnie katechizmowej Bóg jest określany jako niepojęty, nieograniczony, transcendentny i immanentny zarazem, a nade wszystko „całkiem inny” niż cokolwiek umysł ludzki potrafi sobie wyobrazić. Dla samego intelektu w każdym razie problem Boga jest i musi pozostać na zawsze problemem nierozwiązanym. I o tyle trudno się dziwić ks. Freemanowi i uczciwym myślącym agnostykom. Ale równocześnie ludzkość nie potrafi też tego problemu się pozbyć. Nauka, nawet ta najbardziej świecka, najbardziej materialistyczna i redukcyjna, też co chwila do problemu Boga nawraca, choćby po to, by jeszcze raz się upewnić, że

„hipoteza Boga” jest jej niepotrzebna<sup>6</sup>. Myślę, że może to znaczyć, że świadomość Boga jest istotnym elementem ludzkiego umysłu i w ogóle człowieczeństwa. Ale znaczy to również, że intelekt nie jest właściwym narzędziem poznania Boga. Nie jest nim chyba dlatego, że Bóg nie może nigdy być pojmowany jako przedmiot, jeszcze jeden przedmiot poza wszystkimi przedmiotami istniejącej rzeczywistości, nawet jako przedmiot myśli. Bóg jest Stwórcą, więc – w kategoriach ludzkiej semantyki i składni – może być tylko podmiotem. O tyle może mieć rację ks. Freeman, że Bóg jest nade wszystko w nas, bo każdy z nas też jest podmiotem.

Wynikają z tego bardzo ważne wnioski praktyczne. Przede wszystkim ten, że intelektualny sąd „Wierzę w Boga” niekoniecznie oddaje poprawnie charakter relacji między mną a Bogiem. Tak samo sąd „Nie wierzę w Boga” niekoniecznie znaczy, że takiej relacji nie ma. Znam ludzi, którzy określają się jako niewierzący, a jednak obecność Boga w ich życiu bije w oczy jasnym płomieniem. Test jest prosty, bo Bóg jest miłością – i to taką, jaka się objawia nieomylnie w stosunku do innych ludzi. (Znowu *the man for others*). Ci „niewierzący” kochający innych ludzi, tym samym dają świadectwo, że kochają Boga, w rzeczy samej jedyne wiarygodne świadectwo, bo jak powiada św. Jan, kto mówi, że kocha Boga, którego nikt nigdy nie widział, a nie kocha bliźniego, ten jest kłamcą (I List św. Jana, roz. 4 w. 19). A więc i wiara w Boga, zadeklarowana lecz nie poświadczona miłością bliźniego, jest wiarą tylko werbalną, a tym samym nie istniejącą. Prawda, że akty miłości bliźniego też mogą być robione na pokaz i o tyle wyzute z istotnej Bożej treści, ale to już inna sprawa. Ważne jest, by zdać sobie sprawę, że granica między „wierzącymi” a „niewierzącymi” niekoniecznie

6. Oto kilka tytułów bieżącego angielskiego piśmiennictwa naukowego (głównie z dziedziny fizyki i kosmologii): Paul Davis: „*God and the new physics*” i „*The Mind of God*”; James Trefil: „*Reading the Mind of God*”; Robert Matthews: „*Guessing the Mind of God*”; Ian Stewart: „*Does God Cast Dice?*”; Leon Lederman: „*Particle God*”; Stanley L. Jaki: „*The Road of Science and the Ways of God*”. Ten ostatni autor, rzecz znamienna, jest historykiem nauki i zakonnikiem, benedyktyinem. Także słynna (przereklamowana) książka Stephena Hawkinga, zadeklarowanego ateisty, roi się od sentencji na temat Boga.

przebiega zgodnie z ich deklaracjami i że w społecznym życiu religijnym nie tylko na werbalnych deklaracjach należy polegać. Komplikuje to ogromnie wszelkie statystyki życia religijnego, ale na to już nie ma rady. Zawsze wiedzieliśmy, że Bóg lubi działać cicho i w ukryciu.

Rzecz jasna, że poza tymi cicho wierzącymi i ludźmi publicznie lecz równie autentycznie wierzącymi są także ludzie otwarci i całkiem uczciwie niewierzący. Ale są i tacy, którzy korzystają z charakterystycznej dla naszych czasów nieoczywistości wiary dla nadania szacownego pozoru prawdziwej motywacji ich niewiary. Chodzi o ludzi, którzy mówią sobie, parafrazując Dostojewskiego, że skoro Boga nie ma, to wszystko wolno. I neutralny aksjologicznie sekularyzm daje pełną swobodę działania także ich antywartościom. To jest ta naprawdę negatywna strona współczesnego sekularyzmu. Ale ta jego negatywna strona jest też najbardziej walnym argumentem, dla którego chrześcijaństwo nie powinno i nie może umrzeć, tak jak umierają kolejno jego paradygmatyczne historyczne wcielenia. Bo jest światu potrzebne. A chrześcijaninowi nie wypada wątpić, że Bóg, który jest w nas, jest też Panem historii.

Antoni POSPIESZALSKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

**KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.



z zewnątrz, ale wojna z nimi stała się nabrzmiałym wewnętrznym problemem Rosji.

Waga tego problemu polega nie na tym, że małe Czechenia opuści Rosję i zacznie się proces rozpadu Federacji: do takich obaw nie ma poważnych podstaw. Uzasadniony niepokój budzi natomiast stan armii, której rozpad postępuje prędko i – takie przynajmniej robi wrażenie – niepowstrzymanie. Powodów jest wiele: bezsens tej wojny; paradoksalna sytuacja naczelnego dowództwa (bowiem niezręcznie jest używać armii w wojnie domowej, zaś wojska ministerstwa spraw wewnętrznych nie są w stanie prowadzić dużych operacji bojowych), niezadowolone generałów z żołnierzy i żołnierzy z generałów.

Żaden z tych powodów ani wszystkie razem nie mogą ukryć faktu, że armia rosyjska przegrywa wojnę z garstką partyzantów, którzy wiedzą, o co się biją. Imperium rosyjskie, a potem sowieckie, przez całą swą historię miały status wielkiego mocarstwa dzięki temu, że dysponowały potężną armią. Dziś Rosja praktycznie wojska nie ma. Gazety rosyjskie są pełne informacji, za które jeszcze kilka lat temu autorzy zapłaciliby oskarżeniem o zdradę główną. Oficerowie wszystkich formacji – w służbie czynnej i emeryci – opisują, że żołnierzom i kadrze oficerskiej nie płaci się żołdu – nie mówiąc już o tym, że ledwie się ich karmi – że brak części zapasowych do broni i brak paliwa.

Publicyści zaczynają wspominać rozpad armii rosyjskiej na początku 1917 roku i jego skutki. Główna różnica – która doskonale charakteryzuje położenie imperium rosyjskiego w przededniu upadku i położenie spadkobierców imperium sowieckiego – polega na tym, że w 1917 roku kraj miał zapasy, których starczyło na cztery lata wojny domowej.

Ryzyko puczu wojskowego wydaje się odległe, bo armia rosyjska nie ma takiej tradycji. Jedyna próba powstrzymania bolszewików, podjęta jesienią 1917 roku przez generała Kornilowa, szybko skończyła się porażką. Politycy bez trudu poradzili sobie z wojskowymi. Dziś w wojsku Kornilowa nie ma. Kandydat na stanowisko prezydenta – generał Aleksander Lebied' zrzucił mundur i nie występuje w imieniu armii. Anatolij Kulikow, minister spraw wewnętrznych i generał, niespodziewanie wmieszał się do spraw, które go bezpośred-

## Sąsiedzi

### Notatki rosyjskie

Lutowe „Notatki” zamknąłem pytaniem, które Borys Jelcyn zadał gubernatorowi Niżnego Nowgorodu, Borysowi Niemcowowi, kiedy ten przyniósł na Kreml milion podpisów przeciw wojnie w Czechenii: „To za mną czy przeciw mnie?” Niemcow odparł: jeśli Jelcyn zakończy wojnę – za, jeśli nie zakończy – przeciw. Trudno o trafniejszy sąd: los Jelcyna znajduje się w rękach Jelcyna. W marcu wyszło na jaw, że nawet jeśli obecny prezydent Rosji rozumie, że dalsza wojna grozi mu porażką w wyborach, nie wie, jak ją zakończyć. Ścisłej mówiąc: wie, tylko nie jest w stanie zdecydować się na jedyne wyjście, jakie mu zostało – negocjacje z Dżocharem Dudajewem.

Szóstego marca partyzanci czecheńscy wymierzili armii rosyjskiej kolejny, ponizający cios. Grupa partyzantów (nie więcej niż tysiąc) na kilka godzin zawładnęła dużą częścią Groznego. Armia rosyjska, aby w grudniu 1994 zdobyć stolicę Czechenii, potrzebowała trzech miesięcy, przy czym do walk użyto piechoty, wojsk specjalnych (tzw. *specnaz-u*), artylerii, czołgów i lotnictwa. Federacja Rosyjska traci w tej bezsensownej wojnie nie tylko część swych terytoriów. Traci też – co znacznie ważniejsze – swoje wojsko.

Gdyby nie perspektywa wyborów, wojna w Czechenii mogłaby się ciągnąć w nieskończoność, nie spędzając obywatelom rosyjskim snu z powiek. Wojna w Afganistanie trwała dziesięć lat i gdyby Gorbaczow nie zabrał się do sanacji ustroju sowieckiego, mogła z powodzeniem trwać dalszych kilka lat, mimo że amerykańska pomoc dla mudżaheddinów wzrastała z roku na rok. Czecheńcy obywają się bez pomocy

nio nie dotyczą. Na posiedzeniu rządu zaproponował mianowicie nacjonalizację największych banków handlowych, by w ten sposób zdobyć fundusze na wypłatę pensji, których już od miesięcy nie wypłacano. Propozycję ministra spraw wewnętrznych, nie popartą przez wojsko, bezceremonialnie odrzucono, tym bardziej, że zagrażała ona bezpośrednio interesom wielu wysoko postawionych osobistości, na przykład Wiktora Czernomyrdina i burmistrza Moskwy Jurija Łużkowa. Są to ludzie, których otoczenie Borysa Jelcyna uważa za groźnych przeciwników dla prezydenta Rosji w jego walce o drugą kadencję.

Reformom zagraża nie wojsko, a komuniści, którzy – to jasne – w razie potrzeby postarają się przeciągnąć siły zbrojne na swoją stronę. Reformom zagraża szerzące się coraz powszechniej w społeczeństwie przekonanie, że kiedyś było lepiej – bo było prościej, bardziej zrozumiale, bardziej swojsko. Jednym ze świadectw tych nastrojów jest broszura „Antychryst w Moskwie”, wydana w 1995 roku przez Społeczny Komitet „O moralne odrodzenie ojczyzny”. Pod broszurą widnieje podpis protojereja A. Szargunowa, a także podpisy pisarzy, którzy jeszcze 10–15 lat temu uchodzili za chlubę literatury rosyjskiej: Walentina Rasputina, Wasyla Biełowa, Władimira Krupina. Autorzy twierdzą: „Rosja nigdy nie znała takich przestępstw, jakie dziś (1995) wstrząsają naszym społeczeństwem”. Te straszne plagi, zguba narodu rosyjskiego, to „rozpasana erotyka”, „rozpusta płciowa” oraz „ekumenizm – droga do nicości i satanizmu”.

Nikita Struve, naczelny redaktor wydawanego w Paryżu, Nowym Jorku i Moskwie *Wiestnika russkogo christianskiego dżiwienia*, ostro wystąpił przeciwko „Antychrystowi w Moskwie” (*Wiestnik* Nr 172). „Najwyższe stężenie zła wystąpiło – przypomniał Struve – poza wszelką erotyką, w epoce leninizmu i stalinizmu, kiedy, pod przymusem lub nie, brat zabijał brata, dzieci zmuszano do wydawania rodziców, wymordowano miliony ludzi. (...) W latach 20-tych, 30-tych, 40-tych można było mówić o Antychryście w Moskwie nieporównanie bardziej zasadnie, bo masowym mordom towarzyszyła nieznana w świecie walka z Bogiem, bałwochwalstwo władzy i żądzy zapanowania nad światem... O tym autorzy broszury nie pamiętają, insynuując, że zło przyszło na

Ruś wraz z wolnością (a wolność – czyż nie dar Boży?) z demokracją (najmniej złym z ustrojów społecznych), z pluralizmem (podstawowym prawem przyrody)”.

Jądem kampanii wyborczej jest pytanie nad pytaniami: czy powrót do przeszłości jest technicznie możliwy? Innymi słowy, czy można anulować wszystkie reformy i zrestaurować miły dziś wielu sercom ustrój sowiecki? Powrót ideologiczny jest – sądząc po licznych wypowiedziach w prasie i środkach masowego przekazu – zdecydowanie możliwy. Można wręcz, używając terminu Hannah Arendt, mówić o „banalizacji komunizmu” w umysłach współczesnych. Pozostają jednak detale techniczne: czy można będzie ponownie znacjonalizować wszystko, co zostało sprywatyzowane? Co można od razu, a co trochę później?

Techniczne problemy nie są tak proste, jakby się wydawało. Bohater „Psiego serca”, miły piesek Szarik, którego kilkoma ruchami skalpela zamieniono w proletariusza Szarikowa, wiedział jak to zrobić: wszystko odebrać i rozdzielić! Tak zrobiono w 1917 roku, ale potem przyszło przelać sporo krwi. Giennadij Ziuganow dostrzega ewentualne komplikacje: „Rozumiemy – zapewniam – że jeśli zaczniemy odbierać fabryki, zacznie się strzelanina od Murmańska do Władywostoku”.

Nie jest to zawsze widoczne, ale proces reformowania systemu karnego trwa. Pod koniec lutego 1996 roku ukazała się w moskiewskich księgarniach książeczka, która pewno znajdzie się na liście bestsellerów: „Obywatelski kodeks Rosji”. Książeczka jest drugą częścią, weszła w życie 1 marca. Część pierwsza obowiązuje od ubiegłego roku. Prawnicy uważają znaczenie kodeksu obywatelskiego za równie ważne jak uchwalenie konstytucji i dodają, że obecna konstytucja jest niesłuchanie spolityzowana, a kodeks obywatelski został napisany na stulecia. Zaszła cicha, bezkrwawa rewolucja: kodeks określa formy istnienia i działania w warunkach kapitalizmu. Dziś, kiedy przestrzeganie prawa ma w Rosji charakter względny, kiedy państwo nie spełnia swych obowiązków, liczne artykuły kodeksu obywatelskiego brzmią jak fantazja, ale to one będą określać normy życia.

Uregulowanie praw spadkowych, własności intelektualnej, stosunków z prawem międzynarodowym, odłożono do

tomu trzeciego. Ale i te problemy jakoś się rozwiązuje. Świadczy o tym ukaz, podpisany przez Jelcyna 7 marca 1996 roku. Wśród zagadnień odłożonych do trzeciego tomu widniała kluczowa sprawa własności ziemskiej. W tej kwestii społeczeństwem i parlamentem targały – i targają – zażarte spory. Komuniści i ich „patriotyczni” sojusznicy kategorycznie sprzeciwiają się prywatnej własności ziemi i wolnemu nią obrotowi. Ukaz z 7 marca wprowadził prywatną własność ziemską i wolny obrót. To jeszcze jeden „techniczny” szczegół, który – w razie zwycięstwa komunistów – bardzo utrudni pełną restaurację minionej epoki.

Na ile ich zwycięstwo jest prawdopodobne? Czy Giennadij Ziuganow może zostać prezydentem? Do wyborów zostały trzy miesiące, w sondażach szanse Borysa Jelcyna rosną. Wypłata zaległych poborów jest ważnym czynnikiem. Wydaje mi się jednak, że zabawa w sondaże, analiza procentów wyborców, którzy opowiadają się za tym lub innym kandydatem, w żaden sposób nie pozwalają przewidzieć wyniku wyborów. Rosja dopiero zmierza do demokracji, dopiero pragnie stać się państwem prawa. Należy więc brać pod uwagę i inne czynniki. Przede wszystkim rozpaczliwe pragnienie obecnego prezydenta, by utrzymać się przy władzy. Poza najbliższym kręgiem zwolenników Borys Jelcyn niewiele ma w ręku. Ludzie, którzy – świadomi wszystkich ułomności i niedostatków Jelcyna – rozumieją jednak, że daje on więcej szans na dalszą reformę kraju aniżeli jego byli towarzysze, mówią: złe jest wrogiem gorszego.

14.3.1996

Adam KRUCZEK

## Notatki Redaktora

50-lecie Instytutu Literackiego i *Kultury* i moich 90-u lat spowodowały powódź obchodów, reportaży, książek a nawet filmów. Poczuję się jak na własnym pogrzebie. Niektóre rzeczy były bardzo cenne, jak np. bibliofilskie wydanie pierwszego numeru *Kultury*, które zrobił Andrzej Peciak – jest to prawdziwe cacko sztuki drukarskiej, a także znakomity trzyczęściowy film telewizyjny Adama Kuczyńskiego pt. „Tratwa *Kultury*” przedstawiający opinie o naszej działalności kilkudziesięciu osób, nie laurkowe a czasami krytyczne, oraz numer specjalny *Plus Minus* – tygodniowego dodatku do *Rzeczpospolitej*. My sami właściwie o jubileuszu nie myśleliśmy i nie zamierzaliśmy go obchodzić. Ciągłe żyjemy aktualnością, pasjonują nas sprawy Polski i Europy, staramy się w miarę naszych – tak przecież małych – możliwości wnieść jakiś wkład myślowy do kształtowania przyszłości. Szereg przyjaciół i współpracowników umiera, niektórzy odchodzą. Trzeba, jak to się mówi w wojsku, *serrer les rangs*. Jak długo to potrwa, nie wiem. Zapewne niedługo, ale trzeba działać do końca.

Natomiast, co nam zrobiło wielką przyjemność i satysfakcję, to wielka ilość listów od naszych Czytelników, nie tylko z Polski, z wyrazami sympatii i solidarności. Są to ludzie nam w większości nieznanzi. Chciałbym w tym widzieć dowód, że coś z naszej działalności zostanie, że odcisnęliśmy jakiś ślad.

Z prawdziwą satysfakcją dowiedzieliśmy się o decyzji szefa Urzędu Rady Ministrów, p. Millera, przyznającej – miejmy nadzieję w sposób definitywny – monaster w Supraśli Kościołowi prawosławnemu.

Ostatnio wiele namiętności wzbudził projekt zbudowania autostrady przechodzącej przez terytorium Polski, łączącej Kaliningrad przez Białoruś z Rosją. Polskie czynniki oficjalnie kategorycznie tę informację dementują jak również władze rosyjskie, twierdząc, że to były tylko luźne projekty wysuwane przez prezydenta Białorusi, p. Łukaszenkę. Jednak sprawa nie jest wyraźna. Sądząc z wypowiedzi telewizyjnych kilku wojewodów było tą propozycją zainteresowanych i zaangażowanych w realizowanie projektu takiej autostrady. Albo jest to samowola wojewodów, zainteresowanych lokalnymi sprawami, albo ktoś tu kłamie. Czekamy na definitywne wyjaśnienie tej historii.

W ciekawej rozmowie, jaką w swoim czasie przeprowadził Wojciech Skalmowski ze Stefanem Kisielewskim, ten ostatni wspomina, że zajmował się przygotowaniem do druku dzienników Irzykowskiego. Potem jego prace kontynuował i doprowadził do końca Andrzej Dobosz. Jest to wydanie barbarzyńsko zmasakrowane przez cenzurę, która usunęła m.in. całe partie dotyczące krytycznych ocen różnych prominentów. Wywołuje zdziwienie, że Andrzej Dobosz zafirmował swoim nazwiskiem ten wybór. Karol Irzykowski, jeden z najwybitniejszych polskich krytyków, zasługuje na inne potraktowanie, i jest obowiązkiem ponowne wydanie dzienników w ich autentycznej wersji. Może by się podjął tego „Czytelnik”?

Prasa donosi o ciężkim kryzysie Stoczni Gdańskiej, są nawet wnioski o przeprowadzenie jej upadłości. Stocznia

Gdańska jest utrzymywana głównie ze względów politycznych. Budowa statków przynosi tylko straty. Szwedzcy eksperci podają jako przykład rok 1993 gdy budowa dwóch statków spowodowała straty 82 mld starych złotych. W październiku 1994 r. Stocznia Gdańska otrzymała dzięki rządowym gwarancjom kredyt z Banku Handlowego w wysokości 2 BILIONÓW, ale dziś znów nie ma pieniędzy. Nieco lepiej wygląda sytuacja stoczni w Szczecinie.

Kryzys europejskich stoczni zaczął się przed dwudziestu laty, gdy w pierw Japonia a później Korea Południowa zaczęły budować statki lepsze i za niższe ceny. Szczątki europejskiego przemysłu stoczniowego istnieją tylko dzięki dotacjom państwowym i ich dni są policzone. Jedyne Norwegia wychodzi obronną ręką. Norska Kvaerner działa sprawnie, gdyż jest wsparta wielkimi zyskami *off-shore*owymi i specjalizuje się w przejmowaniu za bezcen upadających stoczni i budową w nich statków specjalnego przeznaczenia. Tak przejęli np. stocznię Govan w Glasgow, Masa-Yard w Finlandii i Warnow Werft w Rostocku.

Jak polscy politycy są dobrze zorientowani w tej sprawie, dowodem jest Lech Wałęsa, który w czasie swej wizyty w Szwecji wyjaśnił, że przyjechał dla znalezienia sponsora dla Stoczni Gdańskiej. L. Wałęsa rozwija również swoje projekty ruchu społecznego, który ma objąć całą Europę – „taką nową ‘Solidarność’”. Redakcja *Svenska Dagbladet*, która go zaprosiła, potraktowała jego wypowiedź z życzliwą ironią. Pozostała prasa po prostu wizytę przemilczała.

Jak donoszą *Donosy*, Wojciech Jaruzelski przebywa z wizytą prywatną w Stanach Zjednoczonych, gdzie wygłasza odczyty o wprowadzeniu stanu wojennego. Generałowi towarzyszy minister edukacji Jerzy Wiatr. Jak wiadomo, toczy się postępowanie w sprawie odpowiedzialności za wprowadzenie stanu wojennego i nie jest rzeczą właściwą, że w takich podróżach generałowi towarzyszy urzędujący minister. Jeszcze jeden przykład braku taktu czy po prostu dobrego wychowania decydentów.

Zmarł w Anglii w wieku 81 lat Bogdan Znowski, żołnierz Brygady Karpackiej, sekretarz redakcji *Przy Kierownicy w Tobruku*. Ówczesny podchorąży Znowski był moim przyjacielem, którego przyjaźni i zaraźliwemu optymizmowi wiele zawdzięczam w czasie służby w Brygadzie Karpackiej w Tobruku i na pustyni. Przyjaźń tę zachowałem do końca.

REDAKTOR

## KSIAŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

**ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI**

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

**SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI**

## Kronika kulturalna

### Notatki po jubileuszu (50 lat *Twórczości*)

Większych artykułów i materiałów prasowych poświęconych przypadającemu w sierpniu zeszłego roku jubileuszowi *Twórczości* naliczyłem kilka. Wszystkie w gazetach codziennych i tygodnikach. Żadnego tekstu podsumowującego sześćset numerów najstarszego dziś miesięcznika literackiego w Polsce nie zamieściły ani pisma niewiele odeń młodsze, takie jak *Znak*, *Więź*, *Nowe Książki* czy *Odra*, ani też pisma najnowszej generacji (*Czas Kultury*, *Kresy*, *brulion*, *Fronda*, *Nowy Nurt*). Dla większości piszących o polskiej literaturze i kulturze *Twórczość* – jak się wydaje – przestała być punktem odniesienia. Poza IBL-owską serią *Sporne postacie literatury polskiej* nie ma zbyt wielu tekstów, które starałyby się na nowo odczytać (krytycznie, polemicznie czy apologetycznie) autorów publikujących przez pięćdziesiąt lat w *Twórczości*; prób zaś monograficznego opisu poszczególnych okresów historii pisma nie ma w ogóle (poza jedną pracą Wiesława Pawła Szymańskiego, stanowiącą drugą część wydanej kilkanaście lat temu książki „*Odrodzenie i Twórczość w Krakowie 1945-50*”). Warto więc, już po jubileuszu, zadać sobie pytanie, czy istotnie pismo to jest tylko zabytkiem przeszłości, który powinien cierpliwie czekać na swego archiwistę, czy też w *Twórczości* – tej przedwczorajszej, wczorajszej i dzisiejszej – możemy dowiedzieć się czegoś ważnego o nas samych.

Wszyscy autorzy jubileuszowych tekstów zwracali uwagę na cztery fazy rozwoju pisma, związane z osobami kolejnych redaktorów naczelnych. Tak też pomyślany został film Macieja Nowickiego i Marcina Więclawa, w którym o czterech

obliczach *Twórczości* mówią: Henryk Vogler, Wiesław Paweł Szymański, Jan Błoński, Marta Wyka, Michał Głowiński, Ziemowit Feddecki, Paweł Hertz, Andrzej Biernacki, Jerzy Lisowski, Tomasz Burek, Henryk Bereza, Rajmund Kalicki, Zdzisław Najder, Zofia Koreywo oraz Tadeusz Komendant (pokazany 4 lutego 1996 w TVP 1 w cyklu „Kultura duchowa narodu” film stanowił ostatni, trochę spóźniony, choć interesujący akcent obchodów jubileuszowych). Mieliśmy więc, to nie ulega wątpliwości – *Twórczość* Kazimierza Wyki, Adama Ważyka, Jarosława Iwaszkiewicza; mamy – Jerzego Lisowskiego.

Pierwszy okres ukazywania się *Twórczości* – redagowanej przez Wykę, w Krakowie (1945-1950) – to czas tekstów będących artystyczną i intelektualną reakcją na wojnę, o której w czwartym numerze pisma Przyboś napisze, że była czasem, kiedy „wyważone zostały fundamenty natury ludzkiej”. Publikowane wówczas w *Twórczości* teksty będą więc z jednej strony próbami zapisu doświadczenia wojennego koszmaru i okupacyjnej codzienności, z drugiej znajdzie się w nich miejsce na kontynuacje rozpoczętych już w czasie wojny dyskusji. Taką kontynuację stanowiła między innymi rozpisana przez redakcję ankieta o literaturze międzywojennej oraz o kryzysie kultury mieszczańskiej.

Od samego początku pismo ujawni tę właściwość, która wyznaczy jego charakter na dalsze kilkadziesiąt lat. Będzie mianowicie pismem kilku pokoleń. W pierwszych rocznikach znajdują się obok siebie teksty Staffa, Dąbrowskiej, Szaniawskiego, Iwaszkiewicza, Peipera, Wyki, Miłosza, Andrzejewskiego, Filipowicza, Bieńkowskiego, Bobkowskiego, Bolesława Micińskiego, Borowskiego, Różewicza, Żukrowskiego, Bratnego, Baczyńskiego, Gajcego. Tu zostaną opublikowane po raz pierwszy fragmenty „Życia na niby” i „Szkiców piórkiem”, „Sprzysiężenia” i „Jeziora Badeńskiego”. Tu ujrzą światło dzienne utwory tak ważne i tak różne zarazem, jak „Traktat moralny” Miłosza i opowiadania obozowe Różewicza. Nie od razu jednak zostaną zrozumiane.

Nie zabraknie też w *Twórczości* szkiców o sztuce i literaturze światowej, jak również samej literatury zagranicznej, zwłaszcza w tym pierwszym okresie obficie obecnej na łamach pisma. Już trzeci numer przyniesie obszerną „Kolumnę poezji

rosyjskiej”, z wierszami Achmatowej, Błoka, Cwietajewej, Lermontowa, Mandelsztama, Pasternaka, Puszkina. Pięć miesięcy później ukaże się numer z okazałych rozmiarów „Arkuszem poezji francuskiej”, zawierający między innymi utwory Apollinaire’a, Aragona, Eluarda, Jacoba, Mallarmego, Rimbauda, Supervielle’a. Taki właśnie wybór pierwszych, obszernych prezentacji literatury obcej nie będzie zapewne sprawą przypadku. Pismo poświęcając tej literaturze przez prawie cały czas swego istnienia nie mało miejsca, dbać będzie jednocześnie o zachowanie równych proporcji pomiędzy Wschodem i Zachodem, literaturą naszych bezpośrednich sąsiadów i literaturą światową. Literatura rosyjska i francuska staną się zaś specjalnością firmową pisma, wyróżnikiem jego jakości. *Twórczość* poświęci im po kilka istotnych numerów monograficznych. Tu na przykład, w słynnym do dziś numerze z kwietnia 1957 roku, ukaże się pierwodruk jednego z rozdziałów „Krytyki rozumu dialektycznego” Sartre’a; tu fragmenty „Requiem” Achmatowej zostaną opublikowane na dwadzieścia pięć lat przed drukiem poematu w ojczyźnie poetki (dwa lata przed *Twórczością* „Requiem” pojawi się w paryskiej *Kulturze*). Trzeba pamiętać przy tym, że *Twórczość* przez wiele lat będzie miała kilka tysięcy prenumeratorów w Związku Sowieckim, między innymi dzięki systematycznym i wyczerpującym przeglądom światowej prasy literackiej. Szerokie otwarcie pisma na świat możliwe było między innymi dzięki benedyktyńskiej pracy Anny Baranowskiej (literatura angielska i amerykańska), Ziemowita Feddeckiego (literatura rosyjska), Romana Karsta (literatura niemieckojęzyczna), Zbigniewa Bieńkowskiego oraz dzisiejszego redaktora naczelnego Jerzego Lisowskiego (literatura francuska). Istotną rolę, jaką na kształt pisma wywarła osoba Bieńkowskiego, mocno przy okazji jubileuszu podkreślał Michał Głowiński.

*Twórczość* Ważyka (1950-1954), przeniesiona do Warszawy i przekształcona w organ Związku Literatów Polskich, to – mówiąc delikatnie – czas wielkiej nudy. Mówiąc dosadnie: czas serwilizmu i głupoty, za co jednak zbyt łatwo byłoby obarczać odpowiedzialnością jedynie redaktora naczelnego. W artykule zamieszczonym w *Polityce* (nr 31/95) Andrzej Mencwel wysuwa przypuszczenie, że może „znajdą się kiedyś paleografowie, którzy prześwietlą wszystkie warstwy ukrytych

w osobliwym grafolekcie znaczeń i wtedy również redaktor *Ważyk* zostanie sprawiedliwie odczytany". Być może tak się kiedyś stanie, na razie jednak lista autorów i tytułów tekstów z tamtego okresu wystarczająco zniechęca do lektury. Dość powiedzieć, że trzy kolejne numery z drugiej połowy 1950 roku otwierają teksty Józefa Wissarionowicza Stalina. Poza tym w *Twórczości* z tego okresu znajdziemy – jak przypomina Michał Głowiński – „ogromne socrealistyczne powieści, beznadziejne krytyki literackie, czasem reportaże i – w dziale „Na widnokręgu” – ortodoksyjne, agresywne komentarze polityczne”.

Dwadzieścia pięć lat *Twórczości* redagowanej przez Jarosława Iwaszkiewicza (1955-1980) to z kolei – co zgodnie, choć nie z taką samą intensywnością, podkreślają wszyscy – okres największej świetności pisma. To czas ważnych numerów monograficznych (numer francuski, numer wydany w 60 rocznicę odzyskania niepodległości, numer poświęcony Brzozowskiemu...), druku istotnych dla polskiej literatury tekstów prozatorskich Strykowski, Andrzejewskiego, Nowakowskiego, Czyża, Stachury, Iredeńskiego oraz comiesięcznej, rzetelnej pracy krytycznej. Biorę do ręki trzy letnie zeszyty z trzech roczników oddalonych o dziesięciolecie (1958, 1968, 1978) i przepisuję kolejno niektóre nazwiska z listy autorów: Białoszewski, Bereza, Lipski, Kijowski, Pomian, Najder, Jastrun, Parandowski, Jasienica, Wyka, Kwiatkowski, Bienkowski, Iwaszkiewicz, Błoński, Nowak, Przyboś, Sławiński, Głowiński; dalej także: Różewicz, Jan Józef Szczepański, Burek, Nowakowski, Smolka; jeszcze dalej: Drewnowski, Wojdowski, Stabro, Balcerzan, Zaworska, Szpakowska, Matywiecki, Bolecki, Wojciech Karpiński. To tylko autorzy polscy, z obcych pojawiają się między innymi: Proust, Camus, Foucault, Sapir, Auden, Bunin, Trifonow, Hrabal. Ma rację w swoim artykule Mencwel, kiedy zwraca uwagę, że Iwaszkiewiczowski okres *Twórczości* to „gra pełną klawiaturą”. W tym czasie wciąż publikują w piśmie jego najstarsi autorzy, a z roku na rok dołączają do nich następni, coraz to młodszy. Z wybitnych pisarzy i krytyków krajowych tego okresu w *Twórczości* brak chyba tylko Konwickiego.

Wszystkie jubileuszowe wypowiedzi o Iwaszkiewiczowskiej *Twórczości* są jednocześnie przyczynkiem do portretu jej

redaktora. Jerzy Lisowski mówi, że stosunki w redakcji były teocentryczne; inni również zwracają uwagę na przywiązanie Iwaszkiewicza do hierarchii, zarówno w kontaktach z autorami, jak i w rodzaju publikowanych tekstów. Zarazem jednak w *Twórczości* mógł być drukowany autor, który (jak Stachura) nic jeszcze nie opublikował, natomiast inny, mający na swym koncie dwadzieścia tomików, odchodził z kwitkiem. Głowiński przypomina, że choć *Twórczość* była pismem niebywale otwartym, trudno wyobrazić sobie, by mogły się tam znaleźć teksty trzeciorzędnych autorów partyjnych w rodzaju Władysława Machejka. Iwaszkiewicz dbał o poziom pisma i o swoich autorów, do których, jak wspomina Zdzisław Najder, miał stosunek nader opiekuńczy (Najderowi właśnie załatwił u Moczara w dwa dni paszport, dzięki czemu mógł on wyjechać na leczenie za granicę). Iwaszkiewicz był nonkonformistą w sprawach literackich i artystycznych (utrzymywał na przykład stałe kontakty z pisarzami emigracyjnymi), za co płacił swoim konformizmem politycznym. Bereza tłumaczy postawę polityczną Iwaszkiewicza jako świadomą kontynuację dziewiętnastowiecznej tradycji ratowania substancji kultury narodowej. Wszyscy podkreślają zaś, że *Twórczość* w tym czasie była miejscem schronienia dla całej rzeszy wybitnych polskich pisarzy, była oazą wolności i rzetelności w świecie zakłamania, łatwizny i nudy.

Taka sytuacja trwa mniej więcej do połowy lat siedemdziesiątych. Zmiana następuje w konsekwencji pojawienia się drugiego obiegu i coraz częstszego ukazywania się tekstów pisarzy krajowych w pismach emigracyjnych. Cały pierwszy numer *Zapisu* złożony został z tekstów zdjętych przez cenzurę właśnie z *Twórczości*; fakt ten świadczy tyleż o sile i bogactwie pisma, co o jego słabości i rozpoczynającej się marginalizacji. Proces ten pogłębia się w związku z opuszczeniem kraju najpierw, po 1968 roku, przez przedstawicieli warszawskiej szkoły historyków idei; potem, w stanie wojennym, przez pisarzy z pokolenia Nowej Fali.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy redaktorem naczelnym *Twórczości* jest Jerzy Lisowski (od 1980), nie może więc to już być pismo takie jak wcześniej. W związku z pojawieniem się nowych tytułów, powstaniem drugiego obiegu oraz zwiększeniem dostępności wydawnictw

emigracyjnych – *Twórczość* i dla autorów, i dla czytelników traci pozycję monopolistyczną. Nabiera wyrazistszego profilu, który w powszechnej opinii łączony jest z gustami literackimi Henryka Berezy. Ale bibliografia prozy publikowanej w *Twórczości* w latach 1976-1994 pokazuje, że bynajmniej nie jest tak, iżby *Twórczość* od lat dwudziestu zamieszczała utwory wciąż tych samych autorów. Zwrócił na to uwagę w artykule w *Wiadomościach Kulturalnych* (nr 31/1995) Marek Pieczara, najłagodniej oceniający najnowszy okres pisma. Inni jednak, wśród jubileuszowych podsumowań, podkreślają, że z pismem „stało się coś złego” (Marcin Piasecki w *Gazecie Wyborczej* z 1 sierpnia 1995); że dziś „nie obfituje ono w jakieś nadzwyczajne wydarzenia” (Bronisław Mamon w *Tygodniku Powszechnym*; nr 34/1995); że przestali być jego entuzjastami (Andrzej Mencwel w *Polityce*). Uczestnicy filmu o *Twórczości* jeszcze wyraźniej krytykują pismo: że zaczęło być „miejszem wypowiedania się pewnej grupy literackiej, szkoły literackiej” (Błoński) lub „ołtarzem, na którym Henryk Bereza odprawia swoje obrzędy” (Burek).

Czy dzisiaj warto więc czytać *Twórczość*? Zanim odpowiem na to pytanie, chcę raz jeszcze zwrócić uwagę na istnienie bardzo wyraźnej różnicy między kontekstami, w jakich pismo funkcjonuje w latach dziewięćdziesiątych, a w jakich funkcjonowało w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych. I nie chodzi tylko o odmienną kontekstu politycznego, ale również o zmieniony sposób funkcjonowania literatury (zniesienie cenzury, wolny rynek książki, powstanie dużej ilości nowych pism artystycznych i literackich) oraz o dokonujące się przekształcenia cywilizacyjne (coraz powszechniejsza dostępność przekazów audiowizualnych i rozwój technik multimedialnych). Dziś *Twórczość* jest tylko fragmentem bardzo bogatej – różnej pokoleniowo, środowiskowo i artystycznie – konstelacji pism literackich i społeczno-kulturalnych. Nie sposób mówić na temat polskiej literatury współczesnej czytając tylko *Twórczość*, gdyż pismo to, choć samo różnorodne, nie jest w stanie oddać (bo nie może, a i nie musi) całej różnorodności naszej literatury. Skoro mamy duży wybór, *Twórczość* trzeba dzisiaj wybierać (nic więc dziwnego, że nakład wynosi teraz trzy tysiące egzemplarzy, z czego około jedną czwartą stanowią zwroty). Ja osobiście bardzo często

wyberam *Twórczość*, bo stereotypowa ocena, jaka przyrosła do tego miesięcznika, nie zmienia faktu, że cały czas znaleźć w nim można dużo dobrych tekstów.

Czytam w *Twórczości* prozę (choć tylko jej część mi się podoba) coraz bardziej przekonując się, że „szkoła Berezy” jest zjawiskiem bardziej z dziedziny socjologii literatury niż estetyki, gdyż prozaicy publikujący w tym piśmie bywają całkiem odmienni od siebie. Zyta Rudzka różni się od Krzysztofa Bieleckiego, Tomasz Sęktas od Marka Bukowskiego, a Krystyna Sakowicz od Pawła Przywary. Częściej od prozy jednak czytam zamieszczane przez *Twórczość* eseje, szkice krytyczne i recenzje. Zawsze (poza smętnym okresem początku lat pięćdziesiątych) było to pismo drukujące dużo dobrej eseistyki humanistycznej i krytyki literackiej. Można tu było spotkać z jednej strony teksty Camusa, Levi-Straussa, Barthesa, Bachtina, Junga czy Gadamera; z drugiej zaś Strzeleckiego, Bartoszewskiego, Kieniewicz, Janion, Białostockiego, Pomiana lub Kołakowskiego. Dziś wprawdzie *Twórczość* drukuje znacznie mniej zagranicznych eseistów, natomiast rodzimych tekstów z tego gatunku jest w niej wciąż dużo (w numerach z kilku ostatnich miesięcy znajdziemy interesujące szkice Stefana Morawskiego, Ryszarda Przybylskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Tomasza Burka czy Małgorzaty Szpakowskiej).

Krytyka literacka w *Twórczości* to prawie cały przegląd powojennych krajowych dokonań: od Wyki, Kwiatkowskiego i Bieńkowskiego – przez Burka, Błońskiego, Berezę, Kijowskiego, Głowińskiego, Sławińskiego – do Szpakowskiej, Mencwela, Zaworskiej, Smolki, Boleckiego, Beresia, Zadury, Drzewuckiego i Komendanta. Warto pamiętać o tym, że na przykład istotne książki krytyczne Kwiatkowskiego, Bieńkowskiego czy Kijowskiego w całości, bądź prawie w całości złożone są z tekstów publikowanych wcześniej w *Twórczości* (wszyscy są zarazem mistrzami felietonu literackiego). Dziś w *Twórczości* nie ma już autora comiesięcznych publikacji, na które czekałoby się z utęsknieniem, jak niegdyś na felietony Andrzeja Kijowskiego (Dedała), choć wielu admiratorów ma na przykład „Oniriada” Henryka Berezy. Nie brak pismu natomiast konsekwencji, co sprawia, że odróżnia się ono wyraźnie od innych miesięczników i kwartalników. W opinii



Tadeusza Komendanta, takim wyróżnikiem pisma jest dzisiaj „pewien program w dziedzinie prozy, a także umiarkowany tradycjonalizm w obrębie pozostałych działów”.

Na koniec czas spojrzeć na *Twórczość* jako na całość, gdyż taką całość niewątpliwie stanowi. Różne fazy istnienia pisma nie przekreślają bowiem zasadniczego odczucia, które ma się przeglądając jego kolejne roczniki: *Twórczość* to nie tylko nadzwyczaj bogaty almanach tekstów z różnych półek humanistycznej biblioteki, to przede wszystkim jedna z najważniejszych instytucji polskiej powojennej kultury. Przeżywająca, jak cała ta kultura, swoje wzloty i upadki. Jest oczywiste, że bez *Twórczości* kultura polska ostatniego pięćdziesięciolecia wyglądałaby całkiem inaczej; dziś więc rozumienie zarówno jej przeszłości, jak i terażniejszości ubożeje, gdy się o tym zapomina. Niestety, to, co Miłosz pisał w *Twórczości* pięćdziesiąt lat temu, dziś także pozostaje prawdziwe, choć w zupełnie innej sytuacji: „Literatura polska rozwija się paroksyzmami. Na sygnał alarmowy schodzi się z pola, zostawiając niedokopaną bruzdę, kosze i motyki, które wkrótce powleka rdza dziejowych niepogód. To nie znaczy jeszcze wcale, że da się uciec od przymusu kontynuacji, tej gorszej, bo mało świadomej”.

We wspomnianym tu już tekście, Andrzej Mencwel zwrócił uwagę na potrzebę zestawienia ze sobą „najważniejszego kulturalnego pisma krajowego z najważniejszym pismem emigracyjnym”. Wcześniej taką potrzebę porównania ze sobą *Kultury* i *Twórczości* sygnalizowała Grażyna Pomian w katalogu wystawy poświęconej historii pisma z Maisons-Laffitte. Pisała tam, że *Kultura* i *Twórczość* są tymi dwoma miesięcznikami, bez których „nie można napisać współczesnej historii literatury polskiej. Każde z tych pism ma swoich stałych autorów; gdy porównuje się obie grupy, trudno rozstrzygnąć, która z nich jest lepsza i ma większe znaczenie dla kultury polskiej”.

Z pewnością nie można będzie zrozumieć polskiej kultury dwudziestego wieku bez uważnej lektury i analizy obu pism. To fascynujące zadanie wiąże się jednak z zasadniczą trudnością. *Kultura* bowiem to pismo polityczne z bardzo dużą ilością dobrej literatury; *Twórczość* zaś to pismo literackie, nie wolne jednak od uwikłań politycznych. Dopiero

więc znalezienie kategorii opisu innych, niż tylko literackie i zarazem innych, niż tylko polityczne, pozwoli uchwycić naprawdę istotne podobieństwa i istotne różnice między oboma miesięcznikami.

Paweł RODAK

## WYRÓŻNIENIA POLCUL FOUNDATION

Na kolejnym posiedzeniu w dniu 9.03.1996 Dyrekcja Fundacji przyznała dalszych 18 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruchu kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce oraz współpracy i przyjaźni z jej sąsiadami. Wyróżnienia otrzymali:

- Stanisław CZERKAS – za działalność na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej  
 Izabela DZIEDUSZYCKA – za działalność w ruchu „Przymierze Rodzin”  
 Jerzy GOŁĘBIEWSKI – za prowadzenie Domu Pomocy „Słoneczny” w Otwocku  
 Włodzimierz KOPERKIEWICZ – za pracę społeczną na terenie Opoczna  
 Narcyz KOZŁOWSKI – za pracę społeczną na terenie Pomorza  
 ks. Kazimierz KUC – za pracę społeczną na terenie Krakowa  
 Cezary LEŻEŃSKI – za pracę społeczną w Kapitulce „Orderu Uśmiechu”  
 ks. Zbigniew MALINOWSKI – za pracę społeczną w Towarzystwie Salezjańskim  
 Wanda MIECZKOWSKA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-litewskiej  
 Teresa PAKOSZOWA – za pracę na rzecz przyjaźni polsko-ukraińskiej  
 Adam PIETRZAK – za działalność w ruchu „Przymierza Rodzin”  
 Hanna REMBERTOWICZ – za pracę społeczną w Stowarzyszeniu Przymierza Rodzin  
 Danuta ROSNER – za pracę społeczną w Kapitulce „Orderu Uśmiechu”  
 Jacek Krzysztof ŚWIĘTOŃSKI – za pracę społeczną w Lubelskiej Fundacji Rozwoju w Lubartowie  
 Krystyna TARGOŃSKA – za pracę społeczną w Lubelskiej Fun-

dacji Rozwoju w Lubartowie

Elżbieta TARKOWSKA – za prowadzenie Domu Pomocy „Słoneczny” w Otwocku

Gabriela WYSZYŃSKA – za pracę społeczną w Lubelskiej Fundacji Rozwoju w Lubartowie

Alicja ZBYDEL-STANČZYK – za pracę społeczną w Polskim Towarzystwie Ekonomiki Gospodarstwa Domowego

Z wymienionych osób:

4 – otrzymują wyróżnienia im. Eudoksji Rakowskiej

4 – otrzymują wyróżnienia im. Krystyny i Bolesława Singler

6 – otrzymuje wyróżnienia im. Ireny i Karola Dowoyna-Sylwestrowicz

Informacje w sprawie kryteriów wyróżnień oraz zgłaszania kandydatów można otrzymać od przedstawicieli Fundacji POLCUL w Polsce. Są to:

– Jan HANASZ, ul. Krasińskiego 57 m. 10, TORUŃ; tel. 2-82-06 oraz

– Anna KONDRACKA, ul. Bogusławskiego 20 m. 80, WARSZAWA; tel. 663-26-39

lub też zwracając się wprost do:

POLCUL FOUNDATION

P.O.Box 193

ROSE BAY, 2029, Australia

tel. (61-2) 326 2863; fax: (61-2) 331 5697

**UWAGA:** Fundacja wyróżnia osoby indywidualne. Wysuwanie własnej kandydatury nie jest możliwe.

#### KOMUNIKAT FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ

W latach 1994-1995 ze stypendiów Funduszu skorzystały 42 osoby – 16 historyków, 7 historyków sztuki, 7 polonistów, 3 pisarzy, 2 tłumacze, 2 malarzy, 2 rusycystów, 1 muzykolog, 1 romanista, 1 archeolog. Poza osobami z Polski wśród stypendystów Funduszu byli naukowcy z Białorusi (2 osoby), z Bułgarii (1), z Litwy (1) i z Ukrainy (1). Większość stypendiów została zrealizowana we Francji (miesięczne pobyty), dwa we Włoszech, dwa na Ukrainie i dwa w Polsce.

Łącznie na stypendia Fundusz przekazał 201.000 franków francuskich, koszty administracji wyniosły 5.013,83 FF. Działalność prowadzona była przede wszystkim dzięki subwencjom norweskiej fundacji Fritt Ord, a także w oparciu o wpłaty indywidualne i wpływy uzyskane z operacji bankowych.

Zasady przyznawania stypendiów: o stypendia mogą ubiegać się pisarze, publicyści, artyści oraz naukowcy w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych. Stypendia przyznawane są na okres nie dłuższy niż jeden miesiąc – na pobyty za granicą. Wysokość jednorazowej dotacji wynosi zwykle 5.000 FF. Ta sama osoba nie może otrzymać stypendium wcześniej niż przed upływem pięciu lat. Podanie powinno zawierać życiorys, informacje o dorobku twórczym oraz program pobytu za granicą. Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Podania prosimy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP,  
31, rue de Garlande,  
77-220 Tournan-en-Brie  
Francja

Wojciech SIKORA  
(sekretarz Funduszu)

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.  
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.  
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

## Książki

### „Mamo, biją” czyli dalszy ciąg końca Wielkiej Wojny

Powieść Macieja Krasickiego pt. „Mamo, biją”, otrzymała od rzeczywistego jej autora kształt relacji Michała Konarskiego, kilkunastoletniego chłopca, przetrucanego z matką i babką w sierpniu 1944 r. z Przemysła na Ziemię Zachodnie w ramach „przesiedleń” towarzyszących przejmowaniu władzy przez Sowiety. Nowym, tymczasowym zresztą adresem powojennym jest sanatorium organizowane przez ojca, ewiżnia Dachau, w poniemieckim pałacu w Bogutowie. Politycznym tłem dojrzewania rzekomego autora relacji jest końcowy okres okupacji niemieckiej, exodus z rodzinnego miasta i początki PRL-u.

Michał zdąży jeszcze „oberwać kopa” od gestapowca, pochować w Przemysłu dziadka – uosobienie szlacheckich patriotycznych wzruszeń, być świadkiem wkroczenia Armii Czerwonej i redukcji mienia do „umebłowanego” wagonu w „bydlęcym” pociągu, jadącym niemal na ślepo na Zachód z transportem „przesiedleńców” łudzonych obietnicą czekającego ich u końca podróży dostatku. Czytelnikom „Mamo, biją” automatycznie narzuca się porównanie tej podróży z relacjami o koszmarnie wywózek z Kresów na Wschód. Ale i tu na przypadkowym postoju w polu okazuje się, że co prawda nie brak bimbru a nawet śliwownicy, ale nie sposób „zorganizować” deski na trumnę. Syn zmarłej z trudów podróży kobiety złożyć musi zwłoki wprost do ziemi w pośpiesznie wygrzebanej jamie. Ceremonii żałobnego pochówku towarzyszy pieśń „Serdeczna Matko” zaintonowana przez Mamę z tytułu powieści, śpiewaczkę.

Relacja jest tak sugestywna, że w Michale, postaci fikcyjnej, czytelnicy wychowani na literaturze zsyłkowej i obozowej w głodzie autentyzmu dopatrują się w powieści elementów autobiografii autora – ten jednak świadomie uprawia grę z czytelnikiem i zreżymuje zmusza do czujnego sprawdzania chronologii i topografii wydarzeń i porównań z wcześniejszymi opisami analogicznych sytuacji. Falsyfikat? – Nie. Powieść historyczna. Tak, jak „odwilżowe” okupacyjne nowele Zawieyskiego czy Kazimierza Brandysa.

„Prawdziwy koniec wielkiej wojny” Zawieyskiego wysuwa się w tych podejrzeniach na plan pierwszy z tego przede wszystkim powodu, że i tu tematem utworu jest kryzys małżeństwa rozbitego wojną, a jeśli nawet los obszedł się łagodniej z Mamą z powieści Krasickiego niż z Różą Zborską Zawieyskiego, istota rzeczy jest ta sama. Warto przytoczyć odpowiedni fragment powieści Krasickiego:

„Masz takie młode surowe oko i gotowość sądzenia innych – tłumaczy Michałowi bardzo skądinąd lekkomyślna Mama, która spotkała [w podziemnej Warszawie] cudownego człowieka i bardzo go pokochała, i nie myśl o Mamie że jest winna. W czasie tej wojny skarbem było mieć kogoś, kogo kochasz i być przez niego kochanym. Byłabym zupełnie kimś innym, gdybym go nie miała. Byłabym smutną, zapłakaną babą. A mnie się chciało żyć... Ja Taty nie widziałam prawie sześć lat. My oboje będziemy musieli się z sobą oswajać i poznawać na nowo” (s. 55).

co się w praktyce nie udało. A wcześniej relacjonuje Michał:

„Otworzyłem drzwi i zobaczyłem Mamę skuloną i głośno płaczącą. Podszedłem do niej.

– Mamo, co się stało?

Popatrzyła na mnie zapłakanymi oczami i nic nie powiedziała.

– Nie powiesz, co się stało?

– Powiem... Zginął ktoś, kogo bardzo kochałam.

– Bardziej niż Tatę?

– Bardziej.

Odwrociła głowę i dalej płakała. Położyłem rękę na jej ramieniu i tak chyba było jej lepiej” (s. 23).

Nie ten jednak romans dominuje na kartach powieści. Mama nie odnajduje kontaktu z mężem, nadal rozpaczliwie jej oddanym – z trudem poznała go po wojnie na dworcu

„jakiegoś zburzonego miasta” w postaci „całkiem siwego i bardzo chudego pana, który dla odmiany ujrzał przed sobą świetnie się prezentującą Mamę i stopniowo dopiero odkrywał w niej alkoholickę szukającą zapomnienia w tanich seksualnych przygodach i spragnioną powrotu na estradę drugorzędną śpiewaczkę. „Mamą” jest od siedmiu boleści. Pod nieobecność ojca chłopca wychowuje właściwie babka i tym tłumaczą się atawistyczne odruchy chłopca oczekującego u Mamy objawów tęsknoty do ojca i wspólnego planowania życia. Brutalność towarzysząca poznawaniu przez chłopca „faktów życia” nadaje „niebu w płomieniach” Michała swoistą nowoczesność. Przedstawienie tego procesu bardzo się Krasickiemu udało.

(Przypadek sprawił, że „Mamo, biją” czytałem równoległe z „Le Testament Français” Andreia Makine’a. Uderza zbieżność roli Babki, rówieśniczki Michałowej, rola fotografii z albumów rodzinnych i realiów epoki w formowaniu się osobowości narratora. Polska krótka powieść dobrze wytrzymuje porównanie ze świeżo nagrodzonym Prix Goncourt 1995 bestsellerem).

W połowie powieści Krasickiego uwaga czytelnika przenosi się na obraz życia – a raczej prób przedłużenia życia – przesiedleńców i b. jeńców w sanatorium dla gruźlików ulokowanych w ponemieckim pałacu w Bogutowie, żalostnej replice „czarodziejskiej góry”. Ordynatorem jest tu nieco po judymowsku pojęty ojciec Michała. Bardzo istotną częścią „Mamo, biją” są rozmowy owego lekarza, ex-więźnia Dachau, z dwoma pacjentami – „panem Mazurem” i „panem Pieronkiem” na temat właściwego ułożenia stosunków polsko-niemieckich w okresie przemieszczeń ludności i aktualności problemów zemsty i (czy) zapomnienia. Reprezentacyjny „pan Mazur” – rodem z Lidy, w poszukiwaniu formuły porozumienia walczy z koszmarem wspomnień o brutalnym mordowaniu na zimno żydowskich niemowląt przez gestapowców – a był ich bezsilnym świadkiem:

„– Ty mnie podejrzewasz – mówił do Taty – że myślę tylko o zemście. To nieprawda. Ja uważam, że Niemcy są ciężko chorym narodem i wystarczy podzielić ich na strefy okupacyjne. Oni muszą dotrzeć do swojej winy i zrozumieć ją a sami tego nie zrobią”, „podział i okupacja Niemiec nie były wcale konieczne. Wystarczyło,

by na jakiś czas wykluczyć ich spośród innych narodów”, „zerwać wszystkie kontakty. Ogłosić zakaz handlu z Niemcami. Zamknąć granice, nikt do nich nie jeździ, ani też żaden Niemiec nie wyjeżdża z kraju. Nie zwiedzają Paryża ani Wenecji”, „trwa okres żałoby”. „To powinny być warunki kapitulacji i ten czas wstydu zostałby na zawsze w ich świadomości, ich historii” (s. 77).

Ojciec Michała odnosi się do tej koncepcji sceptycznie. Uważa, że Niemcy w takim okresie wyklęcia, skazani tylko na siebie, upokorzeni, odrodziliby się jako naród nienawidzący wszystkich dokoła”. Tak wówczas oceniano sytuację...

Ojciec Michała określił swoje stanowisko do przydzielonej mu do pomocy domowej Niemki, malarki, ze studiami w Kolonii. „Mama” uważała, że „nie jest ważne kto i jakie studia kończył”, gdyż, jej zdaniem, tej obecnej służącej „pomimo świetnej edukacji do głowy by nie przyszło, że mogłaby zaprosić do swojego stołu kogoś z jej polskiej służby”. Ojciec Michała widział to inaczej. Gdy mu ją przydzielono „miał do wyboru: albo zachować się obrzydliwie jak większość Niemców [wobec Polaków] albo zachować się tak jak normalny człowiek i wybrać to drugie. Pomyślałem sobie, dlaczego mam się upodabniać do nich. Naszym nieszczęściem byłoby gdybyśmy teraz zaczęli prześladować ich tak samo jak oni nas prześladowali” (s. 58).

Owa malarka, Inga „o krótkich, przy samej skórze obciętych włosach” jest bohaterką epizodu o dużej wymowie. Ojciec, wybierając się na spacer z dwoma wyżej wspomnianymi pacjentami i Michałem, proponuje, by zabrać ze sobą Inge: „będzie szła obok i będzie zbierała sobie liście”. „Jeśli mnie pytasz o zdanie – odezwał się pan Mazur – to radzę zostawić ją tutaj, nie brać na spacer”. Dlaczego? – bo obawia się że Niemka, po powrocie do swoich, powie im „że było jej tu dobrze, nie była głodna, nikt jej tu nie bił, tylko jednego nie mogła znieść – pogardy”. Ojciec Michała sądzi inaczej: „Powie, że była cały czas zamknięta w domu. Bała się wychodzić. Zapamięta ten pobyt tu jako koszmar – i to im powie”. Panowie poszli na spacer sami...

Jeśień 1945. Nad organizacją życia w Bogutowie czuwa przysłany przez nowe polskie władze komendant, major Rusiak. Zainteresowaniami swymi obejmuje i miasto, i pod-

miejski pałac, który jego zdaniem lepiej nadawałby się do innych niż sanatorium celów. Szkołę, w której uczył się Michał, wizytuje z ramienia majora kapitan, pilnie obserwujący działalność wykładowców a w szczególności księdza-katechety. Ten zaś podejmuje ostrożne próby przeciwstawienia się naporowi „nowego”. „Żyjemy teraz – dowodzi — zwycięzcy i pokonani w świecie gruzów i grobów. I zamiast pokory i zawstyżenia, proponuje się nam wiarę w człowieka i w jego rozum” (s. 88) – i tu powoływał się na okoliczności nawrócenia się św. Pawła i pytał: „Jeżeli Boga nie ma, jak uważają postępowi uczeni, to znaczy że św. Paweł kłamał. Jeśli odrzucimy jego świadectwo, to trzeba znaleźć odpowiedź skąd w jego życiu taka moc i oddanie się Chrystusowi?” Była to pośrednia replika na wykłady profesora biologii, który nawoływał uczniów do „pożegnania się ze starym obrazem świata i podążania nowym torem”.

Sprawa miała ciąg dalszy. Rozpoczęło się przepytywanie uczniów, o czym mówił im ksiądz oskarżany przez dyrektora (i UB) o nieodpowiednie zachowanie się i wyśmiewanie z ludzi o postępowych poglądach. „Ja nic takiego nie słyszałem”, „nie słyszałem żeby ksiądz kogoś obraził” – zdecydowanie zaprzeczył wezwany jako świadek Michał. W głębokim jego przekonaniu ksiądz „był nawet przesadnie łagodny i dobroniosy”. Siedmioro spośród uczniów uparło się jednak, że słyszało jak „obrażał i wyśmiewał postępowych uczonych” i dało temu wyraz w zaniesionym do dyrektora proteście. „Oni na nas wołali ‘ministranci’ a my na nich ‘konfidencki’”. Babcia pochwaliła postawę Michała: Dziadek byłby z niego dumny.

To tylko początek finału powieści. Następnego dnia nie mniej stanowczo Michał dosłownie wypędził z domu Mamę zastawszy ją *in flagranti* z dziarskim prostakiem, Romanem, który poprzednio dobierał się do Ingi. Tego samego dnia gorliwy nauczyciel przytąpał Michała na uzupełnianiu wezwania „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” słowami „łączcie się albo się nie łączcie, róbcie co chcecie”. Takich właśnie niepokornych szukało UB.

Przedmiotem działalności UB-owców było także sanatorium a właściwie mieszczący je piękny pałac. W ramach zręcznej manipulacji wybuchł w nim pożar, zadziwiająco

sprawnie ugaszony, pacjentów szybko ewakuowano, lekarz – ojciec Michała – nie był już potrzebny a na mieszkanie jego czekali już następni lokatorzy. Towarzysz spacerów „pan Mazur” posądzony o działalność spiskową i namawianie do niej pacjentów a przy tym świadomy okoliczności podpalenia pałacu przez UB-owców, popełnił samobójstwo. W pożegnalnym liście napisał, że „nie ma sił żyć” i „cały czas ma uczucie, że zabłądził”. Chorych rozproszono po różnych szpitalach. Ksiądz „przeprószył wszystkich, których dotknęła jego opinia o postępowych uczonych” (s. 90). Posądzonego o znajomość prawdy o podpaleniu Michała napadło i pobiło dwu drabów. Wylądował w szpitalu. Inga podsumowała sytuację słowem „Kaputi”.

Przyspieszenie akcji i doprowadzenie jej do hurtowego finału nie wyszło powieści Krasickiego na dobre. Autor zdaje się wymagać od czytelnika docieklivosti wiążącej się z lekturą „kryminałów”, co osłabia wymowę przekazu i wiąże się z nadmiarem niedopowiedzeń i może utrudnić przekłady powieści.

Mocną stroną prozy Krasickiego jest prowadzenie dialogów, a w szczególności wypowiedzi Mamy – a także jej przemilczeń albo porywczych przeczeń. Milczeć, kiedy trzeba, potrafi także Michał. Ojciec nie dowiedział się od niego prawdy o przyczynie wygonienia Mamy. „Nic się nie stało”, „ojciec niczego się nie domyślił i pogodny poszedł spać”. Czy dziadek byłby z niego dumny? Nie wiem. Czy Mamę należy potępić za sprzeniewierzenie się ideałom rodziców? Czemu autor wprowadził epizod o podpaleniu bajkowego pałacu (s. 11)? Czytelnik empiryczny może się tych wyjaśnień domagać. Co kierowało postępowaniem Ojca w stosunku do żony; wyrozumiałość, rezygnacja, zmęczenie?

Autor postąpił odważnie, umieszczając fikcyjne osoby i wydarzenia w kontekście dziś już historycznych wydarzeń, których sam nie mógł być ani świadkiem ani uczestnikiem. Myślę, że wywiązał się dobrze z postawionego sobie zadania.

Feijó (Portugalia), 2 marca 1996

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## „Mogło was nie być”

Zdumienie przemijalnością rzeczy trwałych, solidnych i trwałością rzeczy kruchych, niemalże ulotnych – oto jeden z podstawowych rysów poezji Janusza Szubera. Ukazały się właśnie dwa pierwsze tomy z planowanego pięcioksięgu\*: „Paradne ubranko” oraz „Apokryfy i epitafia sanockie” (ten ostatni gromadzi utwory pisane w latach 1969-1991). Oba zbiory wydane zostały nakładem dr Grażyny Jarosz z Oslo, co warto dodać, gdyż podobne inicjatywy nie należą wciąż jeszcze do zjawisk codziennych.

Mamy do czynienia ze spóźnionym debiutem. Autor, urodzony w roku 1948, należy metrykalnie do „pokolenia 68”. Ale nie tylko metrykalnie: zapewne można by się tu doszukiwać pokrewieństw z innymi autorami tej generacji, lecz reprezentującymi nurt mniej głośny niż grupa określana mianem Nowej Fali – Bohdanem Zadurą (wpisywanym czasem w obszar poetyckiego ruchu Orientacji Poetyckiej Hybrydy), Piotrem Sommerem, Małgorzatą Baranowską, Stanisławem Zajączkiem czy Józefem Kurylakiem, też zresztą późnym debiutantem. I może przy okazji warto tu stwierdzić, że czas już najwyższy przełamać nawyk pisania o „pokoleniu 68” wyłącznie w odniesieniu do formacji nowofalowej – poezja tej generacji jest o wiele bogatsza, obejmuje przynajmniej kilka nurtów, nie powinno się jej zatem redukować do zjawiska co prawda ważnego w planie pokoleniowych i programowych sporów, lecz z pewnością nie dającego pojęcia o całości obrazu. Tym bardziej, że debiut nowofalowy opisywany bywa najczęściej jako poezja kontynuująca nurt romantyczny, gdy wymienieni tu autorzy bliżsi są zapewne postawie klasycyzującej, w której historyczność widziana jest z kulturowego dystansu i której bardzo wyrazistym znakiem rozpoznawczym jest delikatna nuta humoru, ironicznego nawiasu, w jaki wpisywane jest doświadczenie doraźne.

\* Janusz Szuber: „Paradne ubranko i inne wiersze”, Sanok (1995), s. 32; Janusz Szuber: „Apokryfy i epitafia sanockie”, Sanok (1995), s. 56.

Nie znaczy to, że historyczność jest tu eliminowana: przeciwnie – stanowi ona ważny punkt odniesienia w próbie określenia tożsamości Miejsca – w tym wypadku Ziemi Sanockiej. Tu zresztą wpisuje się autor w dość silny obecnie nurt tych poszukiwań literackich, dla których odkrywanie regionalnej tożsamości stanowi jedno z zadań pierwszych. Rozpoznawanie własnych dziejów, odcyfrowywanie znaków starych dokumentów i fotografii, wpisywanie w nie nowych znaczeń, to zabiegi dość dzisiaj częste i warte uwagi. Być może w najnowszej literaturze polskiej geografia zaczyna odgrywać rolę większą niż historia. Przy czym często chodzi tu o produkcję nowych sensów przez detale, cytaty, pojęcia i obrazy wypływające niespodziewanie z przeszłości na powierzchnię czasu naszej egzystencji. Z tego punktu widzenia istotne wydają się objaśnienia Szubera dotyczące sposobu budowy wiersza „Las wielki i niedźwiedziów dosyć”, który, jak czytamy, „składa się prawie wyłącznie z cytatów. Pochodzą one z pism i dokumentów dotyczących Ziemi Sanockiej w jej historycznych granicach, i ułożone w logiczną i zrytmizowaną całość stanowiąc mają, w intencji autora, rodzaj polifonicznej wypowiedzi, jaką daje zebrane z różnych epok świadectwo języka”. Oczywiście – sprawdzaniem praworządności i rzetelności przypisów Szubera zajmować się winni specjaliści od polonistycznej dłubaniny, wszelako nawet jeśli jest to czysta kreacja, w której objaśnienia do wiersza egzystują na prawach integralnej części utworu, nie ma to większego znaczenia. Ich prawdziwość określa bowiem nie zgodność z cytowanymi dokumentami (te mogłyby nawet nie istnieć) lecz funkcja estetyczna, jaką pełnią w utworze. Podobne chwytły powtarzają się także w innych tekstach, jak choćby w „Nieruchomej podróży” wykorzystującej fragmenty wydanego w 1906 roku „Przewodnika po Galicyi i Bukowinie”.

Owo przenikanie przeszłości i współczesności, mieszanie różnych językowych świadectw, zderzanie dawnych i nowych obrazów – wszystko to służy jakiemś nowemu zakorzenieniu, o którym mowa w zamykającym pierwszy zbiór dystychu:

*Moje korzenie jak węże*

*W rozpadlinie Miejsca*

*(„Korzeń i skrzydło”)*

Owo zakorzenie, ta „nieruchoma podróż” opisywana w wierszach Szubera, to wyraz potrzeby zadomowienia, odrzucenie nomadyjskiego, wędrownego modelu życia i kultury. Tak pojmowana idea regionalizmu, bardzo wyraźnie przenikająca tę poezję, pokrewna jest uniwersalizującym prowincję ideom pisarstwa Stanisława Vincenza. Uderza w tym kontekście zwłaszcza epicki rozmach tej poezji, jej spokojna, rytmiczna fraza, długi oddech. To jeden z tych debiutów, który winien zapaść w pamięć miłośników poezji: dojrzały, spójny wewnętrznie, wyposażony we własną – jeśli można tu ukuć taki termin – historiozofię Miejsca. Nie chciałbym w tych refleksjach szczegółowo analizować „uroków Ziemi Sanockiej” wpisanych w te wiersze – zrobią to z pewnością inni, warto też zapewne poczekać na całość zapowiadanego pięcioksięgu. Istotne wydają się jednak nie same realia – choć zapewne ważne – lecz sposób ich traktowania.

W tej koncepcji budowania własnego świata niezwykle wagę zyskuje detal, drobiazg wypływający na powierzchnię strumienia czasu. Tak dzieje się w wierszu „Co się stało z Dyonizym?”. We wprowadzeniu doń pisze autor o odkrytej w różowym pudełku „(firma Henryk Treter – Parowa Fabryka Czekolady i Cukrów Deserowych we Lwowie)” pisance malowanej dla kuzynki Olimpij przez Dyonizego. I oto:

*Zniknął cielesny skażony  
Dyonizy. Pamięć o nim przetrwała  
w kilku literach imienia i dacie  
wypisanych na pustej skorupce  
pisanki. Która jak się okazało  
trwalsza od przedmiotów ze szlachetnego  
kruszczu i od niejednej monarchii  
lub Rzeczy Pospolitej.*

Rytm czasu odtwarzany jest rytmem wiersza, rytm wiersza – rytmem opowiadanych w nim epizodów, przywoływanych w jego obrazach fragmentów dziejów dawnych i współczesnych w przekonaniu, że – jak w „Przyczynku do entomologii” – „jednak coś można wyrwać, ocalając / choćby

na chwilę, z żarłocznego / gardła Wielkiego Nic”. Istnienie poświadczone poezją – chwilą poezji, która trwa poza i ponad czasem – dostępuje łaski ocalenia, wpisuje się w kosmos, którego centrum stanowi Miejsce.

*Dom na odludziu, kamienisty jar, pasieka,  
stary Ukrainiec pokazuje obok ikony nad łóżkiem  
swoje  
zdjęcie w mundurze drugiego pułku strzelców  
podhalańskich.*

(„Suplementy”)

To miejsce jest składnicą obrazów i opowieści, mitów i zdarzeń rzeczywistych, których porządki przenikają się wzajemnie, zaplatają w tkankę egzystencji jednostek i zbiorowości. Tego właśnie przekonania jest zapewne wyrazem wyznanie narratora, wypowiadającego się w wersach zamykających drugi z omawianych tomów Szubera:

*głoszę zachwyt  
składam świadectwo  
bronię przed nicością  
byty nazwy insygnia  
osadzone w rzeczach*

*mogło was nie być  
a jednak jesteście  
(„Powroty”)*

Ocalanie świata nie ma tu jedynie charakteru poetyckiego zabiegu magicznego. To coś więcej. Owo „mogło was nie być” dotyczy bowiem trwania wbrew jeszcze niedawnej historii, oporu wobec jej presji – niwelującej różnorodność i wielogłosowość. Ten wymiar poezji Szubera wydaje się równie istotny jak jego artystyczna nośność.

Leszek SZARUGA

## „Wallenrodów sto tysięcy...”

Omawiana tu książka\* ukazała się już trzy lata temu, ale zasługuje na przypomnienie nie tylko z tego względu, że jest dobrze – tzn. spokojnie i rzeczowo – napisana, lecz także dlatego, iż przeszła w Polsce raczej bez echa mimo, że porusza temat wciąż jeszcze nieprzedawniony. Temat ten w swoim czasie Gustaw Herling-Grudziński nazwał „szkieletem w szafie”, a później Jacek Trznadel w tytule swej książki z 1986 (Biblioteka „Kultury”, t. 422) – „Hańbą domową”. Chodzi o współpracę dużej części polskich intelektualistów – zwłaszcza pisarzy – z reżymem komunistycznym w jego najbardziej wirulentnym okresie, czyli w czasach stalinowskich. Stanisław Murzański (ur. 1923, w czasie wojny w ZWZ i AK, po wojnie w WiN-ie, w latach 1948-1955 w więzieniu) w pierwszych zdaniach „Wprowadzenia” tak określa cel swej książki: „Raz po raz rozbrzmiewa lub pojawia się w druku słowo niepodległość [...]; z dnia na dzień rosną szeregi osób powołujących się na swoje zasługi w walce o niepodległość, tych natomiast, co ojczyznę niepodległości pozbawiać dopomagali, wciąż jakby nie było. W związku z poruszonymi tutaj sprawami w przeszłości pojawiały się słowa takie jak ‘zniewolenie’, ‘uwiedzenie’ [...] oraz bardziej wyrafinowane – ‘ukąszenie heglowskie’ czy ‘nowa wiara’ [...] Ale młodszy z Polaków chcieliby na pewno wiedzieć [...] na czym owo ‘uwiedzenie’ czy ‘zaczadzenie’ polegało [...], mają prawo domagać się wyjaśnienia, w czym tkwiła istota ‘hańby domowej’, zanim potępią ojców, pociotków i wujów lub udzielą im absencji”.

Książka dzieli się na trzy części: pierwsza (pt. „Pod sztandarem postępu” omawia prosowiecką aktywność polskich literatów na terenach zajętych przez Rosjan w 1939, szczególnie we Lwowie, oraz czasy pełnego „socrealizmu” po wojnie; następna („Przestawianie drogowskazów”) kontynuuje

\* Stanisław Murzański, „Między kompromisem a zdradą” (Intelektualiści wobec przemocy 1945-1956), Volumen, Warszawa 1993, str. 272.

ten temat łącząc go z niewystarczającym – zdaniem autora – odżegnaniem się osób zainteresowanych od swej przeszłości. Dla scharakteryzowania tonu książki przytoczę podsumowanie tej drugiej części (str. 172-3):

„Nie wyłonił się ze środowiska polskich ‘dysydentów’ żaden Koestler, nie zastąpi ‘Ciemności w południe’ Andrzejewskiego ‘Apelacja’ ani Brandysa ‘Nierzeczywistość’. Nie powstała żadna książka, która uczciwie i w miarę chociażby wyczerpująco odpowiedziałaby na stawiane tamtemu ponuremu czasowi pytania. Milczą lub zagadują sprawę ci, na których spoczywa *obowiązek* torowania drogi prawdzie o złym czasie, złych ludziach, złych czynach. Dlatego między innymi, że był to czas ich złudnych tryumfów i rzeczywistego upadku. Tego właśnie zdają się nie rozumieć ci, którzy na stalinowską przeszłość proponują zapaść kurtynę milczenia, jak gdyby już na ten temat wszystko zostało powiedziane. A tym, którzy ‘od początku się nie mylili’ doradzają: ‘niech cieszą się w sobie’. Tym, co tej radości dostąpić nie mogą, bo od dziesięcioleci spoczywają w ziemi, nigdy się nie przejmowali ani podsądni, ani ich wyrozumieli obrońcy. Dla nich dramat, jaki rozegrał się po wojnie na polskiej ziemi, zdaje się mieć wciąż jeszcze ten sam wymiar: zawodu, jakiego doznali zbyt łatwo uwierzywszy w wielkość ‘ery komunizmu’. Nadal nie widzą, bo to ich zwalnia od odpowiedzialności, dramatu narodu”.

Twarde stanowisko, bez wątplenia. Logiczną więc rzeczy kolejną trzecia część („Rany i blizny”) poświęcona jest dyskusji ze współczesnymi reprezentantami stanowiska „miękkiego”, doradzającego łagodność i wyrozumienie. Stanisław Murzański za typowe sformułowanie tej postawy uważa słowa Adama Michnika z jego książki „Szanse polskiej demokracji”: „...obowiązywać winna w tej mierze presumpcja dobrej woli. Oznacza to, że należy dawać wiarę temu, co ludzie mówią o swych motywacjach i – osądzając postęпки po skutkach – raczej usprawiedliwiać złe skutki dobrymi intencjami, niż dopatrywać się w ludziach pobudek niskich. [...] celem ich wszystkich była obecność w życiu narodu i obrona tego, co



wydawało się możliwe do obrony” (cytuje za omawianą książką, str. 200-201). Sam tytuł książki Murzańskiego – „Między kompromisem a zdradą” – świadczy, że autor jej nie jest tego samego zdania, a w każdym razie nie w sensie powszechnej amnestii moralnej. Jego zdaniem zjawisko współpracy z komunizmem było nie tyle heroicznym zmaganiem się intelektualistów z „rwałym nurtem historii”, co raczej tykaniem pospolitej wody Vichy. Słusznie podkreśla on jednak, że każdy wypadek winien być oceniany oddzielnie – czego nie widać w sformułowaniu Michnika, zwłaszcza w ostatnim cytowanym zdaniu. Dodam od siebie, że „miękkie” stanowisko obejmuje wyłącznie osoby – mówiąc elegancko – „zaangażowane po stronie lewicy”, podczas gdy na grób Józefa Mackiewicza pluje się po dziś dzień raczej bez takich skrupułów.

Powiedziałem wyżej, że omawiana książka napisana jest spokojnie i rzeczowo, choć zdaję sobie sprawę, że może nie wszyscy czytelnicy tej recenzji się z tym zgodzą. Słowa „naród”, „wierność”, „zasady” itp. budzą bowiem obecnie nieufność, częściowo uzasadnioną, ponieważ terminy te zostały w ostatnich latach wprowadzone do niesamowitych rozgrywek politycznych i często służą jako narzędzia szantażu i zastraszenia. Ale podobnie ma się rzecz z terminologią zwolenników postawy „miękkiej” – słowa „rozumienie”, „tolerancja”, „kontekst historyczny”, „ideologia postępu” kojarzą się coraz częściej nie z ich znaczeniem słownikowym, lecz z ich funkcją totemiczną, czyli wytyczaniem granic „poprawności politycznej”, poza którą rozciąga się już tylko ciemne terytorium, zamieszkałe jakoby wyłącznie przez „oszołomów”, kołtunów czy zgoła faszystów. Nie powinno się więc zapominać, że Stanisław Murzański przemawia w imieniu dużej grupy ludzi, którzy naprawdę nie zaakceptowali narzuconego Polsce reżymu i zapłacili za to bardzo drogo. Takie głosy się liczą i z takimi głosami też należy się liczyć.

M. BROŃSKI

## „Odkrywanie Ameryki”

Będąc na 2-tygodniowym rejsie morskim na Północnym Atlantyku, z racji mojej pracy w Instytucie Rybackim na wschodnim wybrzeżu Ameryki, przeczytałam wydaną niedawno książkę Danuty Mostwin „Odkrywanie Ameryki”. Nie mając dobrej książki trudno byłoby tu wytrzymać. Pogoda deszczowa, okręt huśta, co jest normalne wczesną wiosną na wodach Gulf of Mine, a w dodatku pracuję na nocnej zmianie i są przerwy między jedną siecią pełną ryb, a następną.

Czytając tę kolejną książkę Danuty Mostwin zachwyciłam się – jak wielokrotnie przedtem czytając jej inne książki – intuicją w odczuwaniu nas wszystkich: Polaków w Ameryce.

„Odkrywanie Ameryki” to zbiór opowiadań o życiu zarówno starej emigracji, jak i powojennej, a także opis pierwszej wizyty autorki w Polsce w 61 roku, gdy powracają wspomnienia wojenne. Równocześnie autorka z niezwykłą trafnością porównuje dwa różne światy: „czuję, jak przepływa przeze mnie ocean, dzieląc mnie na dwie istoty, z których jedna nie rozumie drugiej”. Inne opowiadanie to fragment z sagi rodzinnej z okresu przedwojennego, a w innym opisuje pierwsze powojenne chwile na Saskiej Kępie; moment wkroczenia berlingowców i witających ich „bezsłownie” mieszkańców, a później oczekiwanie na powrót mężów i ojców z oflagów i rozpacz podejmowania decyzji opuszczenia kraju. I wreszcie urywkowy obraz z życia w Polsce Ludowej niezwykle jaskrawo przedstawiający tamtą egzystencję.

Autorka początkowo odkrywała Amerykę w latach 50-tych jako pracownik opieki społecznej, a więc poznawała tę stronę życia o której najmniej się wie. Zetknęła się z nędzą w najbardziej ubogiej dzielnicy miasta i to zetknięcie było jeszcze bardziej bezpośrednie gdy jej podopiecznymi byli polscy emigranci, przeważnie ludzie starzy. W każdym opowiadaniu o życiu polskich emigrantów powracają obrazy z dalekiej oraz niedalekiej przeszłości w Polsce.

Fragmety z odległej przeszłości przeżywane są powtórnie w świadomości ludzi starych, których bieda zmusiła w młodości do opuszczenia kraju. Wspomnienia te również odzywają, gdy przychodzą listy „ze starego kraju”, tak wszystkie podobne jedne do drugich, wyciągające ręce o pomoc. (Identyczne prawie listy tłumaczyłam dla potomków „starej Polonii” dwie dekady później).

Bardziej żywe i wyraziste są sceny i wspomnienia z bliższej przeszłości tych, którzy przeżyli okupację i Powstanie Warszawskie i znaleźli się w Ameryce po wojnie. Danuta Mostwin umiała nawiązać z nimi specjalny kontakt, należeli bowiem do „ligi wtajemniczonych”, „nasze podobieństwo polegało na tym, że żyliśmy jednocześnie w dwóch światach, na zawsze przepołowieni”.

Bardzo smutna jest historia Henryki z opowiadania „Jokasta”, której syn zaraz po wojnie ożenił się z Niemką. Henryka straciwszy wszystkich podczas okupacji przyjechała na stałe do syna, który osiedlił się w Ameryce. I jest tu dużo więcej niż stereotypowy brak zrozumienia pomiędzy teściową a synową. Greta rozmawia z mężem i z dzieckiem po niemiecku. Jest ten sam słyszany nie tak dawno „dźwięk języka”. Ale właściwa tragedia następuje dopiero później.

Czytając historię Jana, Grety i jego matki Henryki, przypomniało mi się jedno zdanie powiedziane przez przyjaciela naszej rodziny, mieszkającego od przeszło 30 lat w Monachium. Z racji swej pracy miał prawo do ubiegania się o obywatelstwo amerykańskie, co też uczynił. Zapytany dlaczego nie przyjął obywatelstwa niemieckiego odpowiedział, że Matka by mu tego nigdy nie wybaczyła – a miał wtedy około pięćdziesiątki.

Opowiadanie „Dwa listy” dokładnie odgaduje moje własne myśli, bo mój „związek z otoczeniem jest również luźny, a przynależność do przeszłości nierealna” – a moje listy do przyjaciół w Polsce zupełnie jak „List pierwszy” – bo moje przyjaciółki „znają moją młodość, a ja znam ich młodość” i to nas wiąże. Ale właściwie się nie znamy”, bowiem za dużo lat upłynęło od mego wyjazdu z Polski i każda z nas przeżyła życie osobno.

Klasyczne też są uwagi autora „Listu” o pewnej Francuzce, którą poznał na *party* u znajomych: „figura jej miała

miękką kobiecość, którą samodzielne Amerykanki zatracają”. Takie dosłownie są spostrzeżenia mojego męża, który nieraz mówi „aż dziw – ile tych starszawych kobiet, wysokich, kanciastych, o spojrzeniu świdrująco badawczym” i jeszcze dodaje: *et si mal élevées*. (Dodać trzeba, że mieszkamy w New England). Mój mąż nie czytał książek Danuty Mostwin, bo języka polskiego nie zna – jest Portugalczykiem.

Ja natomiast zgadzam się zupełnie z Francuzką Simone, że Amerykanie raczej przypominają omelety, a nie mężczyźni.

Najważniejsze jednak, co mnie uderzyło w tej książce, dotyczy opisanych przez autorkę z wnikliwością socjologa podobieństw pomiędzy nową generacją „polskiej” młodzieży, a naszymi własnymi dziećmi. Wyjeżdżając do Ameryki, nie myśleliśmy wtedy, że nasze dzieci staną się częścią całkiem innej kultury. A brak bliższych i dalszych krewnych oraz kręgu przyjaciół da się nam ogromnie we znaki w okresie dorastania naszych dzieci.

Byliśmy sami przeciwko ogromnej sile obcych wpływów.

Nasza córka będąc w podobnej sytuacji, co Grażyna z książki, na miejscowym balu polonijnym wraz z rodzicami – powiedziała by na pewno to samo o „tańcu szkieletów” nie chcąc w ogóle brać w tym udziału.

Muszę również przepisać tu dosłownie myśli generałowej z opowiadania „Córki”, bo generałowa myślała o swojej synowej tak samo jak ja myślę w tej chwili o dziewczynie, która prawdopodobnie zostanie moją synową: „Lubię ją, jest taka łagodna, a jednocześnie chłopięca. Maszeruje wielkimi krokami, nieświadoma potrzeby kokieterii, a w oczach ma tyle troskliwej słodyczy”.

Zbiór tych opowiadań dociera w wielu kwestiach do głębi spraw rozdzierających serca emigrantów. W sumie nie można się od tej książki oderwać, szczególnie komuś, kto sam „odkrywał Amerykę”.

Krystyna KLESZCZYŃSKA ESTEVES

## Wiersze znad Dźwiny

„Chcę być koniecznie nazwany!

.....  
 Jesteś spod Krasławia”.

(K. Hłakowiczówna)

*Habent sua fata flumina.* Temat – rzeka. Bo każda rzeka robi karierę literacką inaczej. Państwa powstają i zanikają, granice się przesuwają. Dworki się podpała, drzewa wytrzebują, pola przeoruje. W pół-zapomnianej części Europy tylko rzeka jest wierna. Tym bardziej dla mieszkańców równin stanowi ona główny wyznacznik przestrzeni, organizuje wyobraźnię, nadaje poczucie tożsamości. Tak to przynajmniej odczuwał Jerzy Stempowski: „Być sobą, być sobą – *this above all* – mówi Hamlet – można, zdaje się tylko w jakiejś więzi, konkretnej czy idealnej, ze swoją rzeką, z krajobrazem swojej ściślejszej ojczyzny, rodzonej czy przybranej”.

O sielance naddźwińskiej napomknął w XVI-ym wieku Maciej Strykowski, gdyż „... ci, co nad Wilią i Dźwiną osiedli / W gęstych lasach, spokojny żywot sobie wiedli”. Potem kronikarz bez widocznego zakłopotania opowiada, jak różni Wolguni i Witeni lud siekali, fundament z trupów uścielali, ogniem i mieczem burzyli. Czy z tych czy z innych powodów ze wszystkich rzek Rzeczypospolitej Obojga Narodów najbardziej oddalona Dźwina najdłużej świeciła nieobecnością w podświadomości zbiorowej. Dopiero teraz jej kariera literacka doczekała się wstępnego opracowania książkowego w postaci antologii pt. „Polskie wiersze znad Dźwiny” (Wrocław 1994) pod redakcją Agnieszki Durejko.

Redaktorka tomu wyłowiała z wodnego lamusa koło dwudziestu poetów, którzy czerpali natchnienie z czarnego, milczącego nurtu inflanckiej rzeki, w starożytności nazywanej Rubonem. Nie dąży do kompletności, antologia to nie monografia. Tomik obejmuje wiersze twórców etnicznie inflanckich, etnicznie polskich czy pomieszanych, z poetkami działającymi podczas XX-lecia międzywojennego włącznie.

Utwory są znad Dźwiny, dotyczą różnorodnej tematyki. Przeważająca część repertuaru jest jednak poświęcona wielkiej (dla Olgi Daukszty nie wiernej, lecz zmiennej i zazdrosnej) rzece, która *nota bene* wywodzi się z tej samej rodzinnej kolebki co Dniepr, Wołga, Bug, Dniestr i Niemen.

W tomiku przeważają wiersze podpisane konkretnymi nazwiskami. Natomiast w notach biograficznych uderza coś w rodzaju zbiorowego anonimatu. Wiele z biogramów ujawnia tyle, że „bliższych danych brak”. Dotyczy to następujących poetów: Ignacy Chrapowicki (a nuż potomek XVII-wiecznego pamiętnikarza Jana Antoniego Chrapowickiego, urodzonego w majątku Podberzezie pod samym Witebskiem?) Aleksander Moroz Hossowski, Jadwiga Korecka, Antoni Kolankowicz, Onufry Korkorewicz, Antoni Kruman, Hanna Nialawicka, P.A., Zofia Rujkówna. O wiele lepiej udokumentowani są literaci o nazwiskach typowo polsko-inflanckich (Borch, Bujnicki), a także dynastia pisarska skoligaconych rodzin: Konstancja z Ryków Benisławska (1747-1806), jej prawnuczka Jadwiga z Benisławskich Manteufflowa oraz wnuk tej ostatniej, Jerzy Manteuffel.

Na dobrą sprawę Dźwina zaczyna wyrabiać sobie wizerunek poetycki dopiero w 1836 r. w sonecie Onufrego Korkorewicza („Do Dźwiny”). Zastanawia nieco na tym odcinku przestrzennym i czasowym brak wzmianki o „bardzie Białorusi” Janie Barszczewskim oraz Janie Czczocie. W prawie dwadzieścia lat po „Balladach i romansach”, gdy wciąż „Na brzegach Niemna, Wili, słychać bardów pień” (Ignacy Chrapowicki), a Mickiewicza utożsamiano z rzeką, którą rozstawił, Czczot chciał wylansować naddźwiński kraj. Będąc na zesłaniu, dokonał do spółki z pięknymi szlachciankami przeróbkę literacką 94 pozycji i ogłosił je w zbiorze pt. „Piosenki wieśniacze znad Niemna i Dźwiny” (1839), do tego dochodzi jeszcze 10 nie przetłumaczonych („pierwotne”) pieśni w wydaniu z 1844 r.

Tymczasem w wierszu pt. „Dźwina” (1842), na tle odpowiednio nastrojonej scenerii – błądy upiór księżycy, czarne bory, zakłęcia wichru – Ignacy Chrapowicki każe staremu Rubonowi rozpamiętywać pożary zamków inflanckich i ponurą przeszłość. Poeta właściwie rzuca wezwanie programowe. Chodzi mu o odrobienie całej balladomanii świtesko-

wileńskiej, o założenie programu dla ewentualnej szkoły regionalnej.

Były to na razie tylko wytyczne. Dopiero niejaki P.A. w utworze pt. „Na dąb w Inflantach” przypomina realia dziejowe. Dopisuje przeszłość legendarną, a do postaci historycznych pierwszych biskupów ryskich doczepia aparat mitologiczny Baublisów i Perkunów. Całe to intensywne dorabianie rodowodu mitycznego działo się na łamach pisma Rubon, które wychodziło nieregularnie w latach 1842-1849 pod redakcją Kazimierza Bujnickiego. Nad Wisłą uchodziło za pismo „białoruskie”. Ówczesna „Biblioteka Warszawska” wypominała naddźwińskim zwolennikom poezji, że w braku legendy autentycznie ludowej sami wymyślają fikcyjne podania romantyczne w celu ukształtowania „miejscowej czyli rodowej poezji” nad Dźwiną.

Występujący w antologii Wincenty Pol, jako obcy, może być posądzony o chęć połączenia osobistej fascynacji krajobrazem ze spełnieniem obowiązków topografisty naukowego, poety-geografa. Nuta szczerości autobiograficznej wybrzmiewa dopiero w wierszu Tadeusza Łada Zabłockiego. Jego łyż pożegnalne miały się sprawdzić życiowo – śmiercią od cholery na Kaukazie. Dziwnie też potoczyły się koleje losu niegdyś wydajnego i poczytnego poety Edwarda Słońskiego. Wyjechawszy dobrowolnie z okolicy rodzimej wracał do niej jako wygnaniec. W jego dorobku zresztą topografia, typowo szlachecka (dworek i stuletni sad) ukonkretniła się, staje się bardziej rozpoznawalna. Faun z nimfami, elfy i gnohy podskakujące na trawniku nawiązują raczej do lektur dzieciństwa niż do rutyny poetyckiej.

Dźwina nie miała tego szczęścia do twórców co Niemen, Wilia czy Nieświeża. Za to nad jej brzegiem dwie wybitności walczą o palmę pierwszeństwa w opiewaniu czarnych wód: Kazimiera Iłłakowiczówna oraz cztery lata młodsza od niej Olga Daukszta. Jako wnuczka promienistego Tomasza Zana, (który na wygnaniu badał warstwy skały w okolicy Dźwiny) Iłłakowiczówna była prawdopodobnie obciążona genetycznie. Wytycza ona granice swego utraconego dziedzictwa: rzeki Indra i Raudawizka, kościoły w Indrycy i Warnowiczach. Centrum stanowi Krasław, obczyznę – kraj za Dźwiną, jako „pół-Litwinka” przyłącza zresztą przyległe obszary aż po

Mołodeczno. Krajobraz w jej wierszach skupia cały smutek przeszłości (a może i terażniejszości, skoro Iłłakowiczówna piekielnie się nudziła na wsi): mogiła matki na cmentarzu w Liknie, upadłe krzyże nad mogiłkami kurlandzkich baronów w Jurahowie. Krzyże w Krasławiu upamiętniają ks. Budkiewicza, umęczonego przez bolszewików. Czyli landszaft z Orzeszkowej rodem. Autentyczność szczegółów w cyklu „Popiół i perły” uwiarygodnia „Wspomnienie z Inflant” z „Kraju lat dziecińczych” (1942 pod red. Grydzewskiego). W jej wierszach, w tych licznych scenkach rodzajowych, może po raz pierwszy kraj naddźwiński ukazuje prawdziwą swoją twarz, również i ludzką. Ci „nieznani święci Łotwy i Litwy” to ludność widmowa Polski ‘B’ dziesiątkowana przez tyfus i cholere.

Olga Daukszta z kolei nie unika historyzmu typowego dla Iłłakowiczówny. Rozszerza kraj swój szary, kraj wrzosowisk i „sosen spalonych wśród piasków” o żywioł morski. Czas przedłuża się poza historyczność, zahacza o wieczność, włącza się wymiar marzeniowy. Jej wiersze przedstawiają wizję przypominającą świat Theodora Fontane czy Johanna Bobrowskiego. Ich lektura stanowi jedną z głównych atrakcji tego zbioru.

Redaktorkę antologii interesuje przede wszystkim sprawa przynależności do polskości i kultury polskiej. W celu opisanego ewentualnej „szkoły naddźwińskiej” trzeba by ustalić, w jakim stopniu poeci czuli swoją odrębność oraz jaki procent twórczości danego poety, zwłaszcza tych mniej znanych, obejmuje tematyka krajobrazu rodzimego. Jak ich nazwać? Poetami opętanymi krajobrazem? Pasjonatami Dźwiny? Monotematystami? Ważne to, gdyż monotematyzm „litewski” jest nadal obowiązujący u twórców głównego trzonu szkoły litewskiej, u Syrokomli, Orzeszkowej, Weysenhoffa, nie mówiąc już o powojennych. Rozwiązanie tego problemu utrudnia, jeśli nie wręcz uniemożliwia, spora ilość autorów bez własnego życiorysu.

Na pewno warto by sporządzić rejestr całego piarstwa polskojęzycznego na tym obszarze w XX-leciu międzywojennym, a także zbadać wkład polszczyzny i polskości do literatury uprawianej na ziemi łotewskiej. W żyłach Olgi Daukszty płynęła krew żmudzka, jaćwieska, tatarska, a

dorobek ma również w języku rosyjskim. Będąc na stomatologii w Kazaniu, Edward Słoński pisał wiersze po rosyjsku. Czyli zachodzi zagadnienie twórczości dwujęzycznej.

Nasuują się też różne inne pytania dotyczące współzależności kulturalnych. Bo Dźwina jest nasza, wasza i ichnia – nie tylko inflancko-łotewska, lecz wraz z Połockiem i Witebskiem białoruska, okresowo WXLitewska. Istnieje zresztą inny Połock i inny Witebsk, cały obszar duchowy poza zaklętym kręgiem kolegów jezuickich. Niech tu służy przykład Szymona z Połocka, wychowanka Wileńskiego collegium i tłumacza Kochanowskiego, który wybrał dwór moskiewski. Albo rodzina Książninów – Franciszek Dionizy zawędrował do pałacu Czartoryskich nad Wisłą, podówczas jak jego krewny Jakow tłumaczył Woltera i Corneille'a nad Nową. Czyli zaczątek komparatystyki naddźwińskiej.

Swoim gestem hołdu dla dalekich ziomków Agnieszka Durejko dokonała tego, co zamierzała. Zapoznała czytelnika z niemal dziewiczym terenem, uwrażliwiła go na odległy zakątek niegdysiejszej Rzeczypospolitej. Jak wynika z tej pozornie skromniutkiej antologii, stara droga bursztynowa wiodąca z Gotlandii do Bizancjum, kraj naddźwiński, kryje w sobie niejedną niespodziankę, niejedną sprzeczność, niejeden jeszcze skarb do wydobycia.

Nina TAYLOR

## Między Polakami

W jednym z wywiadów opowiadał Karl Dedecius o trudnościach, na jakie natrafił w początkach swej pracy na stanowisku dyrektora Deutsches Polen-Institut w Darmstadt. Instytucja ta, o czym niewielu Polaków wie, jest jedynym chyba w Europie tego rodzaju przedsięwzięciem: ośrodkiem kultury jakiegoś kraju zorganizowanym dla niego przez

obywateli innego państwa. Otóż już w początkach swej działalności Dedecius spotkał się z zarzutami emigracji dotyczącymi zbyt małej obecności jej przedstawicieli w publikacjach Instytutu, z kolei władze PRL zarzucały dyrektorowi zbyt duże zainteresowanie wychodźstwem, zaś opozycja miała mu za złe uwzględnienie proreżimowych pisarzy. Poruszanie się w tym labiryncie zapewne do łatwych nie należało, Instytut jednak jakoś dotrwał do niepodległości, wszystko się wyrównało i jakoś można nadal działać na rzecz rozwoju polsko-niemieckiego dialogu, który, jak słusznie zauważył Dedecius, w literaturze miał miejsce wcześniej niż w przestrzeni życia politycznego.

Nic więc dziwnego, że ten znakomity tłumacz jest jednym z 16 bohaterów wydanej jako pierwszy tom Biblioteki *Odry* książki (wydanej dzięki wsparciu Fundacji Adenauera) „...nie będzie nigdy Niemiec Polakowi bratem’...?”\* zredagowanej przez Marka Zyburę, który nadto jest autorem szkicu o Justynusie Kernerze (1786-1862), poecie, który w swoim domu przyjmował polskich wychodźców po klęsce Powstania Listopadowego. Wśród innych postaci tu prezentowanych warto wspomnieć najwcześniejszego „brata Polaków”, jakim był Jan Haller (ok. 1467-1525), krakowski wydawca przybyły do Krakowa z Rothenburga.

Do rozbiorów stosunki polsko-niemieckie sprzyjały normalnemu „przepływowi ludzi i idei” – tym bardziej, że państwa narodowe wymyślono właśnie po rozbiorach, gdy Polski zabrakło: do tego czasu bywało się czymś poddanym, a łacina ułatwiała normalne porozumienie elit. Później jednak zaczęły się dzieła rzeczy mniej przyjemne, jak choćby słynny Kulturkampf, zmierzający do wydziedziczenia pruskich poddanych z polskości. W tych warunkach Niemiec, który polskość utrwalał i dokumentował – jak to czynił na Śląsku przybyły tam spod Ulm Juliusz Roger (1819-1865) prowadzący badania folklorystyczne i utrwalający je w wydawanych przez siebie książkach – był wyjątkiem. Ale czy rzeczywiście? Gdy tak się zastanowić nad polsko-niemieckimi stosunkami w XIX stuleciu, trudno nie zauważyć swoistej fascynacji, jakiej ulegali Niemcy zainteresowani polską kulturą – właśnie folklorysty, lecz także autorzy słowników, bibliografii oraz encyklopedii,

\* „...nie będzie nigdy Niemiec Polakowi bratem’?...”. Z dziejów niemiecko-polskich związków kulturowych. Praca zbiorowa pod redakcją Marka Zybury. Przedmowa Paul Wink. Wyd. OKIS, Wrocław 1995, s. 302.

wreszcie też i wydawcy: nie ulega wątpliwości, że całą tę infrastrukturę polskiej kultury w tym wieku tworzyli Niemcy, często już spolonizowani. Lecz nie tylko – wystarczy wspomnieć fundamentalną pracę o zasadach polskiej myśli republikańskiej, napisaną przez znanego historyka niemieckiego Gregorovicjusia (wybitnego na owe czasy znawcę starożytności) pochodzącego z Prus Wschodnich, a dopiero przed kilku laty przełożoną na polski i wydaną nakładem olsztyńskiego tygodnika *Borussia*, by się przekonać, że i w rdzennych Niemczech owa fascynacja polskością nie należała do rzadkości.

Można powiedzieć, że kultura polska zaciągnęła u Niemców jakiś dług wdzięczności. Nie jest bowiem przypadkiem, że język niemiecki stał się w ciągu wieków – także w czasie rozbiorów, o czym zaświadcza natychmiastowe niemal tłumaczenie „Ksiąg Narodu i Ksiąg Pielgrzymstwa polskiego” Mickiewicza (pierwszy przekład jego poezji ukazał się w roku 1836) – pierwszym językiem obcym naszej literatury. Dlaczego tak się dzieje, trudno dociec – widocznie Niemcy bardziej sobie do serca biorą maksymę Staszica nakazującą znajomość języka i kultury sąsiadów niż rodacy tego wybitnego publicysty i polityka, dziś już zapomnianego niestety. Jedno nie ulega wątpliwości – właśnie dzięki niemieckim tłumaczeniom polska literatura zyskuje światowy rozgłos – najnowszym przykładem międzynarodowy sukces „Weissera Dawidka” Pawła Huelle w przekładzie Renate Schmidgall (nawiasem mówiąc pisarki tak dalece zgłębiającej polski, iż piszącej obecnie wiersze w tym języku).

Nie dziwi zatem, że ostatnie trzy biografie zaprezentowane w omawianym tomie poświęcone zostały właśnie tłumaczom: Henrykowi Beresce (szkic Wojciecha Kunickiego), Klausowi Staemmlerowi (pióra Krzysztofa A. Kuczyńskiego, autora świetnej bibliografii przekładów polskiej literatury na język niemiecki) oraz Karłowi Dedeciusowi (esej Huberta Orłowskiego). Żal nieco, że nie znalazło się w tym tomie miejsce dla Petera Lachmanna – polskiego poety, ale zarazem wybitnego tłumacza, współautora fundamentalnej antologii poezji polskiej. Lecz żal to zapewne wynikający z niecierpliwości – pierwszy tom Biblioteki *Odry* stanowi bowiem dopiero zapowiedź dalszych tego typu publikacji. Ważnym wydaje się fakt, że jest to książka wybitnie profesjonalna, stanowiąca często podsumowanie rozproszonych i umykających uwadze rozpoznań, przygotowana przez grono autorów

znakomicie znających problemy stosunków polsko-niemieckich. Przypuszczam, że ukazując Niemców żyjących między Polakami autorzy nie raz musieli się zżymać i niecierpliwić. Lecz ponieważ sami wśród nich żyją, dziwić niczemu się nie musieli – w przeciwieństwie do wielu bohaterów swych szkiców.

P. SZAWIR

## STUDIA LITEWSKIE NA TASMANII

Warto odnotować inicjatywę grupy entuzjastów na Uniwersytecie Tasmańskim, którzy od 1987 roku prowadzą Towarzystwo Studiów Litewskich (Lithuanian Studies Society) i wydają pismo-rocznik *Lithuanian Papers*. Celem Towarzystwa jest propagowanie wiedzy o Litwie i kulturze litewskiej, a przede wszystkim popieranie lokalnych studiów i badań akademickich na tematy związane z Litwą. Prócz działań wydawniczych, Towarzystwo prowadzi także w ciągu roku akademickiego regularne seminaria i pokazy filmów video. Plonem pracy Towarzystwa są nie tylko publikacje naukowe – pod jego egidą ukazało się ponad 100 artykułów i książek na tematy związane z Litwą – ale także 3 doktoraty, 2 magisteria i jedno studium zbiorowe. Należy także wspomnieć, że Towarzystwo organizuje nieregularne kursy języka litewskiego i utrzymuje (szczególnie po 1991 roku) żywe kontakty z uniwersytetami na Litwie. Liczba członków Towarzystwa wzrosła z 21 w 1987 roku do 37 w chwili obecnej.

Założycielem i redaktorem *Lithuanian Papers* jest Algimantas Taskunas. Autorami są głównie pracownicy i studenci Uniwersytetu Tasmańskiego. W chwili obecnej przygotowany jest dziesiąty roczny zeszyt. Redakcja zaprasza do współpracy także naukowców spoza Australii. Adres: Al Taskunas, P.O. Box 777, Sandy Bay, Tasmania 7005, Australia.

Jan PAKULSKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

- GOMBROWICZ (Witold), *Journal*. Tom I: 1953-1958. Str. 689 i 13 nlb. (Wyd. Gallimard, 1995).
- GOMBROWICZ (Witold), *Journal*. Tom II: 1959-1969. Str. 611 i 13 nlb. (Wyd. Gallimard, 1995).
- Słownik pseudonimów pisarzy polskich. XV w. – 1970 r.*, Tom I: A-J. Opracował zespół pod redakcją Edmunda Jankowskiego. Str. LXX, 731. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków 1994).
- Historia dyplomacji polskiej*. Tom IV: 1918-1939. Pod redakcją Piotra Łossowskiego Str. 718. (Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 1995).
- SOLSKI (Wacław), *Moje wspomnienia*. Str. 366 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1995).
- KLEJNOCKI (Jarosław), *Miasto otwarte*. Str. 36. (Wyd. LNB, Warszawa 1995).
- Polacy w Mołdowie mówią o sobie*. Wybór i wstęp ks. Edward Walewander. Str. 292 i 4 nlb. (Wyd. Oddział Lubelski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Lublin 1995).
- ŚWIERSZCZYŃSCY (Dobrosława i Andrzej), *Przysłowia w sześciu językach*. Str. 326 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995).
- POCZOBUT (Robert), *Romana Ingardena fenomenologia bytu idealnego*. Studium krytyczne. Str. 154 i 2 nlb. (Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- CZERNIAWSKI (Adam), *Fragmety niespokojnego dzieciństwa*. Str. 182. (Wyd. Aneks, Londyn 1995).
- KĘDZIERSKA (Aleksandra), *Isaac Rosenberg and Wilfred Owen. A Study in the Poetry of World War I*. Str. 147 i 1 nlb. (Wyd. Maria Curie-Skłodowska University Press, Lublin 1995).
- Polish and Swedish Schools in the 19th and 20th Centuries*. A Historical Study. Opr. Ryszard Kucha i Ulla Johansson. Str. 234. (Wyd. Maria Curie-Skłodowska University Press, Lublin 1995).
- NIEMCZUK (Andrzej), *Wolność egzystencjalna*. Kant i Kierkegaard. Str. 264. (Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- KAWKA (Jerzy Aleksander), *Początek czy koniec czasów*. Str. 255 i 1 nlb. (Wyd. Przedświt, Warszawa).
- Polskie środowiska twórcze na emigracji we Francji wresień 1939 – czerwiec 1940*. Pod redakcją Michała Tymowskiego. Str. 149. (Wyd. Polska Fundacja Kościuszkowska 1995).
- MARCZEWSKA-RYTKO (Maria), *Populizm*. Teoria i praktyka polityczna. Str. 199. (Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995).
- Pożegnanie Marszałka*. Antologia tekstów historycznych i literackich. Opr. Marian M. Drozdowski, Hanna Szwankowska. Str. 226. (Wyd. Towarzystwo Miłośników Historii, Komisja Badań Dziejów Warszawy Instytutu Historii PAN, Oficyna Wydawnicza „Typografia”, Warszawa 1995).
- NASIŁOWSKA (Anna), *Domino*. Traktat o narodzinach. Str. 48. (Wyd. OPEN, Warszawa 1995).

## POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

### 10.2.96

Czy Polska nie staje się domem wariatów? W *Dzienniku Bałtyckim* z 10-go lutego br. ukazała się rozmowa redaktora Piotra Wysockiego z doradcą Lecha Wałęsy. Rozmowa była zatytułowana „Wałęsa musi być jak święty” i zaczyna się od pytania „Jaka jest różnica między Lechem Wałęsą a Jezusem Chrystusem?”. Oszczędzimy czytelnikom dyskusji i wniosków do jakich doszli obaj rozmówcy.

### 27.2.96

W Ostrowcu Świętokrzyskim została założona Wyższa Szkoła Biznesu. Będzie to 76-ta prywatna uczelnia w kraju. Niepaństwowe szkolnictwo wyższe jest zdominowane przez uczelnie o profilu ekonomicznym (46). Kształcą one kadry dla prywatnych firm, banków i instytucji finansowych. ■ 60 lat temu powstała kolejka linowa na Kasprowy Wierch z inicjatywy ówczesnego wiceministra komunikacji Aleksandra Bobkowskiego. Do chwili obecnej kolejka przewiozła około 50 mln pasażerów. ■ Na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu mgr Anna Supruniuk obroniła rozprawę doktorską na temat „Otoczenie księcia mazowieckiego Siemowita IV (1374-1426)”.

### 29.2.96

Prezydenci Rosji i Białorusi – Borys Jelcyn i Aleksander Łukaszewicz – zapowiedzieli unię obu państw. ■ Nagrody: doroczną nagrodę *Przeglądu Wschodniego* otrzymał Bohdan Osadczuk w uznaniu wieloletniej działalności publicystycznej w prasie emigracyjnej i zachodniej, którą w wielkim stopniu przyczynił się do poprawy stosunków polsko-ukraińskich. Przyznano po raz pierwszy nagrodę specjalną *Przeglądu Wschodniego*. Otrzymał ją Roman Aftanazy za „Materiały do dziejów rezydencji”. ■ Nagrody Fundacji Kultury zostały przyznane Stanisławowi Lemowi oraz Marcelowi Łozińskiemu.

### 2.3.96

Zmarł nagle w wieku 64 lat Dariusz Fikus, wybitny redaktor i publicysta, redaktor naczelny *Rzeczpospolitej*, prezes spółki Press-publica.

### 11.3.96

Zmarł w Bydgoszczy w wieku 78 lat Tadeusz Nowakowski, znany pisarz, wieloletni współpracownik Radia Wolna Europa. W jednym z najbliższych numerów zamieścimy o nim wspomnienie.

**13.3.96**

Zmarł w Warszawie w wieku 54 lat Krzysztof Kieślowski, jeden z najwybitniejszych realizatorów filmowych.

**16.3.96**

W Rzeszowie odbył się wieczór autorski Tadeusza Różewicza, który przyjechał na zaproszenie Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego, redakcji pisma „Fraza” oraz Zakładu Literatury Polskiej XX wieku Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

**ZACHÓD – EMIGRACJA****26.2.96**

Wydawnictwo *Nowego Dziennika* w Nowym Jorku obchodzi 25-tą rocznicę powstania. *Nowy Dziennik* jest największym pismem polonijnym na terenie Stanów Zjednoczonych na poziomie naprawdę europejskim.

**22.3.96**

W siedzibie Stowarzyszenia Polskiego w Genewie odbył się odczyt dr. Marka Słowińskiego „Polska i świat w oczach mieszkańców Litwy”.

**24.3.96**

W Centre Culturelle de Russie w Paryżu odbyło się dwudniowe kolokwium poświęcone pamięci Władimira Maksimowa, redaktora kwartalnika *Kontinent*. Wzięli w nim udział: Georges Nivat, Natalia Gorbaniewska, Michel Aucouturier, Richard Staar, Vittorio Strada i inni.

**26.3.96**

Na Uniwersytecie Paris IV Sorbonne prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Michał Tymowski, wygłosił odczyt „*Les premiers Piast – légende dynastique, tradition orale et légitimation du pouvoir*”.

**29.3.96**

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miała miejsce prezentacja przez prof. Yves-Marie Hilaire (po francusku) Akt Kolokwium w Lille (1993) na temat: „Nieujarzmiona Europa Środkowo-Wschodnia w oczach europejskich historyków i myślicieli od XVIII-go wieku do dnia dzisiejszego”.

**Listy do Redakcji**

Oxford, 4 marca 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po przeczytaniu szkicu o śp. Zofii Ilińskiej (*Kultura* 1-2, 1996) chciałabym dorzucić parę uściśleń. Otóż debiut jej pt. „Duch Lorda Curzona” nie jest powieścią, jak wskazuje chociażby tytuł w pełnym brzmieniu „Duch Lorda Curzona. Zbiór poezji powstałych na wygnaniu”, Glasgow: Książnica Polska, 1945. Podaję na podstawie egzemplarza z naszego księgozbioru, noszącego dedykację: „Memu miłemu, smutnemu, intelektualnemu Rycerzowi Tymonowi [Terleckiemu – N.T.] z wyrazami przyjaźni i wdzięczności za to iż przez długie miesiące popierał wiele wierszy, które tutaj znajdzie. Zofia Ilińska-Moseley. Londyn – Zielona Wyspa (Anglia) miesiąc 11-ty roku 1945-ego ery atomowej”.

*Nota bene* pozycja pt. „Sonety Moryńskie” nie została odnotowana ani w bibliografii „Literatura Polska i Teatr w latach II Wojny Światowej” (Red. Jadwiga Czachowska, Maria Krystyna Maciejewska i Teresa Tyszkiewicz), ani w „Małym słowniku pisarzy polskich na Obczyźnie 1939-1980” (red. Bolesław Klimaszewski, Ewa R. Nowakowska i Wojciech Wyskiel). Nie ma też wzmianki w materiałach bibliograficznych, które mi przysłała Ilińska w 1990 r. Natomiast załączyła następujące „*Curriculum Vitae of a Lingual Bigamist*” spisane po angielsku (pomijam szczegóły czysto biograficzne).

1940 Szlifuje angielszczyznę.

1940-1950 Zofia Ilińska pisze wiersze po polsku.

1950-1955 Pisze po polsku, lecz słowa odmawiają posłuszeństwa.

1955-1965 Lingwistyczna Ziemia Niczyja.

1965 Zaczyna pisać po angielsku.

Napisała podówczas w liście, że jej twórczość „przeważnie leży w szufladzie. Może po śmierci będzie lepiej, ale mówiąc



poważnie nie znalazłam dotąd wydawcy (*Publisher'a*) na większość moich wierszy”. dopisała również pod hasłem do „Słownika pisarzy polskich na Obczyźnie”: „Szuflada pełna niewydanych jeszcze wierszy po angielsku. Także sztuka do radia na temat ‘Cudzoziemcy’ w tej chwili ‘na warsztacie’. Niestety nie mogę pisać po polsku już od dawna”. Utrwalenie zawartości szuflad śp. Zofii z Brochockich Ilińskiej należy do pilnych obowiązków angielskich wielbicieli Jej twórczości.

Pozostają z wyrazami głębokiego szacunku

Nina TAYLOR

Poznań, 12.3.1996 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

Już kilka lat temu, z racji moich nie tylko zawodowych zainteresowań, miałem możliwość zapoznania się z treścią, zagadnieniom etologii poświęconej publikacji I. Eibl-Eibesfeldta pt. „Miłość i nienawiść” (PWN Warszawa, 1987), której poszczególne fragmenty, mimo dość znacznego upływu czasu, ożywają w mojej pamięci zawsze gdy jest ku temu jakikolwiek, choćby najmniejszy pretekst.

W trakcie lektury tego nad wyraz ciekawego opracowania, zauważyłem ku swojemu olbrzymiemu zdziwieniu, że jego autor, profesor w Instytucie Fizjologii Zachowania im. M. Plancka w Sweewiesen (Bawaria), z całą powagą jakiej wymaga rzetelne dzieło naukowe, powołuje się w swoich dociekaniach na „Malowanego ptaka” Jerzego Kosińskiego, uzasadniając jego literacką fikcją swoje niektóre, pełne głębi, uczone wywody. Ten światowej sławy znawca i badacz ludzkich zachowań, omawiając charakterystyczne dla zwierząt sposoby demonstrowania przez nie swoich pozycji w grupie i formy upokarzania obcych, podaje w oparciu o literackie fantazjowanie J. Kosińskiego, że polscy pastuszkowie, przejawiając tkwiące w ich naturze zwierzęce predyspozycje dokonywania prymitywnych aktów dominacji i grożenia, gwałcą obcych chłopców wdzierających się na ich terytorium (str. 47 i 48). Właściwość ta, którą ów światły, o znacznym autorytecie Europejczyk, pod wpływem powieści J. Kosińskiego uznanej za autentycznie i obiektywnie polską cechę, leży, jego zdaniem, w dyspozycji wszystkich ludzi, jednak wyzwała się jedynie u tych, którzy pozbawieni samokontroli nie potrafili zdystansować się od swoich pierwotnych reakcji, popędów i potrzeb.

Kiedy autor poważnej i ambitnej pracy naukowej, aby uzyskać niezbędną dla swoich z góry przyjętych założeń,

podbudowę faktograficzną, bez najmniejszego wahania uznaje powieściowe treści za wiarygodne realia życia jakiejś społeczności, nie sposób nie ujawnić dezaprobaty dla takich praktyk – traktat naukowy to nie beletrystyczny wymysł i w niesprzyjających okolicznościach jego zawartość może zniekształcać wizerunek Polaka.

Z całą pewnością nie jestem antysemitą czego dobitnie, w sposób jednoznaczny dowiodłem już w przeszłości (*Kultura* 6, 1992 i 3,1993) – dlatego nie obciążam winą za ten stan rzeczy Jerzego Kosińskiego, który, co prawda niezwykle sprawnie i skutecznie ale tylko skorzystał z przysługującego mu, jak każdemu pisarzowi, prawa do swobodnego konstruowania opartej na fikcji literackiej fabuły i dowolnego kreowania swojej własnej rzeczywistości. Natomiast pozwolę sobie zauważyć, że lekturze „Malowanego ptaka” nie powinny towarzyszyć żadne resentymy, gdyż ich zawsze duża intensywność i małostkowość automatycznie nasuwa podejrzenie, że obraz Polski Kosińskiego oddaje prawdę o naszej kulturze i obyczajach.

Z wyrazami najgłębszego szacunku i poważnia

Jan A. TOMASZKIEWICZ

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.*

A.G., *Polska* – Pana opowiadania „Ludwik” nie zamieścimy. Bardzo słabe.

J.B.; *Polska*; S.M., *Polska, L.Rz., Szwecja* – Przesłanych wierszy nie zamieścimy.

A.S., *Niemcy* – Pana aforyzmy są bardzo słabe i banalne. Nie zamieścimy.

**MARC S. FRANCISZKOWSKI**  
**LETTRES SLAVES**  
**LIBRAIRIE — EDITIONS**

**18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS**  
**Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24**

**Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych,  
 rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków  
 dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach  
 oryginalnych i tłumaczeniach.**

**Prowadzę działalność księgarską i antykwareczną  
 na miejscu i drogą pocztową**

**Na życzenie wysyłamy katalogi**

**Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE**  
**91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.**

*Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.*

**Commission Paritaire N° 60789.**

**Dépôt légal: 2<sup>ème</sup> trimestre 1996.**

**Skład komputerowy: MacWire Diffusion.**

**Imprimé en France.**

# KULTURA

**REDAKTOR: JERZY GIEDROYC**

**Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
 par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04  
 Fax: (33-1) 39-62-57-52**

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1996</b>			
<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>ARGENTYNA:</b> «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRALIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>AUSTRIA:</b> Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BELGIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>BRAZYLIA:</b> prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>DANIA:</b> O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>FRANCJA:</b> do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>HOLANDIA:</b> Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
<b>IZRAEL:</b> Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>KANADA:</b> Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
<b>NIEMCY:</b> Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hesslerstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
<b>NORWEGIA:</b> Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>SZWAJCARIA:</b> Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
<b>SZWECJA:</b> Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. <b>PG-KONTO 614 87 10-4.</b>	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
<b>U.S.A.:</b> Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; <b>POLONIA Bookstore</b> , 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; <b>Księgarnia Ludowa</b> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <b>Szwede Slavic Books</b> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; <b>Księgarnia «Nowego Dziennika»</b> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
<b>WIELKA BRYTANIA:</b> Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
<b>WŁOCHY:</b> Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

**W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.  
 Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.**

**Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
 INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)  
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)**

# Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

## MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 491 – ZESZYTY HISTORYCZNE

## ZESZYT STO PIĘTNASTY

zawiera opracowania: R.T. Gerlach: *Ani nie-  
dźwiedzi, ani lasu, ani nic: tragedia getta warszaw-  
skiego*; M. Turlejska: *Przyczynek do losów praw-  
ników polskich w latach 1935-53*; T. Skinder-  
Suchcitz: *Próby uwolnienia okrętów podwodnych z  
internowania w Szwecji. Wrzesień 1939 – czerwiec  
1940*; J. Wróbel: *Polacy w Afryce Wschodniej i  
Południowej 1941-1950*; J. Straszak: „*Szkoła szpie-  
gów*”; M. Paziewski: *Opozycja polityczna à la PRL*;  
T. Wyrwa: *Antologia literatury katyńskiej*; T. Wyr-  
wa: *Pokolenie akowskie w pamiętnikarskim piśmien-  
nictwie*; Z.S. Siemaszko: „*Liście na wietrze*”; J.  
Hera: „*Dlaczego ob. Korzeniewski kłamie?*”;  
H. Świdorska: *Z dziejów polskiej prasy w Anglii  
1944-45*; K. Zamorski: *Z Kołomy do Andersa*;  
OKRUCHY HISTORII i LISTY DO  
REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

**Cena 55 F**